

NUMER NA MAJÓWKĘ REPUBLIKA ROŚLIN | NOWA DUSZA PODKARPACIA
ILE ZNIESIE KURA | MUSK IDZIE NA BERLIN | SUPERLIGA: KASA TO ZA MAŁO
NAPOLEON ŻYJE | NIEWIDZIALNE KOTY | DZIŚ W CZARNOBYLU **I DUŻO WIĘCEJ**

Kraków 2 maja 2021 nr 18 (3747)

cena 9 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

Pora na coś dobrego

Roberta Makłowicza
życie pełną gębą

W WYDANIU
MAGAZYN
CONRAD

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379.435



Premiera!

TP Historia: WIŚLNA 12

Opowieść o „Tygodniku Powszechnym”,
czyli wszystkie światy
pod jednym adresem

- Co się wydarzyło w ostatnim pokoju na lewo
- Zbyt krótka sofa dla Herberta
- Zebrania pod Najjaśniejszym Panem
- Obiady czwartkowe i redakcyjna drużyna piłkarska
- Sensacje historyczne: autor, który został papieżem
- Uroki Ziuty i różdżka asystenta kościelnego
- Ks. Boniecki w kuchni

weź, czytaj!



Już w sprzedaży
w punktach z dobrą prasą
i na powszech.net/wislna12

TYGODNIK
POWSZECHNY



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

WYDANIE WSPIERA

PARTNERZY WYDANIA:



KS. ADAM

Boniecki: 35 lat później

O CZARNOBYLU PISALIŚMY W POPRZEDNIM NUMERZE (Kamil Dworaczek „Płyn Lugola, ruska cola”), piszemy także w tym. Nie tylko dlatego, że była to największa katastrofa w historii energetyki jądrowej (jak katastrofa w Fukushima, 11 marca 2011 r., siódmego, najwyższego stopnia w skali INES – *International Nuclear Event Scale*), ale dlatego, że Czarnobyl stał się wielką lekcją dla ludzkości. W piśmie „Kontakt” (10 lipca 2019) Ida Nowak pokazała analogię między katastrofą w Czarnobylu a współczesną sytuacją ekologiczną: „Analogie – powiada – są dużo bardziej rozłożyste, niż mogłoby się na pierwszy rzut oka wydawać”. Ta analogia jest użyteczna, bo „nadal nie mamy pomysłów na to, jak o nim [kryzysie klimatycznym] mówić”.

Po 35 latach czarnobylska lekcja została gruntownie rozpracowana. Wiemy, jak o niej mówić. Znamy przebieg wydarzeń, a „czarnobylska literatura” przyczyniła się do postępu widocznego choćby w informacjach o liczbie ofiar: Czarnobyla – 31 bezpośrednich i od 4 tys. do ponad 200 tys. (w zależności od źródeł) ofiar przewlekłej choroby popromiennej. I Fukushima, gdzie tsunami, które spowodowało awarię elektrowni, zabiło 20 tys. ludzi, lecz w wyniku jej awarii nie zginęła ani jedna osoba. A gdy ponad 20 lat po Czarnobylu (16 lipca 2007) trzęsienie ziemi wywołało pożar w jednej z największych na świecie elektrowni atomowych, w Kashiwazaki-Kariwa, w północno-zachodniej Japonii, odnotowano 7 osób zabitych i kilkadziesiąt osób rannych. Uszkodzeniu uległ jeden z transformatorów, który ugaszono w kilka godzin. Reaktory wyłączyły się automatycznie. Choć doszło do rozszczelnienia i niewielkiego wycieku (prawdopodobnie z wtórnego systemu chłodzenia reaktorów), to wyciek nie zagroził środowisku.

Widmo awarii elektrowni atomowej budzi lęk. Nic dziwnego, że po Czarnobylu zaniechano budowy elektrowni atomowej w Żarnowcu. Wejściu do regularnej eksploatacji pierwszej lokomotywy parowej (1825 r.) też towarzyszył



strach. Twierdzono, że przestraszone krowy przestaną jeść trawę i dawać mleko, kury nie będą znosić jaj, a dym z lokomotyw potruje ptaki. Przewidywano kryzys gospodarczy, gdyż brak koni spowoduje nadmiar słomy i siana, oraz że każdy silniejszy wiatr uniemożliwi jazdę. Prasa spekulowała o negatywnym wpływie przeciążenia i nadmiernej prędkości na mózgi pasażerów. Wtedy skala zagrożeń była inna, ale strach to strach.

Lokomotywy parowe przyjeły się dość szybko, elektrownie atomowe (udoskonalone) też. Weźmy choćby Japonię. Choć co piąte trzęsienie ziemi na świecie nawiedza właśnie ten kraj, a wszystkie japońskie elektrownie jądrowe buduje się na terenach aktywnych sejsmicznie, nie budzi to już przerażenia. Sposób ich budowania i systemy, które w razie zagrożenia automatycznie wyłączają reaktory, dobrze się sprawdzają.

Zawsze istnieje jednak możliwość ludzkich błędów i mylnych oszacowań. W Fukushima np. symulując ewentualne zagrożenia, twórcy przewidzieli wariant dokładnie odpowiadający temu, co się wydarzyło w 2011 r. Ponieważ jednak system zabezpieczeń przed taką sytuacją był bardzo kosztowny, a prawdopodobieństwo jej zaistnienia bardzo małe, z zabezpieczenia zrezygnowano. W Czarnobylu zabrakło czasu na powtórzenie kontrolnego eksperymentu, bo władze partyjne nagliły z racji daty oficjalnego oddania rektora do eksploatacji.

Historia elektrowni atomowych to prawdziwa *magistra vitae*. Nie mówiąc o nieustannym doskonaleniu technik, nieśie wiele banalnych, lecz wartych przypomnienia nauk. Fukushima: nie oszczędzać na bezpieczeństwie. Czarnobyl: nie ulegać presji polityków. Też Czarnobyl: elektrowniami atomowymi powinni zarządzać specjaliści (dyrektor elektrowni Wiktor Briuchanow przyznał: „Nie jestem fizykiem. Nie mogłem tego wiedzieć”; podobnie się tłumaczyli naczelny inżynier elektrowni Nikołaj Fomin i naczelnik zmiany Boris Rogozkin). Czarnobyl: kiedy coś trzaśnie, nie ukrywać!

No i może czas wrócić do Żarnowca.

© P



**Wejść
do świata
dźwięków
Wiślniej 12**



Premiera słuchowiska

**„Miniatura
na parkiet,
ekspres do kawy
i pogłosy”**

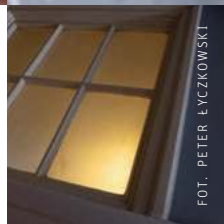


Realizacja:
Agnieszka Rasmus
i
Peter Łyczkowski



Już 1 maja na
powszech.net/
miniatura

weź, słuchaj!



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FOT. PETER ŁYCZKOWSKI

TEMAT TYGODNIKA



12 Republika roślin

MARCIN ŻYŁA

Tworzą życie na Ziemi. Jeśli więc wiosną, wychodząc z lockdownów i kwarantann, zachowamy o nie troskę, będzie to jeden z niewielu pozytywów z pandemii.

30 Teologia grzechu

ROZMOWA

Z JÓZEFEM

MAJEWSKIM,

TEOLOGIM:

Jedynym wyjściem z obecnego kryzysu jest nowy sobór, który powinien się zająć reformą władzy w Kościele.



106 Kot w butach ducha

ADAM ROBIŃSKI

Można się zastanawiać, po co rysiowi cętki, ale tylko dopóki nie zobaczy się go w krwistej jesiennej buczynie. Zobaczysz? Przecież wtedy jest niewidzialny.

20 Rozdarcie w polskiej Bawarii

RAFAŁ MATYJA

Odchodzący prezydent Rzeszowa godził szybki rozwój miasta z ludowym konserwatyzmem części mieszkańców. Żaden z kandydatów takiej syntezy dziś nie obiecuje.



40 Kocham Czarnobyl

MONIKA ANDRUSZEWSKA ZE WSI DYTIAŃKI

Wadimowi nie przeszkadza, że żyje w sąsiedztwie tego miejsca. Tutaj, tuż przy strefie zamkniętej, odnalazł wszystko, co najważniejsze: ciszę i spokój.

54 Sport istnieje

MICHAŁ OKOŃSKI

Proszę państwa, w nocy z 18 na 19 kwietnia 2021 roku w Europie nie skończyła się piłka nożna. Choć było blisko.



6 Szczepienia zamiast paniki

MACIEJ MÜLLER

7-11 Obraz tygodnia

18-19 Czytania / Widzenia

ABP GRZEGORZ RYŚ
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

20 Rozdarcie w polskiej Bawarii

RAFAŁ MATYJA

24 Policzcie nas

ANNA GOC: *Spis powszechny to kolejny przypadek, kiedy osoby głuche muszą same przypomnieć państwu o swoim istnieniu*

26 Przemyślmy to ab ovo

BARTOSZ RUMIŃCZYK: *Coraz bliżej zakazu hodowli kur w klatkach*

■ ■ WIARA

30 Teologia grzechu

ROZMOWA Z JÓZEFEM MAJEWSKIM

34 Łącznik

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET:
Ks. Piotr Żelazko odkrywa w Izraelu Franciszkański Kościół

37 Cyberwojna z Kościołem

AGATA KAŻMIERSKA, WOJCIECH
BRZEZIŃSKI: *Watykan znalazł się na celowniku hakerów*

■ ■ ŚWIAT

40 Kocham Czarnobyl

MONIKA ANDRUSZEWSKA

44 Mroczny czas

ANNA ŁABUSZEWSKA: *Na rosyjskich ulicach znów protestują ci, którzy gotowi są kłaść na szali swoją wolność*

46 Rewolucja nad polską granicą

ŁUKASZ GRAJEWSKI:
Mimo protestów Elon Musk tworzy pod Berlinem nowe zagłębienie motoryzacyjne. Czy skorzysta z tego także Polska?

DODATEK



75 MAGAZYN CONRAD

Prezentujemy hasło i ideę przewodnią tegorocznej edycji Festiwalu Conrada, a także wybranych gości.

Z ODDECHEM

54 Sport istnieje

MICHAŁ OKOŃSKI

68 Pucz za weneckim lustrem

ROZMOWA Z SHOSHANĄ ZUBOFF,
PSYCHOLOGKĄ SPOŁECZNĄ

100 Deszcz, muzyka, język, życie

PIOTR SIKORA

Portret jednego z największych filozofów XX wieku, zmarłego 70 lat temu Ludwiga Wittgensteina.

■ FELIETONY ■

29 JACEK PODSIADŁO

58 WOJCIECH BONOWICZ

72 HANNA KRALL

105 PAWEŁ BRAVO

110 STANISŁAW MANCEWICZ

110 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: ROBERT MAKŁOWICZ
FOTOGRAFIA: ADAM GOLEC / FORUM

Redaktor prowadzący:
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

50 Siedem wcieleń Napoleona

SZYMON ŁUCYK: *Dla jednych tyran, dla innych – chwala narodu. Kim jest Bonaparte dla dzisiejszych Francuzów?*

■ ■ HISTORIA

60 Niekochana królowa

MACIEJ MÜLLER: *Anna Jagiellonka do dziś pada ofiarą czarnej legendy*

■ ■ NAUKA

64 Pies przy różnie

JAKUB MEJER: *Wyginięciem zagrożone są nie tylko dzikie zwierzęta. Znikają też rasy, które stworzył człowiek*

67 Widzenie przyszłości

MARIUSZ GOGÓL: *Terapie oparte na modyfikacjach genetycznych mogą doprowadzić do przełomu w leczeniu kilku chorób wywołujących ślepotę*

■ ■ KULTURA

90 Życie pełną gębą

SEBASTIAN SMOLIŃSKI:
Prawo do sielanki, któremu hołduje Robert Makłowicz, jest czymś rzadkim w polskiej kulturze. Jak nikt podważa on przekonanie, że przeznaczeniem inteligenta jest tylko cierpka zaduma

94 Obietnica śpiewającego niedźwiedzia

KAJETAN PROCHYRA o spotkaniu
Pharoah Sandersa, Floating Points
i London Symphony Orchestra

96 Wojna w wojnie

PAWEŁ PIENIAŻEK Z KABULU: *Patrząc w ekran, uciekają w świat, w którym mogą zapomnieć o wybuchach i biedzie*

98 Szmer w sercu

ANITA PIOTROWSKA o filmie „Minari”

104 Wenecja i duch Brodskiego

LEKTOR o książce „Paradiso”
Adama Szczucińskiego

■ ■ ZMYŚŁY

106 Kot w butach ducha

ADAM ROBIŃSKI

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ Strona świata

Dlaczego przywódca maleńskiego Dżibuti nie musi się przejmować, czy sposób, w jaki przedłuża panowanie, przypadnie do gustu Zachodowi – pisze **WOJCIECH JAGIELSKI**
TygodnikPowszechny.pl/stronaswiata

➔ 17 mgnień Rosji

Po dwudziestu czterech dniach Aleksiej Nawalny przerwał głodówkę protestacyjną. Jego problemy zdrowotne nie zniknęły – komentuje **ANNA ŁABUSZEWSKA**
na swoim blogu powszech.net/17mgnien



WOŚ
SIĘ JEŻY wolność równość ekonomia

Co czwartek na TygodnikPowszechny.pl

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ y YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY



OBRAZ
TYGODNIA

SZCZEPIENIA ZAMIAST PANIKI

Czy Polsce zagrozi nowa mutacja koronawirusa,
do której doszło w Indiach?

MACIEJ MÜLLER

PRAWIE MILION NOWYCH ZAKAŻEŃ W CIĄGU trzech dni, chorzy umierający na ulicach, sznury karetek przed szpitalami. Rząd rozsyłający po kraju ostatnie rezerwy tlenu. Doniesienia z Indii są z dnia na dzień bardziej dramatyczne. Media na ogół dodają jednym tchem: to вина nowego, indyjskiego wariantu koronawirusa (B.1.617), wykrywanego w kolejnych krajach świata – m.in. w USA, Wielkiej Brytanii, Izraelu, a także w Polsce.

Ekspert radzą zachować zimną krew: za wcześnie na takie diagnozy. – W Indiach rzadko genotypuje się mutacje wirusów, więc niewiele wiemy o tym, jak ten wariant się roz-

przestrzenia – wskazuje prof. Wojciech Szczepiński, anestezjolog, internista i immunolog kliniczny. – To wielki kraj i na pewno w poszczególnych regionach częstość nowego wariantu jest różna. Występują tam też inne warianty, w tym brytyjski, i niewykluczone, że to on odpowiada za ostatnie wzrosty zakażeń. To, co natomiast nie ulega wątpliwości, to że świat musi ruszyć jak najszybciej z pomocą humanitarną dla Indii, dostarczając tam szczepionki, tlen, sprzęt i pomoc medyczną.

W Indiach – jak i w większości krajów Azji i Afryki – akcja szczepień postępuje powoli. Do tej pory przynajmniej jedną dawkę otrzy-

Medyczny niedobór tlenu w Indiach jest na tyle poważny, że gurdwara – sikhijńska świątynia – zaczęła oferować bezpłatne sesje oddechowe w samochodzie dla pacjentów z COVID-19, którzy czekają na łóżko w szpitalu. New Delhi, Indie, 24 kwietnia 2021 r.

mało 8,5 proc. społeczeństwa. W takiej sytuacji, nawet jeśli przyjąć, że w niektórych rejonach kraju 30-50 proc. mieszkańców przechorowało COVID-19, do odporności zbiorowej droga daleka.

Nie powstały jeszcze spełniające rygory naukowe raporty na temat tego, na ile skuteczniej wariant indyjski się rozprzestrzeni, czy zmienia postać choroby i czy potrafi pokonać nabytą odporność. Indyjskie Ministerstwo Zdrowia zapewnia, że stosowana tam szczepionka Covaxin jest wobec nowego wariantu skuteczna. Prof. Szczekliak: – Mutacje w wariantach indyjskim występują m.in. w regionach białka kolca. Najbardziej niepokoi mutacja L452R. Ze względu na nią jest to potencjalnie groźny wariant, który podobnie jak południowoafrykański i brazylijski może mieć tendencje do uodpornienia się na szczepionki.

Naukowiec rozważa trzy możliwości rozwoju sytuacji. – Wariant indyjski może być bardziej zakaźny, ale nie omijać odporności po przyjęciu szczepionki. Wtedy, jeżeli wyszczepimy więcej osób, uniemożliwimy mu przenoszenie się. Jeśli wariant ma tendencje do omijania szczepionki, musimy wytworzyć *udpatę* istniejących preparatów. W najgorszym scenariuszu wariant jest bardziej zakaźny i potrafi ominąć odporność – ale i tu czas działa na naszą korzyść. Dlatego powinniśmy maksymalnie opóźnić przenoszenie nowego wariantu na nasz kontynent.

Eksperti od dawna apelują do polskiego rządu, by wprowadził ograniczenia ruchu lotniczego z krajami, w których przebieg pandemii jest najbardziej niepokojący – a także obowiązkową kwarantannę i testowanie wszystkich przyjezdnych.

W Polsce tymczasem fala nowych zakażeń opada, a rząd luzuje kolejne obostrzenia. Trend światowy jest jednak odwrotny: wykres globalnych nowych przypadków stromo się wspina. Akcja szczepień przyspiesza (20 proc. populacji przyjęło przynajmniej jedną dawkę), ale odporność zbiorową zapewnia dopiero wskaźnik na poziomie 70 proc. Rząd zapewnia, że do końca wakacji zaszczepi się każdy chętny; niestety sondaże wskazują na niskie zainteresowanie młodszych roczników. Stawką wyjścia jest uniknięcie kolejnej fali zachorowań. ©P

Umowa dla górnictwa zła, ale konieczna

PAWEŁ BRAVO



RZĄD UZGODNIŁ ZE ZWIĄZKAMI ZAWODOWYMI ostatnie szczegóły tzw. umowy społecznej dla górnictwa. W tym tygodniu zostanie ona paraflowana, potem zatwierdzą ją organy statutowe związków i zostanie zgłoszona do Komisji Europejskiej. Ta zaś może mieć liczne powody, by ją w takim kształcie odrzucić. Nie chodzi nawet o fakt, że w umowie przewidziano znaczną pomoc państwa dla branży, tylko że zakłada ona zbyt powolne wygaszanie wydobycia, jak na znacznie ambitniejsze założenia „dekarbonizacji” gospodarki europejskiej.

We wrześniu ub.r. rząd umówił się ramowo ze związkami, że wydobycie węgla ustanie do 2049 r., co i tak postrzegano wówczas jako śmiały krok – w porównaniu ze wcześniejszymi deklaracjami niektórych przedstawicieli władzy. 29 lat to nie jest dużo, jak na skalę obecnego wydobycia ponad 50 mln ton rocznie i liczbę osób zatrudnionych w górnictwie. Jest to ok. 130 tys. osób, średnia wieku pracowników dołowych wynosi 36 lat. Do tego jeszcze trzeba doliczyć co najmniej drugie tyle pracowników sieci podmiotów zależnych od górnictwa. Dopięta obecnie umowa zawiera ustalenia co do różnych mechanizmów „transformacji”, czyli wsparcie dla branż mogą-

cych zastąpić górnictwo, ale sedno sporów tkwiło w gwarancjach pracy i płacy dla górników. Związkom udało się m.in. uzyskać kontrowersyjną prawnie ustawową gwarancję zatrudnienia każdego górnika aż do emerytury.

Środowiska ekologów mówią o „zmowie węglowej na koszt podatników” i wskazują, że jakkolwiek opłacalne wydobycie może się na Śląsku skończyć grubo przed 2049 r., a gwarancje pracy i płacy to krótkowzroczne korumpowanie górników. Mają częściowo rację, ale nie można obiecać setkom tysięcy ludzi szybkiego „zielonego” przebranżowienia. Być może uczciwszym wyjściem byłaby gwarancja nie zatrudnienia, lecz tylko wynagrodzenia (czyli *de facto* zapewnienie górnikom bezwarunkowego dochodu podstawowego) przy szybkim zamknięciu kopalń. Ale takie rozwiązanie byłoby trudno „sprzedać” nie tylko w Brukseli, ale i wyborcom poza Śląskiem. Nie unikniemy jednak prawdy, że szybkie działania na rzecz klimatu wymagają ogromnych kosztów i szokujących rozwiązań, które mogą się wydać niesprawiedliwe, lecz w szerszej perspektywie zachowują spójność społeczny. Czy bowiem sprawiedliwe jest przerzucanie ciężaru na ludzi, którzy urodzili się w niewłaściwym regionie? ©P

Jest pandemia, alimentów nie będzie

BLISKO 939 TYS. ZŁ – to największy dług alimentacyjny w Polsce, należący do 31-latka z Małopolski. Jak podaje Biuro Informacji Gospodarczej InfoMonitor, zadłużenie alimentacyjne na koniec lutego br. przekroczyło 11 mld zł i w ciągu pięciu lat wzrosło o blisko 1,5 mld zł. Można by to tłumaczyć głównie odsetkami powiększającymi nieobsługiwane długi, gdyby nie fakt, że tylko w 2020 r. na listę takich dłużników wskoczyło aż 25 tys. nowych nazwisk. Dla wielu osób niepłacenie alimentów stało się więc najprostszą metodą na chwilowe podreperowanie sytuacji finansowej.

Powyższe statystyki rzucają też nowe światło na ogłoszone dawno przez PiS zwycięstwo w wojnie z nierzetelnymi alimen-

tariuszami. Wiosną 2017 r. weszła w życie nowelizacja kodeksu karnego, która wyrzuciła zeń definicję „uporczywego” uchylania się od świadczenia. Miejsce uznaniowości (do uniknięcia skazania wystarczyła drobna wpłata raz na jakiś czas, potwierdzająca rzekomo „dobrą wolę” dłużnika) zajęła kara do roku więzienia dla osób, które zalegają z alimentami przez 3 miesiące. Efekt? Już pół roku później resort sprawiedliwości chwalił się danymi o ponad stu-procentowym wzroście skuteczności poboru świadczenia.

Najnowszy wzrost zadłużenia alimentacyjnego w czasie pandemii może świadczyć więc o tym, że państwo polskie kolejny raz uznało, iż jego rola kończy się na kodyfikacji surowych kar. Ściągać skutecznie nieuczciwych dłużników – czyli robić coś, co wedle badaczy systemów prawnych działa najbardziej odstraszająco na potencjalnych sprawców – już nie potrafi. Albo nie chce.

©P MAREK RABIJ

Dane policjantów dla każdego

NIE HAKER czy inne mroczne siły ujawniły dane 22 tys. mundurowych. To pracownik Rządowego Centrum Bezpieczeństwa wrzucił plik zawierający dane funkcjonariuszy policji, służby więziennej, SOP i skarbówki do publicznego narzędzia służącego do wizualizacji danych. Pewnie chciał sobie ułatwić pracę. Zamiast tego udostępnił te informacje każdemu zarejestrowanemu użytkownikowi tego programu.

Plik zawierał PESEL-e, numery telefonów i adresy miejsc zatrudnienia funkcjonariuszy zgłoszonych do szpiegowania. O ile strażacy pewnie nie mają czego się bać, o tyle policjanci mają realny problem. W pakiecie nie było wprowadzić numerów dowodów czy prywatnych adresów, ale powiązanie danych z innymi, np. pochodzącymi z niedawnego wycieku z Facebooka, jest banalne. Reakcja państwa? Komendant Główny Policji przesłał ostrzeżenie do policjantów. Wykupi im też dostęp do alertów Biura Informacji Kredytowej, które uprzedzą ich, jeśli ktoś będzie chciał na nich się zadłużyć.

Ktoś w skandaliczny sposób złamał procedury bezpieczeństwa albo – co gorsze – takich procedur wcale nie było. Problem dotyczy jednak nie tylko osób, których dane ujawniono. Jeśli państwo tak obchodzi się z informacjami o ludziach, których tożsamość powinna być szczególnie chroniona, to jak zabezpieczone są dane pozostałych obywateli? Trwa spis powszechny, prowadzony głównie online. Kto chciałby, żeby haker mógł sobie dopasować jego profil na Facebooku do numeru telefonu, adresu i statusu majątkowego?

© AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

PKO PB gotowe iść na rękę frankowiczom

BANK PKO BP wkrótce będzie gotowy ruszyć z programem pozasądowych ugod z frankowiczami. Zgromadzenie akcjonariuszy banku (Skarb Państwa ma tam 29 proc. udziałów) zdecydowało o utworzeniu 6,7 mld zł rezerwy na koszty konwersji hipotecznych kredytów frankowych na pożyczki w złotym. Oferta ugod zostanie uruchomiona na przełomie maja i czerwca, bank czeka jeszcze na opinię Izby Cywilnej SN, która ma zostać wydana w maju. Do zawierania takich ugod wzywał już kilka miesięcy temu szef Komisji Nadzoru Finansowego. PKO BP posiada ok. 20 proc. hipotek frankowych w Polsce, pozostałe banki na razie nie przewidują wejścia na ścieżkę masowych ugod. Jednak rola PKO BP na rynku bankowym, wynikająca ze struktury jego akcjonariatu oraz doświadczenia, jakie zdobędzie z klientami w wyjściu z frankowego pata, może okazać się poważną zachętą dla innych.

© © PB

KRAJ W SKRÓCIE

UGODA

„Wszystkie strony wyrażają przekonanie co do pozytywnych skutków działań Zjednoczonej Prawicy od czasu podwójnego sukcesu wyborczego w 2015 r. i wolę zawarcia porozumienia programowego na lata 21-23. Odpowiednie kroki zostaną podjęte w najbliższych dniach” – czytamy w oświadczeniu po spotkaniu Kaczyński-Gowin-Ziobro. Ciekawe, czy przekonanie i wola wystarczą, by ośmudzić emocje.

POZEW

Ciekawe również, czy pozew złożony przez agencję R4S i jej współwłaściciela Adama Hofmana (domagają się miliona złotych) przeciwko dziennikarzom „Gazety Wyborczej”, OKO.press i Fundacji Reporterów wywoła efekt mrozący i doprowadzi do powstrzymania publikacji na temat istniejącej wokół b. rzecznika PiS grupy biznesowej, która zdaniem pozwanych gęsto obsadziła spółki Skarbu Państwa. „Oświadczamy, że ani pozwy, ani groźby nastania na nas upartyjnionej prokuratury nie zastraszą naszych dziennikarzy czy naszych redakcji” – piszą dziennikarze.



JAKUB KAMIŃSKI / EAST NEWS

SĘDZIA

À propos upartyjnionej prokuratury: tzw. Izba Dyscyplinarna SN odrzuciła wniosek Prokuratury Krajowej, domagającej się zgody na zatrzymanie i przymusowe doprowadzenie na przesłuchanie sędziego Igora Tulei.

To nie koniec kryzysu



WOJCIECH KONOŃCZUK

ZACHÓD ODETCNAŁ Z ULGĄ: MOSKWA Zogłosiła, że wycofuje ponad 100-tyśięczne wojska spod granicy ukraińskiej. Formalnie zakończyły się trwające trzy tygodnie „nieplanowane ćwiczenia”, które wywołały poważne obawy także na Zachodzie, czy aby nie jest to przygotowanie do nowej fazy agresji przeciw Ukrainie.

Za wcześnie jednak na ogłaszanie, że sytuacja wróciła do *status quo*. Wojska wycofano do koszar, które są przecież niedaleko granicy ukraińskiej – w razie potrzeby ich ponowne postawienie na nogi to kwestia dni. Kreml, który próbował dokonać operacji zastraszenia i nie osiągnął swych celów ani wobec Zachodu, ani Kijowa (ten ostatni konsekwentnie odrzuca możliwości ustępstw – czytaj: kapitulacji – wobec żądań rosyjskich w kwestii Donbasu), nie odpuści. Coroczne wystąpienie Putina przed Zgromadzeniem Federalnym nie pozostawiło złudzeń, że nie ma mowy o deeskalacji. Zamiast tego Putin wysłał sygnał: jesteśmy nieprzewidywalni, bójcie się nas.

Relacje Rosji z Zachodem znajdują się w głębokim kryzysie, a ostatnia fala wzajemnych sankcji i wyrzucania dyplomatów jest jednym z wielu tego potwierdzeń. Najbardziej głośne medialnie są działania Pragi, która „poprosiła” kolejnych rosyjskich dyplomatów (teraz w liczbie ponad 60; wcześniej wydalono ich 18) o opuszczenie Czech – to odpowiedź na ujawnione niedawno wysadzenie przez rosyjskie służby jeszcze w 2014 r. składu amunicji we Vrběticach.

Deeskalacji nie sprzyjają też zaplanowane na wrzesień wybory parlamentarne w Rosji. Wprowadzić opozycję skupioną wokół Aleksieja Nawalnego została spacyfikowana i przynajmniej przez jakiś czas nie stanowi dla Kremla zagrożenia, ale problemem jest ledwie 25-procentowe poparcie dla proputinowskiej Jednej Rosji. Utrzymywanie sytuacji „obłożonej twierdzy” wpisuje się więc w scenariusz mobilizowania wyborców.

Także dlatego w najbliższych miesiącach wciąż możliwa jest ograniczona eskalacja działań zbrojnych na granicy z Ukrainą. A już z pewnością straszenie wojną pozostanie ważną częścią instrumentarium Kremla.

©



NICHOLAS PFOSI / REUTERS / FORUM

Werdykt z Minneapolis

W USA PRZEŁOMOWY WYROK: były policjant Derek Chauvin został uznany winnym śmierci czarnoskórego George'a Floyda.

Telewizyjną transmisję z ogłoszenia werdyktu ławy przysięgłych śledziło co najmniej 23 mln Amerykanów. Chauvin, który w maju 2020 r. przez ponad 9 minut dusił kolanem Floyda, został uznany winnym trzech postawionych mu zarzutów: morderstwa drugiego stopnia (oznacza, że sprawca nie działał intencjonalnie), morderstwa trzeciego stopnia i nieumyślnego spowodowania śmierci. Grozi mu do 40 lat więzienia, a decyzja o konkretnym wymiarze kary zapadnie w czerwcu. Chauvin, którego brutalną interwencję zarejestrowała telefonem osoba postronna – nagranie obiegło świat i wywołało falę antyrasistowskich protestów – nie przyznał się do winy.

Werdykt ws. zabójstwa Floyda jest przełomowy. W USA rzadko dochodzi bowiem

do skazania funkcjonariuszy dopuszczających się nadużyć w trakcie interwencji. Prezydent Biden zaapelował, by pójść o krok dalej, i wezwał Kongres do uchwalenia reformy policji, która m.in. nakładałaby obowiązek noszenia kamer na policyjnych mundurach. Nie obędzie się jednak bez politycznych przepychanek między Demokratami i Republikanami, którzy przygotowali osobne projekty ustaw (ci drudzy optują za mniejszymi restrykcjami dla policji). Tymczasem w trakcie trzytygodniowego procesu w Minneapolis z rąk funkcjonariuszy zginęły kolejne osoby: jedną z nich, 16-latkę z Ohio, zastrzelono na niecałe pół godziny przed ogłoszeniem przełomowego wyroku. Tu nie chodzi już tylko o śmierć Floyda.

Na zdjęciu: babcia Dauntego Wrighta, który zginął 13 kwietnia. Podczas kontroli drogowej policjanci stwierdzili, że 20-letni Wright jest poszukiwany listem gończym i chcieli go zatrzymać; doszło do szarpantiny. Z nagrania kamery wynika, że policjantka pomyliła pistolet z paralizatorem i oddała strzał. © MARTA ZDZIEBORSKA

Codziennie nowy front

W ŚRODKU TRZECIEJ FALI epidemii, która dotyka także Niemcy, lista zarzutów i żądań pod adresem rządu Angeli Merkel robi się coraz dłuższa.

W minionym tygodniu ponad 50 popularnych aktorek i aktorów umieściło w sieci krótkie nagrania. „Zamknijcie wszystko”, „Chcemy się jeszcze bardziej bać”, „Posiadanie innego zdania jest takie niesolidarne” – to niektóre z prześmiewczych haseł, jakie rozpętały ogólnokrajową dyskusję wokół niekonsekwentnych działań rządu, kolejnych miesięcy pod znakiem lockdownu, ale i wolności słowa. Równocześnie na ulicach wielu miast skrajna lewica protestowa-

ła przeciw wprowadzonej właśnie godzinie policyjnej. „Wirus nie wychodzi w nocy na spacer, tylko idzie rano pracować” – brzmiało hasło demonstrantów, którzy przy okazji epidemii chcą rozprawić się z kapitalizmem i zamknąć wielkie fabryki.

Co rusz pojawia się nowy front. Zaszczepieni chcą więcej praw, niezaszczepieni przestrzegają przed dyskryminacją, a kraje związki nie chcą jedynie posłusznie wykonywać instrukcji z Berlina. Epidemiczny stres społeczny obciąża rządzącą koalicję chadeków i SPD, a wspiera opozycyjnych Zielonych – sondaże dają im szansę na zwycięstwo we wrześniowych wyborach (o kampanii w Niemczech napiszemy w kolejnym numerze „TP”).

© ŁUKASZ GRAJEWSKI Z LIPSKA

Śmierć żandarma Sahelu



WOJCIECH JAGIELSKI

PREZYDENT CZADU IDRISSE DÉBY, jedyny z prawdziwego zdarzenia sojusznik Zachodu w walce z dżihadystami, którzy panoszą się na Sahelu i Saharze, zginął w minionym tygodniu w potyczce z rebeliantami zamierzającymi odebrać mu władzę. Rządy w kraju objęło wojsko.

Déby rządził od 30 lat jak dyktator, ale wiedział, że Zachód wybaczy mu wszystko, jeśli nie będzie mógł się bez niego obejść. Jego życie zeszło mu na wojnach domowych (tak doszedł do władzy), sąsiedzkich (Libia, Sudan, Republika Środkowoafrykańska) i tłumieniu rebelii.

Gdy jego wojsko nie dawało rady buntownikom, z pomocą przychodziła Francja, była metropolia kolonialna, której Déby dogadzał we wszystkim: Francuzi utrzymywali w Czadzie bazy wojskowe, a ich koncerny naftowe i górnicze miały pierwszeństwo przed innymi.

Z kolei przysługą, która sprawiła, że Déby stał się niezbędny nie tylko Francji, ale całemu Zachodowi, była wojna, którą wydał regionalnym dżihadystom: w 2013 r. posłał wojska na pomoc Francuzom, gdy lądowali w Mali, by powstrzymać marsz dżihadystów na stołeczne Bamako. Rok później armia Czadu przyłączyła się do wojny z aktywną w regionie islamistyczną partyzantką Boko Haram, a także stała się trzonem afrykańskiego korpusu wspierającego 5 tys. Francuzów w walce z dżihadystami w Sahelu.

Ekspansja tych ostatnich w Afryce zaczęła się w Libii, skąd w 2012 r. uzbrojeni w zrabowanych arsenałach Kaddafiego Tuaregowie i wspierający ich dżihadysty najechali na Mali. Rebelianci, którzy zabili teraz głównego sojusznika Zachodu w wojnie z dżihadystami, do marszu na Ndżamę, stolicę Czadu, też ruszyli z Libii, gdzie walczyli w armii watażki Chalify Haftara, wspieranego i zbrojonego przez Rosję, Zjednoczone Emiraty Arabskie oraz... Francję.

© ©

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

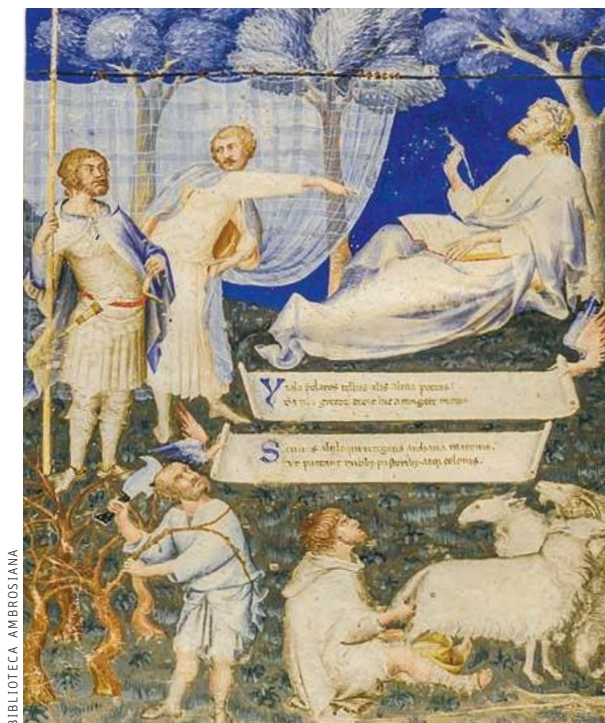
WYSZYŃSKI NA OŁTARZE
Franciszek zdecydował, że beatyfikacja kard. Stefana Wyszyńskiego oraz Róży Marii Czackiej odbędzie się 12 września w Warszawie. Papieża będzie reprezentował prefekt Kongregacji do spraw Kanonizacyjnych kard. Marcello Semeraro. Beatyfikacja prymasa początkowo miała odbyć się 7 czerwca 2020 r. Dwa miesiące wcześniej została bezterminowo zawieszona z powodu pandemii.

ROZMOWA O KOŚCIELE
Przedstawiciele Kongresu Katolickich i Katolików spotkali się 24 kwietnia z Radą Episkopatu ds. Apostolstwa Świeckich i przedstawili podstawowe założenia Kongresu jako forum dyskusyjnego o kryzysie w Kościele. Odpowiedzieli też na krytyczne uwagi. Wcześniej odbyli „długą i serdeczną rozmowę” z bp. Adrianem Galbasem, przewodniczącym Rady.

PROTEST KIK
„Poraża nas zdanie, że kwestia tzw. mordów rytualnych »stanowi element nierozstrzygniętej ciągle dyskusji naukowej«” – w ten sposób warszawski KIK odniósł się do utrzymania w mocy przez Komisję Dyscyplinarną Pracowników KUL umorzenia postępowania wyjaśniającego w sprawie wypowiedzi ks. prof. Tadeusza Guza o żydowskich mordach rytualnych. „Wspomniane uzasadnienie jest m.in. obrazą ofiar antysemityzmu w całej Europie” – uważają klubowicze.



ŁUKASZ GRAJEWSKI opowie Agnieszce Lichnerowicz o nowej fabryce Tesli tuż za polską granicą w „Światopodglądzie” Radia Tok FM w czwartek, 29 kwietnia, o godz. 16.00
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce www.tokfm.pl



BIBLIOTEKA AMBROSJANA

500 NAJSTARSZYCH

MANUSKRYPTÓW udostępniła online Biblioteka Ambrosjańska z Mediolanu. Wśród nich – bezcenny, późno antyczny kodeks F. 205 Inf., zwany Ilias picta, z ilustracjami do Iliady, średniowieczne wydania „O wojnie galijskiej” i „O wojnie domowej” Juliusza Cezara, jak również dzieła z zakresu astronomii, historii i literatury (na zdjęciu: miniatura Simona Martiniego na okładce komentarzy Serwiusza do poezji Wergiliusza, rok 1340). Mediolańska biblioteka, założona na początku XVII w. przez kard. Fryderyka Boromeusza, jest najstarszą istniejącą biblioteką publiczną we Włoszech i drugą – po oksfordzkiej – w Europie. Cyfrowy zbiór liczy ponad 287 tys. skanów. Dostępny jest bezpłatnie pod adresem: ambrosiana.comperio.it © EA

Biblia łączy badaczy



PIOTR SIKORA

MINISTER EDUKACJI I NAUKI PRZEMYSŁAW CZARNEK zapowiedział wydzielenie biblistyki jako osobnej dyscypliny w ramach nauk teologicznych. Intencją tego działania ma być stworzenie warunków, „żeby Polska mogła stać się jednym z wiodących ośrodków biblistyki w całym świecie”. Zapowiedź wywołała krytykę – ministrowi zarzucano najczęściej, że w nieuzasadniony merytorycznie sposób uprzywilejowuje teologię.

Urzędowy podział działalności naukowej na dyscypliny przekłada się na dostęp naukowców do pieniędzy, a więc na rozwój badań. Jednak konkretne formy tego podziału są od dawna krytykowane przez środowisko akademickie – jako nieadekwatne wobec tego, jak naprawdę wygląda dziś specjalizacja i współpraca w badaniach naukowych.

A co z samą biblistyką? W wielu krajach Zachodu jest ona interdyscyplinarnym obszarem badawczym. Łączy go przedmiot – świat i czas, w którym powstały księgi biblijne (nie tylko Pierwszy i Nowy Testament). Świat ten jest badany metodami różnych nauk: historii, archeologii, językoznawstwa, literaturoznawstwa, socjologii, antropologii kulturowej. Chcąc docenić biblistykę, minister Czarnek zapomniał więc o najważniejszym – że w wiodących ośrodkach nie jest ona częścią konfesyjnej teologii.

W Polsce pogłębia się kryzys powołań

O 11 PROCENT MNIEJ kandydatów zgłosiło się w tym roku akademickim do seminariów diecezjalnych i zakonnych (441 w 2020 r. i 498 w 2019 r.). Po jednym kandydacie zapukało do furt seminariów w Drohiczyźnie, Gnieźnie i Sosnowcu, natomiast do seminarium w Świdnicy nie zgłosił się nikt.

Ogółem do kapłaństwa przygotowuje się w tym roku 2556 kleryków, czyli o 10 proc. mniej niż w ubiegłym roku (2853). W ciągu ostatnich 16 lat liczba ta niemal trzykrotnie zmalała; w 2004 r. było 7465 kleryków. Średni światowy spadek liczby przygotowujących się do kapłaństwa jest łagodniejszy – między rokiem 2019 a 2018 odnotowano spadek o 1,6 proc.

Dane te przedstawiono z okazji przypadającego na Niedzielę Dobrego Pasteusza 58. Światowego Dnia Modlitw o Powołania. „Być może Bóg oczekuje czegoś innego niż więcej modlitw, może chce od nas raczej zastanowienia się nad tym, czy dotychczasowy kształt kapłańskiej i zakonnej służby odpowiada potrzebom Kościoła i społeczeństwa tego czasu” – zastanawia się ks. Tomasz Halik w książce „Czas pustych kościołów”. © ASK

Złote, ale skromne

ANITA PIOTROWSKA



PANDEMIA PANDEMIA, LECZ OSCAROWE przedstawienie musi trwać. Choćby i na dworcu, z mocno okrojonym czerwonym dywanem, transmitowaniem tych nieobecnych i z zachowaniem dystansu.

Było skromniej, ale za to bardziej po ludzku. Chloë Zhao, reżyserka „Nomadland”, czyli wielkiego zwycięzcy tej gali, występowała w trampkach, Emerald Fennell odbierała nagrodę za scenariusz oryginalny dla „Obiecującej. Młodej. Kobiety” w zaawansowanej ciąży, a podziękowania i społeczno-polityczne odezwy brzmiały jakoś bardziej szczerze.

Wielkich zaskoczeń nie było – i bardzo dobrze. Jeśli chwilami miało się wrażenie, że Oscary przyznawał algorytm, to w większości przypadków się nie pomylił. „Nomadland” (najlepsza produkcja roku, reżyseria i główna rola Frances McDormand) jest filmem spełnionym. Odbija się w nim nie tylko Ameryka jako kraj przymusowych nomadów, ale i, chcąc nie chcąc, cała nasza okołopandemiczna niepewność jutra. Przy tym obraz, który jest tak blisko życia, blisko ludzi, który upomina się o ich godność, operuje muśnięciami, a nie nośnymi hasłami.

93. edycja Oscarów przejdzie do historii z wielu powodów. Zhao to raptem druga reżyserka, która doczekała się złotej statuetki. Nigdy zresztą nie było tak równościowo i różnorodnie, co widać choćby w nagrodach za drugi plan (Afroamerykanin Daniel Kaluuya w „Judasa and the Black Messiah” i Koreanka Yuh-Jung Youn w „Minari”). Targowisko próżności uhonorowało także organizacje humanitarne i, o dziwo, nie czuło się w tym geście hipokryzji. Również tradycyjne „in memoriam” miało w tym roku mocniejszy wydźwięk.

Trochę jednak zabrakło odwagi. „Na rausz” Thomasa Vinterberga (najlepszy film zagraniczny), a zwłaszcza „Czego nauczyła mnie ośmiornica” Pippy Ehrlich i Jamesa Reeda (najlepszy dokument) to wybory raczej „bezpieczne”. Jeśli jednak celem tego przewidywalnego show miała być promocja filmów przed ponownym otwarciem kin, to spełniło ono swoją funkcję. Przede wszystkim obudziło tęsknotę za normalnością, bo przecież pełne sale kinowe są jej częścią. ©

KULTURA W SKRÓCIE

NIE TAK RÓŻOWO

Przed oscarową nocą rozdano Złote Maliny dla najgorszych filmów minionego roku. Nominowana aż w sześciu kategoriach polska produkcja „365 dni” na podstawie powieści Blanki Lipińskiej otrzymała jedno wyróżnienie, za scenariusz autorstwa Tomasza Klimali.

PODWÓJNE LAURY

Na festiwalu Aspen Shortsfest (Kolorado, USA) polska animacja „We Have One Heart” zdobyła Nagrodę Jury w kategorii „Film dokumentalny”. Katarzyna Warzecha – reżyserka i scenarzystka – otrzymała również Nagrodę Ellen, upamiętniającą postać założycielki festiwalu, zmarłej niedawno Ellen Hunt.

CZYTAMY WIĘCEJ

Jak wynika z raportu Biblioteki Narodowej w 2020 r. jedną książkę przeczytało 42 proc. Polaków – to najlepszy wynik od sześciu lat. Najchętniej sięgamy po kryminały, romanse, biografie, wspomnienia oraz książki historyczne dotyczące XX w. Ulubionymi autorami Polaków są Remigiusz Mróz, Olga Tokarczuk i Stephen King.

W STREFIE WYKLUCZENIA

Gliwickie studio The Farm 51 zaplanowało na lipiec premiery finalnej wersji gry „Chernobylite”. Graczy czeka nieliniowa fabuła oraz swobodna eksploracja czarnobylskiej Strefy Wykluczenia.



THE FARM 51 / MATERIAŁY PRASOWE

Lot nad Marsem



NASA

WYCZYN MARSJAŃSKIEGO ŚMIGŁOWCA

Ingenuity, który w ubiegłym tygodniu już po raz drugi wzbił się w powietrze, nieco przyćmił inne wydarzenia, do którego doszło 64 metry dalej. Tam, na

pokładzie łazika Perseverance, otwarto drogę do załogowej misji na Marsa.

To historyczny moment. 82 lata po pierwszym locie śmigłowca, pilotowanego w melniku przez Igora Sikorskiego, lotnictwo dotarło do innego świata. Nie był to pierwszy pozaziemski lot – w 1985 r. radziecki balon poleciał na Wenus – ale pierwszy całkowicie kontrolowany. Agencja lotnictwa cywilnego ICAO nadała marsjańskiemu kraterowi Jezero kod cywilnego lotniska – JZRO.

Dotąd nie było pewne, czy da się stworzyć pojazd zdolny do autonomicznego lotu w atmosferze sto razy rzadszej od ziemskiej. Sukces otwiera drogę do nowych sposobów badania obcych światów. Dron Dragonfly ma w 2032 r. wzlecieć na Tytanie.

Ale to ten drugi eksperyment może dać człowiekowi przyszłość w kosmosie. Instrument MOXIE przetworzył marsjański CO₂ na tlen. 5 gram, dość by człowiek oddychał 10 minut. Podobne urządzenia mają pozwolić kiedyś astronautom oddychać pełną pierśią, bez taszczenia powietrza z Ziemi. W kosmosie, jak w samolocie, dobrze podróżować bez zbędnego bagażu.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Mrowisko, mózg królowej i gra o tron

NIE U WSZYSTKICH GATUNKÓW mrówek występuje sztywny system kastowy, w którym rozmnażać się może wyłącznie królowa, a resztę kolonii tworzą jej sterylne córki-robotnice. O przeznaczeniu larwy samicy decyduje na ogół ilość dostępnego pożywienia – jeśli dostanie go ona dużo, może rozwinąć się z niej królowa; w przeciwnym razie zostanie robotnicą.

U niektórych gatunków, m.in. *H. saltator* żyjących w Indiach, los robotnic nie jest jednak ustalany raz na zawsze. Niektóre z nich włączają się do gry o tron, gdy ich matka się zestarzeje – mogą bowiem odblokować swoje zdolności reprodukcyjne. Gdy któraś z siostr pokona rywalki i zdobędzie koronę, całkowicie poświęca się produkcji potomstwa. Dochodzi nawet do skurczenia jej mózgu (o 20 proc.). Jak ustalił zespół Clint A. Penicka, te zmiany są odwracalne: „uzurpatorkę” można pozbawić zdolności reprodukcyjnych, a wówczas jej mózg odrośnie. Wraca wtedy do swojej starej roli: poszukiwania żywności dla całego stada. © P Ł K



Natalia Polasik, „The Girl and Her Plants”, 2021 r.

REPUBLIKA ROŚLIN

Tworzą życie na Ziemi.
Jeśli więc wiosną, wychodząc z lockdownów i kwarantann,
utrzymamy świeżo zdobytą troskę o nie,
będzie to jeden z niewielu pożytków z pandemii.

MARCIN ŻYŁA

OCZYWISTOŚCI MIEJMY ZA SOBĄ OD razu. Dają tlen, radość i przyjemny chłód. Uczą cierpliwości, uważności, czasem pokory. Dostarczają pokarm, dekorują wnętrza. Ubieramy się w nie, płacimy za mieszkanie w ich sąsiedztwie, w ich cieniu nieźle pisze się fraszki.

Od wybuchu epidemii COVID-19 – to też już żaden news – zmuszeni do spędzania czasu w domach, zwróciliśmy na rośliny większą uwagę. Zmęczone od ekranów oczy szukały za oknem drzew. Balkony okazały się małe i wróciły marzenia o własnych ogrodach. Czas, choć nerwowy, spowolnił, zbliżając się ciut do tego, w którym życie toczą nasze sukulent, filodendrony i podagryczniki polipolite.

Wbrew tytułom bestsellerów, życie roślin wcale nie jest sekretne. Jednak aby poznać je od innej strony, musimy na parę chwil zapomnieć o dobrych radach. A nawet postąpić wbrew nim: odsunąć badyle od światła, schować sekatory, pogrzebać w korzeniach.

I najważniejsze – przestać je podlewać.

Ton nadaje liść

Zacniemy od nie byle czego: zatrzymamy fotosyntezę. Ostatecznie w półmroku dźwięk roznosi się lepiej. Pomieszczenie jest niewielkie, ludzi sporo, duszno jak w Amazonii. Wąskie snopy światła z reflektorów punktowych rzucają na ściany cienie w kształcie liści i głów, z których co chwila jakaś wychyla

się do przodu. Ciekawość zwycięża – słysząc te dźwięki, trudno nie zerkać na ustawiony na scenie zestaw kabli, samplerów i roślin doniczkowych. Z głośników dobiegają szumy, trzaski, szepty i lamenty. Zmieniają się rytmy i tony, raz jest głośno, czasem zapada cisza. Tak grają rośliny.

Gościmy na występie Piotra Grygora, artysty audiowizualnego, który „tłumaczy” przewodnictwo elektryczne występujące w liściach i łodygach na słyszalne i znane człowiekowi dźwięki. Korzysta z galwanometru, przyrządu znanego z wykrywaczy kłamstw. Do roślin przykłada elektrody, a wychwycony przez nie sygnał przepuszcza przez komputer i sampler, mogący podłożyć brzmienie całej orkiestry. Niektóre tytuły zarejestrowanych występów: „Begonia”, „Plant Chant”, „Filix. Na udźwiękowione życie roślinne i elektronikę”.

– Zmiany oporu elektrycznego w roślinach są drobne i zwykle szybkie. Podpinając je do sprzętu możemy uzyskać rytmy, melodie czy wizualizacje. Wszystko zależy od naszej wyobraźni i umiejętności „tłumacza” – opowiada Grygor. Powstają dźwięki niekoniecznie łatwe w odbiorze („lepiej lubić Pendereckiego”), ale zaskakująco zróżnicowane: od abstrakcyjnych, noise’owych faktur, przez organiczne bulgoty do muzyki tonalnej, z użyciem znanych, oswojonych instrumentów.

Grygor stara się wybierać rośliny o delikatnych liściach, na których elektrody

mogą wychwycić sygnał. Gdy tkanka roślinna jest gruba, sensorom trudniej odczytać zmiany, oporniej tworzą się rytmy lub elementy przypominające melodie. Podczas rozmowy szukamy odpowiednich słów. Czy to „koncert”, „happening”, a może „akcja”? „Kompozycja”, „melodia” czy „muzyka”?

– Dla mnie to swego rodzaju medytacja nad pojawianiem się i zanikaniem form, odbywana poza językiem. Moment, gdy możemy ominąć tę nawykową paplaninę, którą zwykle produkuje nasz umysł. Oraz wniknąć, dzięki roślinom, w tu i teraz. Chcę, aby widz czy słuchacz mógł zajrzeć za krawędź, do której na co dzień się nie zbliża. Może za tym pójdzie nieco inne spojrzenie na świat?

W powodzi miłosierdzia

Na występ Grygora jeszcze wrócimy. Tymczasem, uspokojeni przez gromadzący się wokół artysty tłumek słuchaczy dotykających, podlewających i mówiących do paprotek na scenie, że światło i koncerty fortepianowe Mozarta nie są warunkiem koniecznym do przeżycia rośliny, zadajmy pytanie odważniejsze: czy badyle rzeczywiście potrzebują wody?

Odpowiedź składa się z dwóch części: zasadniczej („tak...”) oraz uszczegóławiającej („...ale mniej niż myślimy”). Prawda jest bowiem taka, że rośliny doniczkowe giną najczęściej bombardowane naszą miłością. Według Katarzyny Dziedzic, współzałożycielki Fundacji →

→ Schronisko dla Roślin, niemal wszystkie przypadki ich zgonów są spowodowane przelaniem.

– Rośliny nie da się ukatrupić w jeden-dwa dni. Jeśli umiera, to znaczy, że nie zwracaliśmy na nią należytej uwagi. Bo na pewno dawała znaki: zaczynały żółknąć liście, pojawiły się plamy – tłumaczy cierpliwie Dziedzic.

– Na co zwracać uwagę? – pytam więc błyskotliwie.

– Liście w całości żółte oznaczają, że przelaliśmy roślinę. Gdy widzimy żółty liść z zielonymi nerwami, to znaczy, że brakuje składników mineralnych. Jeśli roślinie brakuje wody, liście bledną, a łodygi tracą sprężystość. Obeschnięte końcówki liści i plamki pojawiają się zwykle w zimie, gdy grzejemy kaloryferami i w powietrzu brakuje wilgotności. Jeśli plamki są nieregularne, najpewniej pojawił się grzyb – było za ciepło, za wilgotno. Albo zraniliśmy roślinę. Przez miejsce, w którym przecinamy tkankę rośliny, jej

skórkę, do środka mogą się dostać bakterie – brzmi odpowiedź.

Ja tylko szczepekzkę

Fundacja Schronisko dla Roślin powstała w 2015 r., aby ratować te, które miały trafić na śmietnik. Z początku ludzie oddawali je w nie najlepszym stanie – założycielki same je ratowały i przekazywały dalej, do roślinnej adopcji. Teraz ludzie przynoszą już te zadbane. Pozbywają się ich, bo urosły zbyt duże i już się nie mieszczą, bo sobie z nimi nie radzą, lecz szkoda im wyrzucić żółknięte egzemplarze, bo kot podgrzyza trującą dla niego monstere. Od pewnej kobiety odebrały wielką palmę daktylową wyhodowaną z pestki, którą w latach 50. zeszłego wieku przywiózł z podróży jej mąż.

Ostatnio doszła jeszcze zmiana: roślinom wyraźnie służy SARS-CoV-2.

Katarzyna Dziedzic: – Odżyły w pandemii! Zaczęliśmy o nie systematycz-

nie dbać. Lepiej je rozróżniać. Dzielić się szczepekami. Dostawałyśmy z dziewczynami maile: „Nie chcę oddać swojej monstery, ale wiem, że rośliny są teraz ważne, dam jej część”. Albo inny obrazek z pandemią: latem na targi i wymiany roślin przychodziły panie po sześćdziesiątce, z pełnymi siatami namnożonych przez siebie roślin. Proponowaliśmy im, żeby wzięły sobie coś w zamian. A one wyciągały nożyczki, ucinały tylko szczepekzkę, i gnały dalej.

Lockdowny i kwarantanny sprawiły więc, że – użyjmy słowa, którego od października 2019 r. używają w takich miejscach wszyscy – czulej patrzymy na domowe rośliny. Ale Dziedzic zauważa też ciemną stronę pandemii: – W sklepach botanicznych kupujemy rośliny doniczkowe, ale czasem nie zwracamy uwagi na to, że tuż za płotem ktoś nam wycina zdrowe drzewo, bo zacienia podwórko. A przecież rośliny na zewnątrz są dla nas dużo ważniejsze.



Jak pokochać rośliny

1 OGARNIJ JE WYOBRAŹNIĄ.

Poradniki o tym, kiedy przesadzać, gdzie przycinać i czym nawozić, znajdziesz w księgarni. Choć dla wielu z nas ich funkcjonowanie pozostaje tajemnicze, o roślinach wiemy dużo. Szkoła życia obok organizmów, których zasady musimy uszanować, przydaje się także w relacjach z ludźmi.

2 UZNAJ SWOJE MIEJSCE obok nich. Rośliny stanowią zdecy-

dowaną większość biomasy na Ziemi. To one tworzą powietrze, a w pewnym sensie – życie. Były przed człowiekiem i zostaną po nim. Choć nic nie wskazuje na to, że mają świadomość, nie ma powodu, by traktować je jako najniższe w hierarchii istot.

3 UZNAJ ICH MIEJSCE obok siebie. Od paprotek w doniczkach po puszczańskie dęby – dla nas i innych zwierząt są punktem odniesienia, zaczy-

nem życia. Najmniejsze nawet drzewa przyciągają owady, za nimi zlatują się ptaki; tąki są jednymi z najbardziej złożonych ekosystemów. Sprzeciwiaj się wielkim, monokulturowym nasadzeniom i „projektowaniu” roślinności. Niech rosną same.

4 DBAJ O KRZEWY I DRZEWA.

Choć rzadko nadajemy im imiona i nie mamy z nimi wielu wspólnych przeżyć, rośliny na zewnątrz są ważniejsze od doniczkowych. Doglądaj ich. Dołącz do lokalnej grupy na Facebooku, pilnuj deweloperów i budowlanców – dzięki

sąsiedzkiej interwencji udało się ostatnio ocalić wiele drzew bezmyślnie przeznaczonych do wycinki.

5 DOCEŃ GLEBĘ. Każdy z nas

ma „rękę do roślin” – jeszcze sto lat temu większość ludzi zajmowała się uprawą ziemi. Gdy już doglądnieš doniczki i grządki, pomyśl, jak glebę traktuje rolnictwo wielkoprzemysłowe. Zainteresuj się i wspieraj swoimi wyborami w sklepach rozwiązania alternatywne, np. coraz silniejszy w Polsce ruch suwerenności żywnościowej.

Między nami, korzeniami

Porzucimy tu lekki ton, bo dochodząc do masowych ostatnio wycinek lasów oraz zieleni w miastach żartować już się nie da. Wracają pytania: o etyczny wymiar krzywd wyrządzanych naturze i ich skutki dla nas.

Kilkanaście lat temu rozmowę o statusie roślin pośród wszelkiego stworzenia zaogniła Federalna Komisja Etyki ds. Biotechnologii Nieczłowieczej w Bernie – uznając, w specjalnym oświadczeniu, że rośliny mają godność. Mało tego: zasadę tę wywiodła bezpośrednio ze szwajcarskiej konstytucji.

„Tłem naszych rozważań było wiele odkryć naukowych z ostatnich lat, które sugerują nowy, wrażliwy obraz roślin – tłumaczyła na łamach pisma „Plant Signaling and Behavior” Florianne Koehler, biologka i ówczesna członkini Komitetu. – Okazało się na przykład, że rośliny aktywnie wykrywają wiele parametrów w swoim środowisku, komunikują się intensywnie i wchodzą w interakcję z otoczeniem. Mogą wybierać między różnymi możliwościami działania i odpowiednio zmieniać swoje zachowanie”.

Zdaniem wielu badaczy, także na poziomie komórkowym podobieństwa między zwierzętami a roślinami są znacznie większe, niż sądziliśmy wcześniej. Rośliny mają swój odpowiednik układu odpornościowego. Choć dyskusja o świadomości roślin trwa na razie w zaciszach gabinetów najbardziej radykalnych akademików, wiadomo już, że na podstawowym, biochemicznym poziomie ich korzenie mogą odróżniać „siebie” od „nie-siebie”.

Szwajcarskie orzeczenie ma oczywiście wielu krytyków. Słowo „godność” wydaje się im nieprzystające do królestwa roślin, a w najlepszym razie zbyt ogólne. Powoduje jednak konkretne skutki. Wnioskując o dotacje z dziedziny biotechnologii roślin, trzeba dodawać akapit wyjaśniający, w jaki sposób w projekcie uwzględniona zostanie ich godność.

Jak na Ziemi znika ziemia

Czy to przesada? Zdaniem dr Moniki Kujawskiej, antropolożki i etnobotaniczki z Uniwersytetu Łódzkiego, orzeczenie sygnalizuje fundamentalną zmianę, która w ostatnich latach zachodzi stopniowo na Zachodzie. Przywykamy do myśli, że rośliny są służące na szacunek ze względu na nie same – a nie na ich służebną rolę względem człowieka.

– Arystoteles umieścił rośliny najniżej w hierarchii istot, gdyż według niego były one niezdolne do ruchu i odczuwania – mówi badaczka. – Pozbawione mózgu i niemobilne, w zachodnim myśleniu ulokowaliśmy rośliny wśród „nie-bytów”. Chrześcijaństwo uznawało je za podwładne ludziom. Kapitalizm zaś do maksimum wykorzystuje metaforę bierności roślin, traktując je jak zasoby, którymi człowiek może dowolnie zarządzać i wykorzystywać.

Efekt? Ubywa ziemi. W ciągu ostatnich 150 lat rolnictwo przemysłowe – głównie stosowanie nawozów sztucznych – zniszczyło niemal połowę najżyźniejszych gleb na planecie. Na Wyspach Brytyjskich żyzne ziemie mogą zniknąć już za ćwierć wieku. W Stanach Zjednoczonych ziemia rolna ulega erozji dziesięciokrotnie za szybko, żeby można było ją ratować. Według niektórych ekspertów Organizacji Narodów Zjednoczonych ds. Wyżywienia i Rolnictwa, jeśli fundamentalnie nie zmienimy sposobu uprawiania ziemi, starczy nam jej do końca lat 70. XXI w.

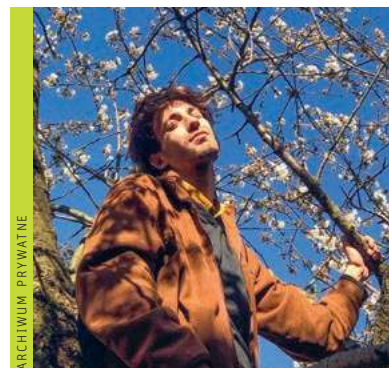
Monika Kujawska: – Zwróćmy uwagę, jak kulturowo dzielimy rośliny. Na jadalne, lecznicze, ozdobne, a ostatnio – oczyszczające powietrze. Rośliny zawsze pozostają w funkcji do czegoś. Jeśli poważnie myślimy o współtworzeniu środowiska z innymi organizmami, czy w ogóle życiu na planecie, musimy nauczyć się z nimi współpracować, a nie tworzyć hierarchie oparte na wyższości i podrzędności.

Według antropolożki dopiero niedawno zaczęliśmy zauważać, że użyteczne podejście do roślin jest krzywdzące i przyczynia się do dewastacji planety.

– Dzieci moich przyjaciół, licealiści, starają się o mikrogranty, dzięki którym będą dosadzać drzewa na naszym wrocławskim osiedlu. Odwiedzają działkowiczów, sąsiadów i rozmawiają z nimi, tworzą organizacje ekologiczne. Kwarantanna sprawiła, że poznajemy najbliższe okolice. Odkrywamy na spacerach nowe drzewa i krzewy, rozmawiamy o nich – jeżeli pandemia przyniosła cokolwiek dobrego, to właśnie zwrócenie się ku lokalności, bliskości i szczegółowi – twierdzi Kujawska.

Marchewkowe pole

Jak na znanego popularyzatora roślin, pierwsza deklaracja, która pada podczas



SEBASTIAN KULIS

ROŚLINNE PORADY:

Niedawno na forum internetowym zostałem zakrzyzczany, że bratki i stokrotki to ukochane rośliny Polaków. Ale ja nie przestanę! Przecież już od lat 80. obsadzamy bratkami miejskie klomby i widzimy, że się nie sprawdzają. To rośliny nietrwałe, niskie, które nikną między samochodami i tracą na uroku przy gorszej pogodzie. Albo weźmy pelargonie, które obok trawników i tuj stanowią u nas podstawową formę roślinności. Są jednoroczne, wydajemy na nie furę pieniędzy, marnujemy wodę, ziemię, czyjaś pracę.



PIOTR GRYGOR

ARTYSTA AUDIOWIZUALNY:

Niezmiennie pozostaję w stanie zachwytu naturą. To przecież nasza największa biblioteka. System, którego zawilości często nie pojmujemy. Praca z nią skłania do wniosku, że niewiele wiemy. To również lekcja, że nie zawsze trzeba narzucać swoje zdanie – że warto słuchać. Chcę, aby mój słuchacz mógł zerknąć za krawędź, do której na co dzień się nie zbliża. Może za tym pójdzie inne spojrzenie na świat?

→ rozmowy z Sebastianem Kulisem, wydaje się dość odważna: „Staram się nie przywiązać do roślin”. Druga – nawet jeszcze bardziej („To normalne, że umierają”).

– Cudowne jest to, że gdy złamię mi się mój ulubiony pieniążek, mogę go włożyć do wody, a on puści korzenie i będzie dalej żył. Nawet gdy roślina zaczyna gnić, mogę ją odtworzyć z jednego tylko fragmentu – mówi autor książki „Roślinne porady Sebastiana Kulisa na cztery pory roku” (ukaze się jesienią) i popularnej strony internetowej pod tym samym tytułem. – Rośliny dały mi też wolność i otwartość w myśleniu, żeby siebie nie karać za porażki. Bo nie każde fiasko w pielęgnacji jest naszą winą. To tylko roślina. Jeżeli nie jestem w stanie zapewnić jej komfortowych warunków – trudno. Najwyżej nie wyrosnie albo komuś ją oddam.

U Kulisa wszystko zaczęło się wiele lat temu od wyjazdu do Szwecji, gdzie na wsi przy prawie każdym domu zobaczył ogródek z ziołami czy sałatą. Pomyślał: skoro ma trawnik, czemu nie ma jedzenia? Rzucił w tym czasie mięso, szukał nowych smaków i składników. Tak założył warzywnik.

Opowiada, że wtedy brakowało źródeł wiedzy. Książki dla działkowców radziły wysypywać na grządki pół tablicy Mendelejewa, żeby wszystko szybko rośło. Gdy do ogrodu podejdzie zwierzę – zastrzelić. Nie chciał tak uprawiać ogrodu. Sam bierał rady. Z czasem wygodniejsze okazało się prowadzenie strony w internecie.

Kulis: – Zainteresowanie roślinami wciąż rośnie, bo to pojemne hasło, prowadzące w wiele miejsc. Na instagramie obserwują mnie restauratorzy i szefowie kuchni, którzy chcą się dowiedzieć o nowych ziołach, osoby zajmujące się kosmetykami i pielęgnacją, hodowcy roślin domowych. A nawet wytwórcy drewnianych mebli i kawosze. To przecież wszystko też rośliny.



KATARZYNA DZIEDZIC

FUNDACJA SCHRONISKO DLA ROŚLIN:

Liście w całości żółte oznaczają, że przelaliśmy roślinę. Gdy widzimy żółty liść z zielonymi nerwami – brakuje składników mineralnych. Jeśli roślina nie ma wody, liście bledną, a łodygi tracą sprężystość. Obeschnięte końcówki i plamki pojawiają się zwykle w zimie, gdy grzejemy kaloryferami i w powietrzu brakuje wilgotności. Jeśli plamki są nieregularne, najpewniej pojawił się grzyb, czyli było za ciepło i za wilgotno. Albo zraniliśmy roślinę.

O jeden klomb za daleko

Obecnie Sebastian Kulis jest w trakcie kampanii wojennej. Chce w Polsce skończyć z erą stokrotek i bratków. To trudne – trochę jakby żądać zakazu sprzedaży hot dogów na Orlenie.

– Niedawno na forum internetowym zostałem zakrzyzczany, że bratki i stokrotki to ukochane rośliny Polaków – relacjonuje, wyraźnie podekscytowany. – Ale nie przestanę. Przecież już od lat 80. obsadzamy bratkami miejskie klomby, widzimy, że się nie sprawdzają. To rośliny nietrwałe, niskie, które nikną między samochodami i tracą na uroku przy gorszej pogodzie.

A bratki i stokrotki to tylko część problemu. – Weźmy pelargonie, które obok trawników i tuj stanowią w polskich miastach i wsiach podstawową formę roślinności. Są jednoroczne, co rok wydajemy na nie furę pieniędzy, marnujemy mnóstwo wody, ziemi, kosztów transportu, czyjejs pracy. A potem, jesienią, wyrzucamy na wysypiska tony przekwitniętej pelargonii.

Na jednym biegunie mamy więc przemysłową hodowlę i utylizację roślin – w biurach, urzędach, miastach i gminach. Choć, dla porządku, trzeba tu dodać, że zarządy zieleni miejskiej, np. we Wrocławiu czy Krakowie, przeszły w ostatnich latach spore zmiany, stając się czasem samorządowymi ramionami „zielonej rewolucji”. O tym, że to wciąż mało, świadczą akcje podobne do tej, jaka do 1 maja trwa w Trójmieście. Extinction Rebellion, radykalny ruch na rzecz walki z kryzysem klimatycznym, wraz z lokalnymi organizacjami ekologicznymi namawiają mieszkańców do, jak piszą, „w zasadzie nielegalnego” sadzenia drzew i kwiatów.

Namawiają: rzucajmy bomby nasienne, twórzmy łąki kwietne, świetne dla zapylaczy. „Trzeba tylko kierować się prostą zasadą: sadzimy to, co rośnie obok. W alei lipowej nie sadzimy klonu, nie umieszczamy świerku w alei platanów – instruują. – I sięgajmy po słoneczniki! Żółte, zawsze uśmiechnięte i zwrócone w stronę słońca są świetnym symbolem dobrej zmiany, o którą przecież chodzi”.

Bo nie

Na drugim biegunie mamy – jednak jest to słowo nie do zastąpienia – czułość i różnice indywidualne. Katarzyna Dziedzic opowiada o ludziach, którzy chodzą na wystawki do Ikei – nie dlatego, że nie stać ich na kupno zdrowych okazów, tylko aby uratować te wycenione na dwa pięćdziesiąt, już na wykończeniu.

Co badył, to inny. Niejeden zaskakuje. Czasem w sposób oryginalny, jak u Piotra Grygora („Roślina potrafi zamilknąć na dłuższą chwilę. Podczas performansu, gdy czas płynie inaczej, mogą to być dla mnie chwile lekkiej grozy. Jak zareagować? Przeczekać, uznać to za element kompozycji, zakończyć utwór?” – mówi artysta). Czasem – w sposób znany każdemu, kogo niecierpliwią nie tylko kaktusy. Dający się sprowadzić do pytania: „Dlaczego nie rośnie?”. I odpowiedzi: „Bo nie”.

– Mam fikusa, który stoi u mnie od trzech lat i wypuścił dwa liście. Muszę czekać, choć bardzo chętnie bym mu coś zrobił, żeby zaczął rosnąć, a nie stał w miejscu. Drzewa owocowe posadziłem cztery lata temu. Dopiero w tym roku będzie pierwszy zbiór. Uczę się przy nich cierpliwości i tego, że warto robić coś dla siebie, tego w przyszłości – mówi Sebastian Kulis. A na pytanie, dlaczego wspomniany



MICHAŁ OKOŃSKI opowie
Grzegorzowi Chładcie
o magazynie „TP Historia:

WIŚLNA 12” w środę 28 kwietnia o godzinie
7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także
odstuchać w podkastach na stronie internetowej
radia.

| Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM |

Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM

| Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl

fikus nie rośnie, odpowiada bez namysłu: – Wydaje mi się, że jest po prostu leniwy. Opowiada też o dwóch monsterach, z których jedna niedawno puściła liść, druga – w tym samym wieku, pielęgnowana tak samo – wciąż stoi w miejscu („Taki ich charakter. Każda ma swoje zachcianki”).

Zielona przystań

Co się stanie po pandemii?

Monika Kujawska chciałaby, aby w szkołach uwrażliwiano na fakt, że dzielimy świat z innymi organizmami: – Aby bakterie, które przecież żyją w naszych ciałach, przestały być synonimem zagrażających nam mikroorganizmów. A ta wiedza była częścią naszych codziennych narracji – mówi. – Potrzebne są nam dalsze ćwiczenia z uważności. Bo jeżeli pozostajemy w kontakcie z tym, co wokół, to adekwatnie reagujemy na zmiany. Utylitarnie podejście do roślin wynika również z niewiedzy. Jeżeli nie chcemy czegoś poznać, łatwiej przychodzi nam to niszczyć. A poznanie nie jest przecież trudne. Potrzeby każdej przyniesionej do domu lub posadzonej w ogródku rośliny poznamy szybko.

– Dziś wszystko jest *constans* i *instant* – mówi Sebastian Kulis. – Co chcemy, to mamy. Stąd nasze przyzwyczajenie, że rośliny powinny być piękne. A to nieprawda. Przyzwyczajamy się do tego, iż to normalne, że liść żółknie, a monstera zimą wygląda gorzej. W końcu to żywy organizm. Nie wchodźmy do ogrodu jak do łazienki z domostosem, chcąc wyszo-



MONIKA KUJAWSKA
ANTROPOLOŻKA:

Zwróćmy uwagę, jak kulturowo dzielimy rośliny. Na jadalne, lecznicze, ozdobne, a ostatnio – na rośliny oczyszczające powietrze. One zawsze pozostają w funkcji do czegoś. Jeśli poważnie myślimy o współtworzeniu środowiska z innymi organizmami, czy w ogóle życiu na planecie, musimy nauczyć się z nimi współpracować, a nie tworzyć hierarchie oparte na wyższości i podrzędności.

rować każdy jego skrawek, poprzycinać wszystko.

Prognozy na letnie miesiące mówią o wysokich temperaturach. Jeśli na świecie nie pojawi się nowy, niebezpieczny wariant koronawirusa, zaś akcja szczepień będzie przebiegać sprawnie, spędzimy wśród zieleni dużo czasu. Będzie można wystawić nasze doniczki na światło, jeśli trzeba – podciąć, pozachwytać się trzmielami niezdarne, lecz pięknie podchodzącymi do lądowania na grządkach. Tylko z tym podlewaniem naprawdę uważajmy.

Jeśli – wychodząc z lockdownów i kwarentan – utrzymamy zdobytą świeżość troskę o rośliny, będzie to jeden z niewielu pożytków z pandemii. Czy zostanie z nami na długo? Czy przełoży się na myślenie o kryzysie klimatycznym? Na namysł o sposobach gospodarowania ziemią?

W czasie jednej z rozmów zostaje porawiony, gdy mówię o rychłym końcu planety. Jeśli o nią nie zadamy, co najwyżej skończy się człowiek. Planeta – a wraz z nią wiele gatunków roślin – będzie po nas żyła jeszcze długo. Ostatecznie to zielone tworzy życie.

Na razie jednak – zachwycajmy się zielonym. – Ja w stanie zachwyty naturą pozostaję niezmiennie – mówi Piotr Grygor. – To przecież nasza największa biblioteka. System, którego zawłości i wysublimowania często nie pojmujemy. Praca z nią skłania do wniosku, że niewiele wiemy. To również lekcja, że nie zawsze trzeba narzucać swoje zdanie czy konstrukty – że warto słuchać. © P MARCIN ŻYŁA

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Drodzy Czytelnicy! 30 kwietnia opuszczamy ulicę Wiślną. Od 1 maja mamy nowy adres: ul. Dworska 1C, 30-314 Kraków

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rabiń,
Mariusz Sepioto, Krzysztof Story,
Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Marcin Żyła,
Wojciech Piegłak (kierownik),
Historia: Wojciech Piegłak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażewska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,
Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioto,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński,
Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Marta Bogucka, Zuzanna Kardyś,
Andrzej Leśniak, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin,
Sylvia Frotow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska,
Maja Kuczińska (kierownik), Mateusz Gawron,
Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna
Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Jan Kłata, Andrzej Stasiuk,
Jacek Podsiadło, Dorota Mastowska, Zuzanna Radzik,
Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Hanna Krall

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz,
Wojciech Brzeziński, Beata Chomętowska,
s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska,
Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek,
Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík,
ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka,
Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz,
Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska,
Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław
Łubieński, Szymon Łucy, Józef Majewski,
Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja,
Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena
Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech,
Olaf Osica, o. Wacław Osajca, Jacek Podsiadło,
Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski,
Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak,
Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Stawek,
Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław
Stróżewski, Marcelina Szmer-Brysz

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes),
Maja Kuczińska (wiceprezesa)
Adres wydawcy i redakcji: 30-314 Kraków,
ul. Dworska 1C/LU 3-4, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET
GRUPA TOŻA

S-NET zapewnia wsparcie
technologiczne
dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

MAŁGORZATA

Kordowicz: Azazel



Po ŚMIERCI SWOICH DWÓCH STARSZYCH synów Aaron dowiaduje się, że nie wolno mu wchodzić do Świętego Świętych (Miejsca Najświętszego w przenośnej Świątyni) w dowolnym momencie. Będzie to robił tylko raz w roku, w Dzień Pojednania.

W owym dniu, po złożeniu ofiar za siebie i swoją rodzinę, arcykapłan dokona rytuału z dwoma kozłami: postawi je „przed Panem”, a następnie rzuci losy. Dzięki losowaniu dowie się, który kozioł zostanie złożony jako ofiara przebłagalna, a który – wypędzony na pustynię „dla Azazela”. To ostatnie wyrażenie pojawia się trzy razy w Biblii, ale te trzy razy mieści Kpł 16, 8-10, co nie ułatwia nam rozwikłania zagadki, kim bądź czym Azazel jest.

Żydowscy komentatorzy jak zwykle nie są jednomyślni. W talmudycznym traktacie Joma (po aramejsku: „ten dzień”, czyli Dzień Pojednania) słowo „Azazel” jest podzielone na *azaz* – „wyboisty, poszarpany, urwisty” i *el* – „potężny, mocny, ogromny”. Stąd „azazel” to skalisty klif na pustyni, z którego zrzuca się kozła, by pożegnać się z nim na zawsze. Inny podział tego słowa, a właściwie jego pięciu składowych spółgłosek: pierwsze dwie złożą się na *ez*, kolejne trzy na *azal*, co razem da nam – bardziej po aramejsku niż po hebrajsku – „kozy [który] poszedł / został odesłany”. Tym tropem niechybnie podążył ojciec Biblii angielskiej William Tyndale: kozioł niezłożony w ofierze mógł sobie pójść, dać dyla, nazwał go więc *escape goat*, a stąd tylko pół kroku do *scapegoat*, czyli „kozy ofiarnej”, na którego niesłusznie zrzucamy niezawinioną winę.

Uznanie „azazela” za nazwę miejsca albo samego kozła nie rodzi wątpliwości natury teologicznej. Jeden z komentatorów, średniowieczny znawca gramatyki hebrajskiej, nie chce wyłuszczyć wprost swojego poglądu na temat Azazela, pisze więc tajemniczo, że dowiemy się, gdy dojdziemy do trzydziestu trzech. Zajrzyjmy więc do Kpł 17, 7 – 33 wersy po tym, gdy „Azazel” pada po raz pierwszy: dowiadujemy się, że dotychczas Izraelici składali ofiary demonom, ale gdy Aaron ostatecznie obejmie urząd arcykapłana, już tego robić nie będą. Azazel jest więc bóstwem przywołującym na myśl Pana z mitologii greckiej bądź rzymskiego Fauna. To istotne, że Aaron stawia oba kozły „przed Panem” – Bóg decyduje o ich losie, a stary czyn bałwochwalczy znajduje nowe akceptowalne ramy. A może kozła obciążonego grzechami należy wysłać Azazelowi tak, jak bezbożność ukryta w dzbanie ma trafić do kraju Szin’ar (Za 5, 6-11)? Późny midrasz widzi w kozle wysyłanym Azazelowi łapówkę – obdarowany nie będzie oskarżał Dzieci Izraela i nie będzie przeszkadzał w uzyskaniu przez nich przebaczenia w Dniu Pojednania. Trudno więc niektórym wyżyć się takiego myślenia: Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek. ©

O. WACŁAW

Oszajca: Naśladowca z prześladowcy



W DZIEJACH APOSTOLSKICH CZYTAMY, JAK to Szaweł, po przeżyciach pod Damaskiem, wraca do Jerozolimy i bezskutecznie próbuje nawiązać kontakt z ówczesną gminą chrześcijańską. Z pomocą przychodzi mu Barnaba. Chrześcijanie znali przecież Szawła od jak najgorszej strony. Pamiętali, z jaką gorliwością wyłapywał ich i wsadzał do więzienia. Był też wśród kamienujących Szczepana.

Paweł jednak nie był, mówiąc za Franciszkiem, człowiekiem zepsutym, zdeprawowanym. Nie wiedząc o tym, był grzesznikiem. Dopiero po czasie zrozumiał, że to ta jego gorliwość, wyrażająca się w tępieniu wrogów Boga, nie pozwalała mu dostrzec, jacy ci wrogowie są naprawdę. Prześladował ich, wierząc, że przysługuje się Bogu. Tym bardziej należy podziwiać Barnabę, jego wielkoduszność. Doprowadzając Szawła do apostołów, zaryzykował wiele, gdyż słusznie można było podejrzewać Szawła o to, że jest prowokatorem. To ryzyko nie było jednak nonszalanckim, sentymentalnym ryzykancstwem. Barnaba słyszał Szawła z „jaką siłą przekonania występował w Damaszku w imię Jezusa” i uwierzył mu. Jerozolimską gminą przyjęła Szawła, a kiedy ten w krótkim czasie znalazł się w roli prześladowanego, „bracia (...) odprowadzili go do Cezarei i wysłali do Tarsu”. I tak prześladowca dołączył do prześladowanych, i rozpoczął służbę u Tego, kogo prześladował.

„Ja jestem prawdziwym krzewem winorośli – mówi Jezus – mój Ojciec zaś jest hodowcą winnej latorośli (...), a wy gałazkami. Kto trwa we Mnie, a Ja w nim, ten przynosi obfity owoc, gdyż beze Mnie nic nie możecie uczynić”. Jeśli dzisiaj ta winnica nie przynosi owoców i zdaje się usychać, to może warto odnieść do siebie te słowa Jezusa: „Trwajcie we Mnie tak, jak Ja w was. Podobnie jak winna gałązka nie może owocować sama z siebie, gdy nie trwa w krzewie, tak też i wy, jeśli nie będziecie trwać we Mnie”. Wynika z tego, że Jezus dotrzymuje słowa i jest pośród nas, ale co z nami?

„Jak Mnie umiłował Ojciec, tak i Ja was umiłowalem” – zapewnia Jezus i zachęca: „Trwajcie w mojej miłości”. „Miłością odróżniają się dzieci Boga od dzieci szatana. Choćby się wszyscy znaczyli krzyżem, odpowiadali Amen, śpiewali Alleluja, przyjmowali chrzest, uczęszczali do kościołów, zdobili ściany bazylik – różnica między dziećmi Boga a dziećmi szatana leży tylko w miłości” – mówi św. Augustyn. Jeśli więc przychodzi na nas pokusa, by odpowiedzialność za spustoszenie winnicy Pańskiej zrzucić na tzw. wrogów Kościoła i by siebie widzieć jako cierpiących „za niewinność”, popatrzmy choćby na papieża Franciszka czy patriarchę Bartłomieja, jak za przykładem Barnaby przełamują zastarzały strach przecież przed braćmi w wierze i człowieczeństwem. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:

Troska o każdego

*Umysł człowieka miłego
Bogu nie zwalcza osób ani
rzeczy, ani myśli o nich, lecz
odsuwa namiętności, jakie
mogą się z nimi wiązać.*

MAKSYM WYZNAWCA



*Oddech mędrca wychodzi
aż z pięty. Oddech zwykłego
człowieka – z gardła.
Im głębsze namiętności
i pragnienia,
tym płytszy oddech.*

ZHUANGZI



„WSZYSTKO, CO MI daje Ojciec, do Mnie przyjdzie, a tego, który do Mnie przychodzi precz nie odrzuć, ponieważ z nieba zstąpiłem nie po to, aby pełnić swoją wolę, ale wolę Tego, który Mnie posłał. Jest wolą Tego, który Mnie posłał, abym nic nie stracił z tego wszystkiego, co Mi dał, ale żebym to wskrzesił w dniu ostatecznym. To bowiem jest wolą Ojca mego, aby każdy, kto widzi Syna i wierzy w Niego, miał życie wieczne” – to słowa Jezusa zapisane w Ewangelii Janowej (zob. J 6, 37-40), przywołane niedawno przez Liturgię.

Choć zaczerpnięte są z Jezusowej Mowy Eucharystycznej, nie odnoszą się wprost i wyłącznie do Eucharystii. Mówią raczej o tym, w jaki sposób Jezus w ogóle rozumie i przeżywa swoją misję. I w takim właśnie: szerokim, czy podstawowym planie stają się zobowiązujące dla wszystkich nas, którzy ową Jezusową misję podjęli (podejmują) jako własną.

Kluczem wydaje się tutaj postawa posłuszeństwa. Jezus pełni swoją misję w absolutnym posłuszeństwie Ojcu – wedle Jego, a nie swojej woli. To posłuszeństwo dotyczy w pierwszym rzędzie nie tego, co konkretnie Jezus „robi”, ale raczej tego, do kogo kieruje swoje działanie.

Posłuszeństwo Jezusa wobec Ojca wyraża się najbardziej w odniesieniu do napotykanym ludzi. Za każdym przychodzącym człowiekiem Jezus widzi ukrytą wolę Ojca. To Ojciec daje i zadaje Jezusowi każdego, który przychodzi. Więcej! Ojciec uprzednio działa w każdej z przychodzących do Jezusa osób. Ojciec Mu je zadaje, i Ojciec Go z nich... rozliczy. Są przysłani przez Ojca – więc w posłuszeństwie Jemu – muszą zostać przyjęci.

Przy czym trudno nie wyczuć, że ta wola Ojca dotyczy wszystkich (to słowo „wszystko” – grec. *pan, pas* pada w naszym tekście aż trzykrotnie); jest powszechna – tak jak powszechne jest Boże Ojcostwo. Przecież Bóg wszystkich postrzega jako swoje dzieci.

To mocna wizja. Mocno prześwietlająca nasze myślenie i postawy. Nie da się z tą wizją pogodzić jakiegś nonszalanckiej w podejściu do ludzi, których spotykamy – wszystko jedno: w Kościele czy na jego obrzeżach, na zewnątrz czy wewnątrz. „Są – to dobrze; nie ma ich – drugie dobrze! Przyjdą inni”. Obce tej wizji są bezradne wzruszenie ramion czy rezygnacja. Nie schodzi się ona z łatwo (stanowczo za łatwo!) powtarzanym sloganem: „nie liczy się ilość, tylko jakość”.

Poza wszystkim, jest to wizja rodzinna. Kryje się za nią Serce Ojca. Posłuszeństwo względem niej też musi sięgnąć serca, a nie programów, struktur i statystyk. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (2 – 9 V)

5. niedziela wielkanocna: Dz 9, 26-31;

Ps 22; 1 J 3, 18-24; J 15, 1-8;

Poniedziałek, Uroczystość Najświętszej Maryi Panny, Królowej Polski: Ap 11, 19a; 12, 1. 3-6a.

10ab; P: Jdt 13, 18-20; Kol 1, 12-16; J 19, 25-27;

Czwartek: 1 Kor 15, 1-8; Ps 19; J 14, 6-14;

Piątek: Dz 15, 22-31; Ps 57; J 15, 12-17;

Sobota, Uroczystość św. Stanisława:

Dz 20, 17-18a. 28-32. 36; Ps 100;

Rz 8, 31b-39; J 10, 11-16;

6. niedziela wielkanocna: Dz 10, 25-26. 34-35.

44-48; Ps 98; 1 J 4, 7-10; J 15, 9-17.

Wybrał PIOTR SIKORA

ROZDARCIE W POLSKIEJ BAWARI

Odchodzący prezydent Rzeszowa godził szybki rozwój miasta z ludowym konserwatyzmem części mieszkańców. Żaden z kandydatów takiej syntezy dziś nie obiecuje.

RAFAŁ MATYJA

OSTATNI POLITYCZNY RUCH USTĘPUJĄcego prezydenta Rzeszowa Tadeusza Ferencia miał dwa skutki. Po pierwsze, zmusił głównych graczy do podjęcia wysiłku gry o władzę w tym mieście. Po drugie, o Rzeszowie stało się głośno na kilka miesięcy. Zamiar był inny – gwarancja bezpiecznej sukcesji ze wskazanym kandydatem i kontroli nad tym, co stanie się z miastem i ekipą zbudowaną przez Ferencia. Zanim jednak się dowiemy, czy ten cel udało się osiągnąć, możemy przyrzeć się uważniej samemu miastu, które ma swoje pięć minut w mediach i polityce.

W trakcie wyborów samorządowych uwaga komentatorów koncentruje się bowiem na pięciu, góra siedmiu największych ośrodkach. Nawet walka o sukcesję po prezydencie Piotrze Uśzoku w większych od Rzeszowa Katowicach, a potem dziwna koalicja z PiS zawarta przez jego następcę Marcina Krupę, nie okazały się dostatecznie ciekawe, by komentatorzy drobiazgowo omawiali konkurentów, specyfikę miasta czy znaczenie tych wydarzeń dla całości sceny politycznej.

Moment jest zatem świetny. Jest też dobry dla Rzeszowa, bo miasto od lat ma bardzo dobrą prasę. Kiedy pracowałem w tamtejszej Wyższej Szkole Informatyki i Zarządzania, wiele razy słyszałem opinie:

no tak, to już jest inne miasto, świetnie się rozwija. Silny był stereotyp politycznej tożsamości Rzeszowa i Podkarpacia jako bastionów PiS, przekonanie o miażdżącej dominacji tej partii. Politycy PiS chętnie to podkreślali, mówiąc o „polskiej Bawarii”, zapewne nie ze względu na potęgę ekonomiczną, ale właśnie siłę lokalnej prawicy i katolickie tradycje regionu.

Wicestolica

Taki stereotyp utrudnia rozumienie sprawy podstawowej. Tadeusz Ferenc pasuje do Rzeszowa jako prezydent dość dobrze i nie jest żadnym wielkim paradoksem, że to polityk wywodzący się z postkomunistycznej SLD. Formacji, która nie była przez lata tak jednoznaczna obyczajowo jak obecnie. Potrafiła – gdy trzeba – dogadywać się z Kościołem, szanować jego instytucjonalne interesy i symboliczną dominację. Rzadko wskazuje się fakt dla politycznej afiliacji Ferencia istotny: fakt spójności z jednym z elementów tożsamości miasta.

Rzeszów zawdzięcza wielką karierę czasom PRL. Przede wszystkim zaś jest – bardziej niż którekolwiek miasto w Polsce – beneficjentem zmiany granic w 1944 r. Na przedwojennej mapie był sporych rozmiarów miastem powiatowym. Nawet jednak w skali wojewódz-

stwa lwowskiego – do którego wówczas należał – zaledwie piątym pod względem liczby ludności. Mniejszym ponad dziesięciokrotnie od Lwowa, ale wyprzedzanym także przez Przemyśl, Borysław i Drohobycz, i uwaga... niewiele większym od Jarosławia.

Tuż przed wojną jego rozwój zaczął przyspieszać za sprawą Centralnego Okręgu Przemysłowego. W mieście powstała filia zakładów Henryka Cegielskiego, nowe inwestycje infrastrukturalne i mieszkaniowe. Ale nie był to skok, który pozwalałby na odgrywanie roli, jaką odgrywa miasto dzisiaj. Być może tworzył szansę na dogonienie Przemyśla i Tarnowa, z pewnością jednak nie na zbudowanie ośrodka akademickiego, nie mówiąc już o pozycji na mapie administracyjnej. A ta po roku 1945 stała się niezmiernie istotna, ważniejsza niż kiedykolwiek wcześniej i później.

Nowy ustrój oznaczał bowiem nie tylko odejście od reguł demokratycznych, ale także od mechanizmów rynkowych.



PATRYK OGÓRZALEK / AGENCJA GAZETA

Gospodarka rozwijała się według centralnie kreowanego planu, decyzje o lokalizacji nowych fabryk, uczelni, instytucji kultury podejmowano arbitralnie w Warszawie. Oczywiście lokalne elity – nie tylko partyjne – starały się o podniesienie znaczenia każdego z ośrodków, zabiegały o korzystne inwestycje czy rozwiązanie bolączek. Ale znacznie łatwiej było działać z pozycji miasta wojewódzkiego niż powiatowego.

Awans w hierarchii administracyjnej był zatem kluczowy i znacznie ważniejszy, niżby to wynikało z obecnej perspektywy. Część historyków pisze, że został przesądzony już w roku 1944, kiedy na pierwszym skrawku obecnego terytorium opanowanym przez armię sowiecką i określanym mianem „Polski Lubelskiej” Rzeszów mógł zostać „wicestolicą”. Rzeczywiście, to wtedy pojawiła się możliwość utworzenia w mieście władz wojewódzkich. Kraków był za daleko, Przemyśl miał się stać miastem granicznym, poza tym uchodził za bastion reakcji.

Jego położenie nie dawało się też pogodzić z centralnym położeniem względem tworzącego się województwa.

Wchłonięte wsie

Drugi impuls rozwojowy Rzeszowa w czasach PRL wiąże się z legendą sekretarza wojewódzkiego Władysława Kruczka. Jak wszystkie podobne historie z tej epoki, jest to legenda dwuznaczna.

Kruczek nie nadaje się na bohatera wielkiej opowieści o modernizacji. Jak pisał autor znakomitej książki o Rzeszowie Marian Malikowski, Kruczek „miał ambicję stworzyć z tego miasta duży ośrodek przemysłowy oraz naukowy i kulturalny. Zwłaszcza wyższe uczelnie były – jak to popularnie określano – »oczkiem

Nowy rok Rzeszów uczcił wchłaniając kolejną wieś – tym razem Pogwizdów. Na zdjęciu ustępujący prezydent Tadeusz Ferenc, po jego prawej rekomendowany przezeń kandydat na następcę Marcin Warchol.



→ w głowie «I sekretarza. Sam niezbyt wykształcony, miał jednak respekt dla nauki i uczonych, »umiał słuchać ich głosu« oraz wprowadzać w działanie ich pomysły i inicjatywy». Rzeszów do statusu wojewódzkiego miał w czasach PRL dodać ten akademicki – budując podwaliny pod dzisiejszą Politechnikę i Uniwersytet.

Stworzono też nowy przemysł, zbudowano blokowiska otaczające niewielką starą część miasta. I ściągnięto rzesze mieszkańców okolicznych wsi. Najpierw tylko do pracy, potem stopniowo umożliwiano im zamieszkanie w nowych osiedlach. Rytm miasta wyznaczały – jak pisał Malikowski – zmiany w fabrykach, czas pracy urzędów i szkół. Tętniący życiem rano i wczesnym popołudniem Rzeszów pod wieczór pustoszał. Sytuacja poprawiała się jednak wraz z uruchamianiem funkcji właściwych dużemu ośrodkowi – akademickich, kulturalnych (m.in. dzięki utworzeniu i rozwojowi filharmonii), a po 1989 r. handlowych. Skala rzeszowskich galerii wydaje się przewyższać znacząco to, z czym spotkamy się w miastach podobnych rozmiarów. Decyduje o tym zapewne brak silnego konkurencyjnego ośrodka w pobliżu. Mimo że dziś rytm życia Rzeszowa przypomina ten wielkomiejski, pozostaje on w widoczny sposób ośrodkiem administracyjno-oświatowym dla szeroko rozumianej okolicy.

Do książki Malikowskiego „Powstawanie dużego miasta. Drogi i bezdroża socjalistycznej urbanizacji” odsyłam nie tylko ludzi zainteresowanych epoką PRL, widzianą z perspektywy innej niż ogólnopolska, ale także licznych pasjonatów współczesnej „kwestii miejskiej”. Pokazuje ona bowiem mechanizmy miejskich karier i bariery rozwoju. Choćby wynikające z owego pośpiechu w budownictwie mieszkaniowym, jaki cechował przede wszystkim dekadę Gierka. Do dziś wiele blokowisk nie ma przemyślanej infrastruktury, a i nowe osiedla powstają z myślą o dostarczeniu wygodnych mieszkań i przestrzeni do parkowania aut, pozostałe elementy miejskości pomijając.

Ten pośpiech i okres szybkiego rozwoju miasta nie dodawały mu uroku. Przeciwnie, pod koniec PRL Rzeszów wydawał się miastem brzydkim, nieatrakcyjnym, nieumiejącym pokazać niczego ciekawego. Miastem, które wyrosło ponad miarę i może podzielić los tych, które już w latach 90. zaczęły się szybko wy-

ludniać. Upadający przemysł sprawił, że spora część mieszkańców miast śląskich czy Łodzi wracała do „swoich stron”, przenosiła się do ośrodków lepiej prosperujących lub wybierała emigrację. Rzeszowa ten los nie spotkał. Co prawda dalszy wzrost jego populacji wiąże się również z włączaniem w granice miasta obszarów sąsiednich gmin, ale trend rozwojowy i tak widać gołym okiem.

Co ciekawe, dzięki rozpoczętemu już w PRL rozszerzaniu terytorium Rzeszów jest jednym z miast, którego granice – mierzone podobieństwem zachowań wyborczych mieszkańców – są węższe od tych administracyjnych. Głosowanie podobne do tego, jakie cechuje wiejskie gminy powiatu rzeszowskiego, spotykamy w kilku obwodach wyborczych będących dawnymi wsiami włączonymi do miasta i głosującymi inaczej niż sąsiednie blokowiska.

Miasto jak spółdzielnia

Jednocześnie nadal specyfiką Rzeszowa jest – rzadka poza województwami zachodnimi – niewielka liczba osób mieszkających tu od pokoleń. Rok 1945 to w znacznym stopniu zaczynanie od zera. Znaczącą część mieszkańców przedwojennego Rzeszowa stanowili bowiem Żydzi, którzy wojny nie przeżyli. Jeśli uwzględnimy jeszcze wysoki odsetek strat wśród ludności miejskiej w ogóle, otrzymamy zaledwie kilkutysięczną grupę „dawnych mieszkańców”. Rzeszów to miasto przybyszów z otaczającego go regionu. A zarazem miasto, które nie daje się już z nim utożsamić. Można wręcz zaryzykować twierdzenie, że coraz bardziej się od niego oddala, zarówno w sposobie życia, jak i w przekonaniach politycznych.

Widać to choćby po poziomie zamożności i zarobków. W 2019 r. przeciętne wynagrodzenie w Rzeszowie wynosiło 99 proc. przeciętne wynagrodzenia w całym kraju, podczas gdy w całym województwie 85 proc., a w obwarzankowym powiecie rzeszowskim – 83 proc.

Odmienność miast jest zresztą w województwie podkarpackim raczej regułą niż wyjątkiem. Wybory prezydentów w roku 2018 Prawo i Sprawiedliwość wygrało tylko w jednym z sześciu podkarpackich miast – w Stalowej Woli. W pozostałych ośrodkach rządzą politycy od partii tej niezależni. Prawica na Podkarpaciu jest silniejsza niż gdziekolwiek in-

dzie, ale postrzeganie tego regionu jako propisowskiego monolitu nie oddaje prawdy ani o jego mieszkańcach, ani nawet o samorządach.

Wygrana Tadeusza Ferency stała się sensacją tylko w wyborach roku 2002 – pierwszych powszechnych wyborach prezydentów miast. Była niespodzianką, ale nie była czymś wyjątkowym. Kandydaci wspierani przez SLD wygrali wówczas w konserwatywnym (choć z silną domieszką liberalizmu) Nowym Sączu i uważanym za bastion centroprawicy Krakowie. Działo się tak nie dlatego, że triumfujący po sukcesie w wyborach prezydenckich 2000 i sejmowych 2001 r. SLD brał wszystko. Wszak i on przegrywał w swoich matecznikach: Koszalinie, Wałbrzychu czy Włocławku. By jednak nie popaść w łatwe schematy, przypomnijmy, że Ferenc wygrał pierwsze wybory z przewagą półtora tysiąca głosów. Równie łatwo fotel prezydencki mógł przypaść Andrzejowi Szlachcie z PiS. Ale wygrał kandydat SLD.

Taka była logika pierwszych powszechnych wyborów prezydentów miast i taki, lekko przekorny, klimat epoki. Duch rządów Ferency okazał się zgodny z oczekiwaniami mieszkańców, a on sam podniósł doświadczenia szefa dużej spółdzielni mieszkaniowej do poziomu, który pozwalał na sprawne, choć nieco apodyktyczne w stylu rządzenie sporym miastem.

Wspominam o doświadczeniu szefa spółdzielni również dlatego, że Rzeszów jako młode miasto z widocznym gołym okiem PRL-owskim rodowodem jest ostatnio rządzony także z uwzględnieniem perspektywy wielkich osiedli i ich problemów. Oczywiście tak jak inne miasta przeprowadza rewitalizację ładnego, choć niewielkiego obszaru zabytkowego – ale nie pozostawia terenów osiedlowych samym sobie. W tym wymiarze paternalizm ogranicza optykę neoliberalną, tak popularną wśród części elit samorządowych równych wiekiem Ferencowi.

Wyrażny wybór

Warto w tej dysmisji dostrzec też odcho-
dzenie z polityki pewnego pokolenia – Ferenc ma dziś 81 lat – z silnym jeszcze doświadczeniem PRL-u, a zarazem sporym bagażem obyczajowego konserwatyzmu. Takiej prezydentury jak Ferency, czy do pewnego stopnia krakowska Jacka Majchrowskiego, już nie będzie. Nie tylko

dlatego, że liderzy lewicy i centrum myślą całkiem inaczej. Także dlatego, że nawet takie miasta jak Rzeszów potrzebują świeżego spojrzenia i innego stylu zarządzania.

Prezydentura Ferency była odpowiedzią na inne czasy. Dawała poczucie równowagi między zdominowanym przez prawicę województwem, rządzonym od 2013 r. przez PiS i marszałka Władysława Ortyła, a wychylonym ku centrum miastem. Stanowiła też metaforyczną klamrę między logiką powojennego awansu miasta a ludowym konserwatyzmem części mieszkańców. Żaden z kandydatów takiej syntezy dziś nie obiecuje. Wybór będzie wyraźny, bez uosabianego przez ustępującego prezydenta „historycznego kompromisu”.

Swoją rezygnacją Ferenc zmienił logikę konfliktu. Spróbował narzucić własną. Wskazał obozowi rządzącemu możliwość zawarcia kompromisu, ale na warunkach, które podyktuje ustępujący prezydent. Kompromisu, w którym jedynym ustępstwem ze strony Ferency jest przynależność wskazanego następcy do obozu rządzącego. Wybrał jednak nie szefa lokalnych czy regionalnych struktur ani cieszącego się zaufaniem Nowogrodzkiej posła, ale kogoś, kto w Rzeszowie będzie miał oparcie niemal wyłącznie w decyzji Ferency.

Marcin Warchoł – jeśli wygra – będzie musiał się poukladać z wyższymi urzędnikami w Ratuszu, znaleźć wspólny język z klubem w Radzie Miasta. Fakt, że jest to polityk Solidarnej Polski, a zatem prawego skrzydła obozu władzy, dodał tej decyzji pikanterii i postawił wynik wyborów pod znakiem zapytania. Jak zagłosują wyborcy PiS? Jak wielu wyborców Tadeusza Ferency pójdzie za jego wskazaniem?

Wynik nadchodzących wyborów jest niepewny także dlatego, że w całym cyklu ostatnich wyborów wyniki starć między PiS a jego przeciwnikami nie pozwalają na proste prognozy. W ostatnich trzech kampaniach sejmowych Prawo i Sprawiedliwość wygrywało w Rzeszowie z wynikiem w okolicach 40 proc. Ale kandydat do Senatu wspierany przez tę partię regularnie w mieście przegrywał. Nie tylko z Tadeuszem Ferencem, ale też z mniej znanym Maciejem Maślowskim.

Również istotna z tego punktu widzenia druga tura wyborów prezydenckich na poziomie miasta tylko raz, w roku

Prawica
na Podkarpaciu jest silniejsza
niż gdziekolwiek indziej,
ale postrzeganie tego regionu
jako propisowskiego monolitu
**nie oddaje prawdy
ani o jego mieszkańcach,
ani nawet o samorządach.**

2015, zakończyła się wysokim zwycięstwem Andrzeja Dudy. Pięć lat wcześniej triumfował z nieznaczną przewagą Bronisław Komorowski, a w ubiegłym roku przewaga Dudy nad Rafałem Trzaskowskim wyniosła 659 głosów. To stanowczo za mało, by widzieć w Rzeszowie miasto, w którym PiS idzie po prezydenturę jak „po swoje”.

Fakt, że Ferenc we wszystkich wyborach od 2006 r. zdobywał swój urząd w pierwszej turze, czasami nawet osiągając poparcie trzech czwartych głosujących, pokazuje, że cieszył się uznaniem także w elektoracie PiS. Jeżeli odłożymy na chwilę na bok logikę ogólnopolskich podziałów, będziemy mogli dostrzec choćby fakt, że pewien styl PRL-owskiego paternalizmu nie jest obcy formacji Jarosława Kaczyńskiego, która choć nie rządzi Polską tak jak PZPR, to chętnie sięga po propagandowe schematy rodem z tamtej epoki, atakuje zepsuty Zachód i pręży mięśnie podczas gospodarskich wizyt w terenie. Model prezydentury Ferency nie pasuje do XXI-wiecznych podręczników miękkiego, inspirowanego i moderującego przywództwa. W tej wersji autorem mądrej polityki jest dobry przywódca, utalentowany gospodarz miasta, który góruje nad swym otoczeniem i nad zwykłymi mieszkańcami.

Umiarkowany sympatyk PiS głosując na Ferency nie ma tych obaw, jakie mógłby żywić, popierając nadmiernie progresywnego Rafała Trzaskowskiego czy Aleksandrę Dulkiewicz. Oczywiście nie dotyczy to skrajnie lojalnych wyborców partii Kaczyńskiego. Dla nich istotna będzie rekomendacja formalna. Pytanie tylko, jaka część dotychczasowego elektoratu Ferency ceniła w nim oldskulowy paternalizm, a jaka – przede wszystkim to, że nie należy do PiS, a zarazem spraw-

nie zarządza miastem. Opozycja, wskazując wspólnego kandydata, wykonała plan minimum, by przekonać tego wyborcę do siebie.

Nie jest też bez szans w pozyskaniu tych, dla których liczyły się osobiste dokonania dotychczasowego włodarza. Tu przewagą może być doświadczenie Konrada Fijołka i jego zaangażowanie w sprawy miasta. Wybory roku 2018 pokazały, że nawet zwolennicy PiS nie lubią kandydatów przywiezionych w teczce lub wskazanych przez partię. Jeżeli część wyborców uzna, że Fijołek jest w Rzeszowie bardziej „swój” niż Marcin Warchoł i mniej uwikłany w zobowiązania partyjne niż wskazana przez PiS Ewa Leniart, to tak motywowane głosy rozstrzygną walkę o fotel prezydencki.

Wynik wyborów będzie przykuwać uwagę mediów. Nie mniej ciekawe będzie jednak to, co stanie się w Rzeszowie w następnych dwóch latach, które dzielą nas od końca całej kadencji samorządowej. Losy miast i ich kariery tylko w części zależą bowiem od sprawności lokalnych władz, w nie mniej istotnym stopniu od uwarunkowań ogólnopolskich i gry toczzonej na poziomie centralnym. Doprowadzenie do Rzeszowa autostrady i znaczące przyspieszenie połączenia kolejowego z Krakowem to zmiany, których nie zapiszemy po stronie zasług władz miejskich. Podobnie jak rozwoju wyższych uczelni czy najlepszych przedsiębiorstw. Ostatnia reforma administracyjna wraz ze statusem stolicy województwa dała miastu – by posłużyć się znakomitym terminem Łukasza Zaborskiego – „licencję na rozwój”. Może nie tak silną jak ta z 1945 r., ale nadal bardzo istotną.

Miasto jest na swój sposób młode i dynamiczne. Korzysta – jako rynek pracy – zarówno z bliskości Ukrainy, jak i dominacji nad znacznie wolniej rozwijającym się regionem. Czy następca Ferency będzie w stanie to wykorzystać? Czy zmieni się styl rządzenia, a zarazem do gry zaproszeni zostaną inni aktorzy? Czy w ogóle coś się w sposób widoczny zmieni?

© RAFAŁ MATYJA

Autor jest politologiem, publicystą, wykładowcą Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie. Wkrótce nakładem wydawnictwa Karakter ukaże się jego książka „Miejski grunt. 250 lat polskiej gry z nowoczesnością”.



PIOTR MOŁĘCKI / EAST NEWS

Policz nas, Polsko

ANNA GOC

Spis powszechny stał się kolejnym przypadkiem, kiedy osoby głuche musiały same przypominać państwu o swoim istnieniu.

JEST PEWNA HISTORIA, KTÓRA CO JAKIS czas zaczyna się od nowa. Ma zwykle trzy etapy, powtarzalny schemat, w miarę stałych uczestników. Tym razem jej początkiem było ogłoszenie Narodowego Spisu Powszechnego Ludności i Mieszkań 2021, który trwa od początku kwietnia do końca września i jest obowiązkowy.

Etap pierwszy

Najkrótszy. Polega na zadawaniu pytań.

Pierwsze wysłał do Głównego Urzędu Statystycznego Bartosz Marganiec, programista, głuchy aktywista, inicjator kampanii społecznych. Odnosił się do pytania ze spisu: „Jakim językiem(ami) zazwyczaj posługuje się Pan(i) w domu?”. Marganiec zapytał, czy wśród języków do wyboru będzie polski język migowy, w skrócie PJM. „Zgodnie z ustawą o języku migowym z 2011 r. jest on uznawany za język komunikowania się osób głuchych” – dodał.

Odpowiedź przyszła 22 grudnia 2020 r. – Pracowniczka GUS zapewniała mnie, że pytanie w ankiecie dotyczy języka mówionego i migowego. Napisała, że migowy to wersja narodowa polskiego, co oznacza, że GUS traktuje migowy i mówiony jako jeden język, różniący się tylko sposobem komunikacji – mówi Marganiec.

Marganiec pisze więc znów: „Chciałbym jednak podkreślić, że PJM i język polski to dwa różne języki. PJM ma inną gramatykę i słownik, co potwierdzają m.in. badania prowadzone przez Pracownię Lingwistyki Migowej Uniwersytetu Warszawskiego”.

Przy okazji wskazuje, że spis jest szansą na zdobycie informacji, w tym najważniejszej – ile osób posługuje się PJM na co dzień. A więc – ile osób głuchych żyje w Polsce. Dotąd nikt takich danych nie zgromadził. Bez nich trudno mówić choćby o systemowym wsparciu tej grupy w zakresie edukacji czy dostępie do tłumaczy PJM.

„W jaki sposób można zawnioskować o dodanie PJM jako języka domowych kontaktów?” – zapytał ponownie Marganiec. Odpowiedzi z GUS jednak nie dostał.

Jako dziennikarka, która od pięciu lat pisze o osobach głuchych, też wysłałam prośbę do GUS o wyjaśnienie innej kwestii. Interesowało mnie, czy pytania ze spisu będą tłumaczone na PJM. Po ponad stu wywiadach z osobami głuchymi wiem, że dłuższe teksty, ze skomplikowanym słownictwem, mogą być dla nich niezrozumiałe.

8 lutego pracownik GUS odpisał: „Realizacja obowiązku spisowego polega

przede wszystkim na samopisie internetowym – czyli zdalnym wypełnieniu formularza spisowego. W związku z powyższym nie planujemy tłumaczenia kwestionariusza na język migowy”.

A więc GUS nie wie, jak funkcjonują społecznie osoby głuche i z jakimi barierami komunikacyjnymi się mierzą. O wykluczeniu komunikacyjnym głuchych informował m.in. zespół ekspertów (w skład którego weszły także osoby głuche) przy Biurze Rzecznika Praw Obywatelskich. A Najwyższa Izba Kontroli w 2015 r. opublikowała raport pokazujący przygotowanie urzędów do kontaktu z głuchymi. Kontrolerzy wykazali, że mimo wejścia w życie ustawy o języku migowym, która zobowiązuje podmioty publiczne do stworzenia udogodnień dla osób głuchych, większość skontrolowanych instytucji tego nie zrobiła. Nota prasowa zaczyna się od zdania „Polskie urzędy nie traktują osób głuchoniemych z należytą powagą”.

Warto od razu dodać, że osoby głuche nie są „głuchonieme”. Mają swój język. I nie chcą być nazywane „głuchoniemymi”.

19 lutego na ten sam problem – niedostępności spisu dla osób głuchych – zwrócił uwagę Krzysztof Kotyniewicz, prezes Polskiego Związku Głuchych. „(...) przedstawiony projekt w żaden sposób nie zapewnia osobom głuchym udziału w niniejszym spisie” – napisał w liście do przewodniczącego sejmowej Komisji Finansów Publicznych, na posiedzeniu której miały być dyskutowane poprawki.

Kotyniewicz odniósł się do jeszcze jednej informacji GUS. Otóż dla osób, które nie mogą wypełnić formularza spisowego online (np. nie mają dostępu do internetu albo nie potrafią z niego korzystać), przewidziano wsparcie: wywiad bezpośredni lub telefoniczny przeprowadzony przez rachmistrza.

A co z osobami głuchymi, które – z oczywistych powodów – nie mogą porozmawiać przez telefon, a z nieznaną PJM rachmistrzem się nie porozumieją? Na tym etapie nikt o tym nie pomyślał.

Prawdopodobnie po drugiej stronie – czyli wśród adresatów pytań i obserwatorów rozwoju wydarzeń – też zaczynają pojawiać się pytania. Być może nawet te najpopularniejsze: „Głusi nie słyszą, ale dlaczego nie mogą sobie doczytać?”. „Jak to możliwe, że ludzie głusi nie znają polskiego? Przecież to Polacy”.

Etap drugi

Najmudniejszy. Polega na wyjaśnianiu.

Najmniej znane fakty dotyczą edukacji osób głuchych. Ponad 95 proc. głuchych dzieci ma słyszących rodziców. Dzieci te nie mają na początku żadnego kontaktu z otoczeniem. Wciąż się zdarza, że do szkoły trafiają jako bezjęzyczne. Nie znają języka polskiego, bo go nie słyszą, ani migowego, bo nikt z ich bliskich nie miga.

– Wyobraź sobie dwie słyszące matki, które są na spacerze ze swoimi słyszącymi dziećmi – poprosiła mnie głucha od urodzenia kobieta. – Dzieci te nie potrafią jeszcze mówić, a może właśnie zaczynają. Przysłuchują się matkom, zapamiętują brzmienie wypowiedzianych przez nie słów. W domu słyszą radio, oglądają bajkę z dźwiękiem. Z różnych stron, w sposób niezamierzony, dociera do nich język. Gdy idą do szkoły, potrafią już mówić. Uczą się pisać i czytać w języku, który znają. My nie zawsze mamy taką możliwość.

Zaledwie 15 proc. nauczycieli pracujących w szkołach dla głuchych dzieci deklaruje znajomość PJM (dane z 2013 r.). Nauczyciele mówią do dzieci, czasami posługują się systemem językowo-migowym, w skrócie SJM, czyli miganą polszczyzną. SJM ma polską gramatykę, która różni się od gramatyki PJM, dlatego dla wielu osób głuchych jest niezrozumiały.

Język migowy głuche dzieci zdobywają najczęściej od swoich rówieśników, które pochodzą z głuchych rodzin i nauczyły się go od głuchych rodziców. W Polsce nie wprowadzono także edukacji dwujęzycznej, której dobre efekty można obserwować m.in. w Stanach Zjednoczonych czy Szwecji. Uczy się głuche dzieci najpierw migowego, bo ten język jest dla nich najbardziej dostępny, a potem ojczystego fonicznego, jako obcego. Jeśli polscy nauczyciele starają się to robić, to tylko na własną rękę.

Efekty? Justyna Kowal w prowadzonych w roku szkolnym 2008/2009 badaniach, w których wzięło udział blisko 50 głuchych licealistów, wykazała, że ich kompetencje językowe w klasie maturalnej są na poziomie A2.

W czasie pandemii dochodzą kolejne komplikacje. Osoby głuche starają się odczytać słowa z ruchu warg. Uda im się zwykle odczytać pojedyncze słowa, reszty próbują się domyślać. Jak mają to zrobić, gdy widzą rozpikselowane usta swojego nauczyciela na ekranie monitora w cza-

sie lekcji zdalnej? Albo premiera, który w maseczce, bez tłumacza, przemawia do „wszystkich” obywateli?

Etap trzeci

Najbardziej rozczarowujący. Polega na wprowadzeniu tymczasowych rozwiązań.

Dyskusje wokół udostępnienia spisu powszechnego dla osób głuchych przenoszą się do komisji sejmowych i senackich. 24 lutego 2021 r. w czasie posiedzenia sejmowej Komisji Finansów Publicznych posłowie, prawdopodobnie zaalarmowani przez społeczność osób głuchych, zaczynają dopytywać o dostępność spisu dla tej grupy obywateli.

Dominik Rozkrut, prezes GUS, zabiera głos zaledwie dwa tygodnie po tym, jak jego pracownicy odpisują, że nie zamierzają tłumaczyć spisu na PJM. Mówi o tym, że ma obowiązek zapewnić tłumaczenie i że to jest w planach GUS.

Dodaje: „Przygotowaliśmy się do tego dużo wcześniej i tak chcieliśmy to zrobić. (...) Powiem szczerze, jest to gdzieś tam w naszym DNA statystycznym, bo my wewnętrznie prowadzimy szereg różnego rodzaju działań w zakresie tzw. CSR”.

A co ma CSR – czyli „społeczna odpowiedzialność biznesu” – do praw osób głuchych w ich własnym kraju? Takiego pytania nikt na sali nie zadaje.

W czasie dyskusji w Senacie, 4 marca 2021 r., prezes GUS pytany o dostępność spisu dla osób głuchych wyznaje: „Dodam, że staraliśmy się w tym spisie (...) uzyskać jak najwięcej informacji dotyczących osób niepełnosprawnych”.

Ostatecznie spis zostaje przetłumaczony na PJM, a wśród pytań o język, którym Polacy posługują się w domu, pojawia się PJM.

Pod koniec marca Bartosz Marganec dowiaduje się o tym na Twitterze. Nagrywa więc film, w którym wyjaśnia, kiedy należy się spisać, jak należy się spisać i co grozi za niewzięcie udziału w spisie.

Jest jeszcze jeden kłopot: strona GUS nie jest tłumaczona na PJM. A więc osoba głucha musi tłumaczenie spisu jakoś na stronie znaleźć. – Kilku głuchych już mnie pytało, gdzie i w jaki sposób znaleźć tłumaczenie na PJM – mówi Marek Śmietana, głuchy absolwent Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych UW, pracownik dydaktyczny UW. – Cieszę się, że dodano tłumaczenie. Musieliśmy o tym przypominać, choć państwo samo powinno o to zadbać. Ale szczerze mówiąc, jestem już do tego przyzwyczajony, że o nas się nie pamięta. Nie zdziwię się, jeśli za 10 lat, przy kolejnym spisie, ta sytuacja się powtórzy. ©

POŻEGNANIE

Z głębokim żalem zawiadamiamy,
że 19 kwietnia 2021 roku zakończyła ziemską wędrówkę

Ś.†P.

Profesor Regina Pawłowska

Urodzona 22 września 1935 roku w Mohylewie nad Dnieprem,
na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej.
Długoletni wykładowca Uniwersytetu Gdańskiego.
Mistrzyni kolejnych pokoleń nauczycieli,
oddana bez reszty językowi polskiemu i dydaktyce.

Msza żałobna zostanie odprawiona w środę 5 maja 2021 r. o godz. 11.00
w kościele pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa w Gdyni
(ul. Armii Krajowej 46).

O godzinie 12.00 nastąpi odprowadzenie Zmarłej na miejsce wiecznego
spoczynku z kaplicy cmentarza Witomińskiego w Gdyni
(ul. Witomińska 76).

Pogrążona w smutku
SPOŁECZNOŚĆ GDAŃSKIEJ POLONISTYKI

Przemyślmy to ab ovo

BARTOSZ RUMIENČYK

Europa jest coraz bliższa wprowadzenia zakazu hodowli kur w klatkach. Zapłacimy za to z własnej kieszeni – ostrzegają hodowcy. Mamy więc dobry powód, by zacząć oswajać się z myślą, że tania żywność to niebezpieczne złudzenie.

DZIEN PRZED WYSLUCHANIEM MAŁGORZATA Szadkowska, prezeska Compassion Polska, nie kryła obaw. – Nie mamy wątpliwości, że będzie dużo nieprzychylnych inicjatywie osób, głównie hodowców prowadzących fermy przemysłowe na dziesiątki lub setki tysięcy zwierząt – przyznała. Gdy rozmawialiśmy po raz drugi, już dzień po, w jej głosie usłyszałem ulgę. – Za wcześniej na gratulacje, ale tak, jesteśmy bardzo pozytywnie zaskoczeni.

15 kwietnia na forum Parlamentu Europejskiego odbyło się publiczne wysłuchanie inicjatywy obywatelskiej w sprawie zakazu trzymania zwierząt hodowlanych w klatkach. Komisja Europejska ustami Janusza Wojciechowskiego wyraziła poparcie, a pod samą inicjatywą podpisało się aż 1,4 miliona Europejczyków. Droga do wycofania klatek z branży będzie jednak długa i kręta.

Europejska hodowla przemysłowa to 340 mln zwierząt w klatkach (nie tylko kury, choć stanowią większość), olbrzymie koszty środowiskowe i społeczne oraz okrucieństwo, które nie tylko można, ale i trzeba wyeliminować – tak brzmią argumenty aktywistów prozwierzęcych, którzy stoją za inicjatywą End the Cage Age, czyli Koniec Epoki Klatkowej. Po drugiej stronie słychać zaniepokojenie losem hodowców oraz nieśmiertelne pytanie, kto za to wszystko zapłaci. W domyśle: konsumenci.

– Z naszych sondaży wynika, że 71 proc. Polaków uważa, że trzymanie zwierząt w klatkach jest okrutne – średnia europejska to 74 proc. Natomiast 63 proc. Polaków popiera zakaz hodowli klatkowej, przy 64 proc. średniej europejskiej – wylicza Małgorzata Szadkowska.

Spśród 1,4 miliona podpisów w Polsce zatwierdzono zaledwie 54 tys. Dla porównania, w Niemczech aż 475 tys., a w Ho-

landii 154 tys. – co skwapliwie odnotowano w nieprzychylnych samej inicjatywie publikacjach, a co autorzy inicjatywy zrzucają na wymogi proceduralne. Ale dbanie o dobrostan zwierząt staje się coraz ważniejszym tematem publicznym. Szadkowska mówi, że to sukces organizacji pozarządowych.

– Pierwsze badania opinii wykonaliśmy w 2016 roku: 40,9 proc. respondentów powiedziało, że sklepy i restauracje powinny rezygnować z jaj z hodowli klatkowej, więc nie było z tą świadomością tak źle, ale w 2020 roku na takie samo pytanie odpowiedziało na tak 54,5 proc. Polaków. Co miało wpływ? Mam nadzieję, że także nasze działania. W 2014 roku przeprowadziliśmy pierwsze śledztwo o warunkach panujących w hodowli klatkowej – mówi Maria Madej z Otwartych Klatek, najbardziej znanej w Polsce organizacji zajmującej się tą sprawą.

Wzbogacona kartka A4

Od 2014 r. Otwarte Klatki prowadzą kampanię „Jak one to znoszą” – pokazującą, jak wygląda hodowla klatkowa w całej Unii Europejskiej.

Na mocy tych regulacji stosowanie klatek konwencjonalnych (tzw. bateryjnych) zostało w Polsce zakazane wraz z wejściem do Unii Europejskiej. Zakłady produkcyjne zobowiązane zostały do przestawienia produkcji na tzw. klatki wzbogacone. Cel? Zapewnienie wyższego dobrostanu. A realia? Zerknijmy w raport.

„Klatki wzbogacone zostały wyposażone w grzędę, gniazdo, urządzenie do ścierania pazurów i ściółkę umożliwiającą grzebanie i dziobanie. Każdemu zwierzęciu przysługuje 750 cm² powierzchni podłogi, w tym dostęp do gniazda. Podłoga klatki nachylona jest pod kątem nie większym niż 14%, tak by znoszone jajka sta-

czyły się na taśmociąg zainstalowany przy przedniej ścianie klatki”.

Ile to jest 750 cm²? Format A4, czyli mniej więcej strona „Tygodnika Powszechnego”, ma powierzchnię 623,7 cm². Kura w klatce „wzbogaconej” ma więc niewiele więcej miejsca niż powierzchnia, na której czytacie ten tekst. W klatce wzbogaconej z reguły przebywa od 20 do 60 ptaków, a na jednej hali produkcyjnej zwierząt może być nawet 100 tys. w przypadku największych hodowli – właśnie takie zdominowały polski przemysł drobiarski. W tej chwili w Polsce w klatkach przebywa ok. 40 milionów kur niosek – i jest to ok. 80 proc. całej krajowej hodowli.

Stłoczenie zwierząt rodzi konkretne zagrożenia i ogranicza naturalne zachowania niemal do zera. Ptaki na tak ograniczonej powierzchni nie są w stanie swobodnie rozprostować skrzydeł, przemieszczać się czy zażywać kąpieli piaskowych. Na długiej liście wad chowu klatkowego znajdziemy nawet pterofagię, czyli wydziobywanie piór i akty kanibalizmu.

„Brak dostępu do wybiegu i podawanie gotowych, wysokoenergetycznych mieszanek paszowych hamują naturalne zachowania kury, przez co znajduje ona ujście w kaleczeniu innych ptaków – czytamy w raporcie – wydziobywanie piór u wielu kur przekształca się w zjadanie piór i jajek oraz głębokie raniecie siebie lub innych ptaków, czasem kończących się infekcjami, wyciąganiem wnętrzności i śmiercią”.

W celu ograniczenia takich zachowań ptaków, które narażają także producen-





PIOTR MAŁECKI / FORUM

tów na straty, zezwala się na przyczynienie dziobów, co nie ma żadnego wpływu na składanie jaj, ale – według obrońców zwierząt – naraża na dodatkowe cierpienie i upośledza funkcje życiowe zwierząt.

Półtora roku pracy

Klatka jest dla kury w hodowli rozwiązaniem najlepszym – czytam o tym w wiadomości od Andrzeja Danielaka, prezesa Polskiego Związku Zrzeszenia Hodowców i Producentów Drobiu. „Kury są ptactwem stadnym. Dla nich najkorzystniejszą pocztą bezpieczeństwa jest w stadkach liczących kilka, kilkanaście sztuk, w zależności od wielkości klatki, w której zamontowane są na stałe przewidziane obowiązkowym prawem urzędnika wzbogacające ich środowisko bytowania, odpowiadające ich potrzebom”.

Danielak przekonuje także, że zwierzęta są w klatkach bezpieczne i zaopie-

kowane. „Jedzą całkowicie kontrolowaną, idealnie zbilansowaną przez człowieka paszę, piją wodę spożywczą, taką samą, jaką piją ludzie, oddychają świeżym powietrzem, wymienianym non stop przez wentylatory, sterowane elektronicznie, zgodnie z programem”. Danielak zwraca też uwagę, że w tak niewielkich stadach wytwarza się naturalna hierarchia, co „na plus” również zapisują Otwarte Klatki. „Z racji tego, że kury uczą się od siebie zachowań, w chowie klatkowym łatwiej opanować występowanie zachowań agresywnych” – czytamy w raporcie.

To, co według hodowców jest dowodem na zadowolenie ptaków, czyli wysoka produktywność, dla obrońców praw zwierząt jest dowodem na ich niehumanitarną eksploatację. Otwarte Klatki piszą o 250-300 jajach składanych przez jedną kurę w półtora roku – bo tyle trwa jej żywot na fermie. A po zakończonej na fermie pracy nioski jadą na ubój.

Nie stać nas na śmietnik

Liczba zebranych podpisów faktycznie robi wrażenie, zwłaszcza że w ciągu ośmiu lat praktycznego funkcjonowania instytucji Europejskiej Inicjatywy Obywatelskiej wymagany milion udało się zebrać zaledwie sześć razy.

Za zakazem hodowli klatkowej opowiedziały się także środowiska naukowe i niektóre koncerny spożywcze, np. Ferrero, Nestlé, Mondelez International (właściciel m.in. marek: Prince Polo, Milka i Delice Szampańskie) czy Unilever (m.in. lody Algida i majonez Hellmans).

– To giganci, którzy wyrazili nie tylko poparcie dla idei wycofania klatek dla kur niosek, ale zaoferowali podzielenie

się swoim *know-how*, sami bowiem od takich jaj odchodzą lub już odeszli – mówi Szadkowska i zwraca uwagę, że choć decyzja Komisji Europejskiej, co dalej z inicjatywą, zapadnie w ciągu trzech miesięcy, to takie zakazy – w różnych formach – już funkcjonują.

– W Niemczech i Czechach zakaz wejście w życie kolejno w 2025 i 2027 roku, Słowacja z chowu klatkowego chce się wycofać do 2030 roku poprzez porozumienie rządu i hodowców, a zakazy funkcjonują już w Austrii, Luksemburgu. Prawo zatem należy ujednolicić – mówi, a gdy pytam o zagrożenia dla polskich hodowców, którzy mogą obawiać się konkurencji choćby z Niemiec, gdzie większość kur hodowana jest na wolnym wybiegu i gdzie wdrożenie zmian prawnych nie będzie aż tak skomplikowane i kosztowne, proponuje inne spojrzenie.

– Polski nie stać na to, by być śmietnikiem Europy. Już teraz eksportujemy olbrzymie ilości tanich jaj wytwarzanych na fermach o najniższym dobrostanie kur do Niemiec. Czy naprawdę chcemy z otwartymi ramionami przyjmować każdy rodzaj wysokoprzemysłowej produkcji, gdy sąsiednie kraje będą dbać o swoje środowisko i społeczeństwa?

O zagrożenia dla hodowców pytam także w branży. „Mnożenie trudności producentom żywności europejskiej, która podlega najwyższemu w świecie rygorom, doprowadzi do konieczności importu podobnych wizualnie produktów żywnościowych, z obszarów gdzie nie sięga surowa jurysdykcja UE” – pisze prezes Danielak i dodaje: „Kampanie prowadzone przeciwko temu rodzajowi legalnej produkcji żywności moim zdaniem noszą znamiona dyskryminacji, →

REKLAMA



**Wyślij SMS
o treści WIEDZMIN**



7412 koszt SMS 4,92 zł z VAT
7910 koszt SMS 11,07 zł z VAT
91950 koszt SMS 23,37 zł z VAT

i kup tapetę

„Wielkość narodu i jego postępek moralny można poznać po tym, w jaki sposób obchodzi się on ze swymi zwierzętami” – napisał niegdyś Mahatma Gandhi. I chociaż minęło prawie 100 lat od jego śmierci, to jedno się nie zmieniło – nadal można nas ocenić po tym, jak traktujemy słabszych. Wiedźmin dostał takie imię trochę na przekór własnemu losowi. Spogląda smutno w obiektyw swymi niewidzącymi prawie oczyma – i nieśmiało błaga, by ktoś go zauważył. Nie jest już piękny, już bardzo dawno nie jest młody. Życie przeleciało mu jak z bicza strzelił – chwile temu brykał na jakiejś łące, a dziś z pochyloną głową, trzęsąc się na własnych nogach, błaga o życie.

Wiedźmin całe życie pracował z najmniejszymi ludźmi – z dziećmi. Był człowiekiem, najpierw w rekreacji, a potem wiele lat w hipoterapii. Jego podopieczni poszli dalej w świat, a on został w swojej stajni niegdyś pełnej ludzi i gwaru. Został do chwili, aż stajnia upadła. I na starość Wiedźmin poszedł w poniewierkę po Europie.

Do handlarza dotarł aż z odległej Hiszpanii. Podobno był klient, bo koń z Hiszpanii sam się obronił, bo papier pewnie nieżył, bo to jak z pewexu, wszak z zagranicy. Jednak Wiedźmin rozczarował nabywcę – jego niewidome prawie spojrzenie i metryka przekreśliły szansę na dom w Polsce. W zasadzie na jakikolwiek dom. Bo on już dalej nie pojedzie. Nabywca szybko pozbył się „trefnego towaru” zostawiając

go u handlarza, a dzieciom nabył innego konia.

Wiedźmina oczy jeszcze płoną, choć niewiele już widzą. Nogi Wiedźmina już go daleko nie poniosą, ale zaniosą go pod rozłożyste drzewo na naszym folwarku, gdzie będzie mógł się wygrzewać w promieniach wiosennego słońca wraz z innymi, które zawiodły człowieka ku swej zgubie. Bo Wiedźmin stracił już większość życia na służenie nam, ludziom, swoim grzbiem i oddaniem. Jedynie, co nam zostało, to podarować mu starość. Starość dni i nocy, aż do ostatniego tchnienia w miejscu, które pozwala godnie odchodzić na drugą stronę Tęczy...

Musimy zebrać 9500 zł, aby zapłacić za życie i transport Wiedźmina. Handlarz dał nam czas do 30 kwietnia. Pomożesz ocalić Wiedźminowe życie?

Jeśli chcesz i możesz pomóc, prosimy dokonać darowizny z tytułem WIEDZMIN na konto PKO BP 15 1020 5226 0000 6002 0220 0350.

Fundacja Centaurus

ul. Wałbrzyska 6-8, 52-314 Wrocław, tel. 518 569 487, tel. 518 569 488
www.centaurus.org.pl

Akcja prowadzona w ramach Kampanii Kochaj Mądrze.
Regulamin: <http://centaurus.org.pl/rkkm>

FUNDACJA
CENTAURUS

→ stygmatyzują zarówno produkt, jak i producentów, więc nie wydaje mi się, by były to kampanie uczciwe. Sieci handlowe wolą sprzedawać droższe produkty, bo na nich mają wyższe marże, skłaniają konsumentów do określonych zachowań sugerując im, co mają kupować”.

Patrzeć na ludzi

A żeby poznać zdanie rolników, telefonuję do Michała Kołodziejczaka, prezesa AGROunii. W pierwszych słowach podkreśla, że dobrostan zwierząt leży mu szczególnie na sercu, co więcej – widziałby rozszerzenie zakazu, co argumentuje w oryginalny, ale i wymowny sposób. – Chciałbym, byśmy mówili o ogólnym dobrostanie zwierząt, ale znam ludzi, którzy sprzeciwiają się hodowli klatkowej kur, a potrafią w takiej samej klatce zamykać swojego psa, by nie pogryzł kanapy, gdy zostaje w mieszkaniu sam – mówi. – Nie hoduję zwierząt, ale uprawiam kapustę i wiem, że jak nasadzę główki co pół metra, to wyrosną zdrowe i dorodne, a jak słoczę je co 25 centymetrów, będą karłowate i chore.

– Czy to znaczy, że popiera pan ekologów? – dopytuje.

– A pamięta pan, od czego zaczęły się strajki żółtych kamizelek? Jednym z powodów było przerzucanie kosztów ochrony środowiska na najbiedniejszych. Nieodpowiednio wprowadzane zmiany pociągną za sobą duże wzrosty cen żywności. Czy każdego na to dziś w Polsce stać? – pyta i dodaje: – Gdy wchodziliśmy do UE, hodowcy musieli wymienić klatki. Znam takich, którzy brali po 30 mln kredytu i do dziś go nie spłacili. Jeśli będziemy tak często zmieniać przepisy, nie dając ludziom spłacić zobowiązań, to te jajka nie będą kilka, a kilkanaście razy droższe. Nie możemy doprowadzić do tego, by społeczeństwo, które staje się coraz bardziej wymagające i wrażliwe, spowodowało, że ludzie biedni będą jeszcze biedniejsi. Zdanie mamy podobne, ale ja patrzę nie tylko na zwierzęta, ale także na ludzi.

Nie ma się jednak co obruszać na organizacje prozwierzęce, że – jak same twierdzą – ich klientami są zwierzęta, a nie ludzie. Szadkowska podkreśla, że ochrona producentów leży w gestii instytucji unijnych oraz rządów państw członkowskich, a w inicjatywie znalazły się konkretne propozycje, jak okres przejściowy do 2027 r. i postulat adekwatnego

rozdzielenia funduszy, by odpowiednio wesprzeć państwa, których hodowle będą wymagać najbardziej rozległych zmian, czyli np. więcej dla Polski, a mniej dla Niemiec.

Przerzucanie kosztów

– My się nie obrażamy na ludzi, których nie stać na zakup droższej żywności – przekonuje mnie Szadkowska. – My chcemy zmienić system, bo odejście od hodowli klatkowej to zmiana całego systemu produkcji żywności. Dziś cierpią też na tym małe gospodarstwa rolne, które są wypychane przez molochy, olbrzymie produkcyjne fermy, które wyglądają jak hangary wypełnione zwierzętami.

Podobne zrozumienie dla konsumentów wyraża Maria Madej, gdy pytam ją, czy wsparcie ze strony gigantów pokroju Nestlé czy Unilever – delikatnie mówiąc, niezbyt popularnych wśród środowisk „zielonych” – nie niesie ze sobą kontrowersji. – Decyzje konsumenckie, owszem, są ważne, ale to decyzje firm mają realne przełożenie na dobrostan zwierząt – mówi.

I zgoda, ale to nie rozwiązuje kwestii podwyżek cen żywności, które same w sobie są oddzielnym tematem.

– Naiwnością jest myśleć, że mamy tanie jaja, mięso i mleko, bo są tanie w produkcji. One są tanie, bo koszt produkcji są przerzucane. Na społeczeństwo, na środowisko, na zwierzęta i dlatego ich nie widzimy w cenach na półkach. Poza tym proszę zerknąć na mapy protestów. Co się dzieje w miejscach, gdzie mają powstawać nowe fermy? Ludzie nie chcą ich w swoich okolicach. Myślenie, że możemy mieć tanie jedzenie w nieskończoność, to pułapka – przekonuje Szadkowska.

Żeby z niej wyjść, należy przeprowadzić gruntowne zmiany w produkcji żywności: o czym przekonywali aktywiści na wysłuchaniu 15 kwietnia w Parlamencie Europejskim.

Resort się przygląda

W przeważającej większości europosłowie opowiedzieli się za odejściem od hodowli klatkowej – jedynie Ivan David z czeskiej eurosceptycznej SPD [Wolność i Demokracja Bezpośrednia – red.] wyraził pogląd, że ptakom w klatkach jest lepiej niż na wolnym wybiegu – podkreślali jednak konieczność jasno wyznaczonego okresu przejściowego i konkretnych form wsparcia dla hodowców.

Sporo uwagi poświęcono także ochronie europejskiego rynku przed importem taniej, bo niespełniających nowych wymogów, żywności spoza Wspólnoty. A wszystko to w tonie znanym już ze strategii „Od Pola do Stołu” – w myśl której do 2030 r. 25 proc. gospodarstw na terenie UE ma być ekologiczne. Ideą – o której mówi choćby Compassion – jest także ograniczenie samej produkcji żywności, której aż jedną trzecią potrafimy zmarnować. Gdy z kolei ograniczymy produkcję, zmniejszymy zapotrzebowanie na pasze, pochodzące np. z wylesianych obszarów soi Ameryki Płd.

Europosła Zbigniewa Kuźmiuka (PiS) złapałem telefonicznie w drodze na lotnisko. – Bardzo merytoryczna debata, bez zbędnych emocji, które zazwyczaj towarzyszą takim tematom, także ze strony organizacji ekologicznych – mówi.

Kuźmiuk na forum europejskim wypowiadał się wysoce dyplomatycznie. Dopiero na łamach „Naszego Dziennika” powiedział wprost: „Realizacja ich postulatów może być bardzo niebezpieczna dla rolnictwa. Na szczęście ostateczny głos w tej sprawie będzie mieć Komisja Europejska i liczę na to, że wykaże się ona na tyle dużą determinacją, żeby spojrzeć na tę kwestię w sposób rozsądny”.

W tekście o wymownym tytule „Wojna z rolnikami” dziennik o. Tadeusza Rydzika nie zostawił suchej nitki na inicjatywie. Oberwało się także komisarzowi Januszowi Wojciechowskiemu (również z PiS), który powiedział – przy wszystkich zastrzeżeniach – jasno: – Dobrostan zwierząt leży w samym sercu Zielonego Ładu i mnie osobiście zależy na tym, żeby go poprawić. Chów klatkowy jest częścią szerszego problemu, jakim jest intensyfikacja produkcji, która nie była wyborem rolników. I rolnicy też na tym cierpią.

Gdy zwróciłem się z konkretnymi pytaniami do polskiego resortu rolnictwa, otrzymałem dość mgliste odpowiedzi o monitorowaniu dalszego przebiegu prac nad inicjatywą.

Zgodnie z przepisami o inicjatywach obywatelskich Komisja Europejska powinna teraz zdecydować, co dalej. Może nie podjąć żadnych działań, ale może też przystąpić do prac nad aktem prawnym, może też zaproponować inne rozwiązania.

Przed nami trzy miesiące ciszy przed burzą? © BARTOSZ RUMIŃCZYK

JACEK

Podsiadło: Wierna rzeka



ZBIERAŁEM WŁAŚNIE WŁASNE MYŚLI z pól, kiedy rozległo się stukanie dzięcioła. Przypomniało mi ono, że słuchałem do snu audiobooków. Bo skończył się Hugo-Bader, a zaczęła biografia da Vinci i tam zaraz na wstępie

Walter Isaacson przywołuje jedną z wariackich notatek Leonarda: „Opisz język dzięcioła”. Inną podobną do niej jest wydane sobie polecenie opisania szczęki krokodyla.

Jeśli człowiek wyraźnie czuje przywiązanie, sympatię lub zgoła miłość zwierząt, to znaczy, że uczucia te mają miejsce. Nawet jeśli znajdują dla siebie miejsce tylko w człowieku – bo co siedzi w zwierzęciu, to tajemnica. Tę ewentualną jednostronność uczuć wcale nie ujmującą im ważności można sobie przetłumaczyć na ekstremalnym przykładzie stosunków człowieka z maszyną. Hugo-Bader pisze o więzi, jaka nawiązuje się między człowiekiem a jego samochodem, jeśli od tego samochodu zależy życie człowieka, jego los. Tankiści ciągnący na Berlin o czołgach, których dosiadają, a podróżnicy motocyklowi czy rowerowi o swych jednośladach mawiają tak samo: wierna maszyna. Rozmawiają z nimi. Przytulają je do serca lub sami tulą się do ich silników. Co więc mówić o chwiluni, kiedy człowiek, który wie, że w maszynie mieszka nic, poczuje więź ze zwierzęciem!

Ktoś tu zabił łabędzia. Jakiś człowiek, bo o ile mi wiadomo, nie istnieją ryby, które by się zajmowały polowaniem na łabędzie, wywlekaniem ich na brzeg i patroszeniem. Kiedy się wczoraj zjawiłem, w pobliżu smutnych resztek zabitego ptaka pływał po rzece drugi łabędź. Krążył. Samotny. Tak mi się przynajmniej wydawało. Tym bardziej że niedługo przepłynęła przede mną para. Potem druga para, która pobiegła po wodzie i odleciała.

Przenocowałem w przyzwoitej odległości od białych szczątków, ale w pobliżu. Kiedy się rano wyczołgałem na świat, przed nosem znów mi się przesunął łabędź. Nie wiem, czy ten sam. Na widocznych z wału polach cały czas przesiaduje duże ich zgromadzenie, z daleka przypominają bociani sejmik. W ogóle to starorzecze Wisły to łabędzi raj. Nawet w nocy słyszałem starty i lądowania

na rzece. Opisz łapę łabędzia. Oczywiście nic o łabędiach nie wiem. Z tego, co słyszałem, te tutaj są raczej nieme niż krzykliwe. W każdym razie to chyba niemożliwe, żeby młodzież uczyła się pierwszych kroków w chmurach w marcu, więc te wodowania i wzloty to pewnie tak, dla samego latania. Posiedzę tu parę godzin. Pewnie niewiele się nauczę, chyba że o sobie. Ale zobaczę przynajmniej, czy jest tu więcej samotnych łabędzi, czy rzeczywiście tylko ten jeden.

Czy trzeba dużo wiedzieć o łabędiach, żeby jednego z nich zabić?

W reportażu Hugo-Badera pada znajome, choć prawie zapomniane nazwisko Raisy Smietaniny. Błyszcząca złotem biała legenda mej młodości, radziecka królowa nart odkopuje się z zaspy lat. Hugo-Bader opisuje jej przyjaciółkę z radzieckiej kadry, Emmę Łysenko. Spotkał ją w Moskwie w początkach XXI wieku, zaprzyjaźnili się. „Waży czterdzieści jeden kilo. Szuka w śmietnikach jedzenia, butelek, puszek po piwie. Chła rozrobiony spirytus techniczny. Obgryza pazury”. I dowiaduję się, że i Łysenko, i Smietanina to nie żadne „zawodniczki radzieckie”, tylko rdzenne Komiaczki z Syktywkaru.

Zawsze mnie dziwiło, że dzięcioły nie doznają wstrząsów mózgu od nieustannego napierdzielania głową w drzewo. Nie grozi im otępienie i parkinsonizm w młodym wieku, jak bokserom. Teraz, dzięki książce, wiem, że to kwestia języka. Zarówno mózg, jak i język bokserów nie są czymś, czym szermierze na pięści mogliby się chlubić. Natomiast język dzięcioła jest trzy razy dłuższy od jego dzioba, żeby mógł wyłapywać robaki z ich kryjówek. Więc kiedy go nie używa, dzięcioł owija sobie język wokół ptasiego mózdzku. Robi sobie z niego amortyzator.

Amortyzator to dziwne słowo, bo *amor* i *mort* są w nim splecione ze sobą jak psy, a notatki da Vinci wcale nie były wariackie. Jak się ma sprawa ze szczęką krokodyla, wiem od czasu, kiedy zobaczyłem krokodyla z paszczą owiniętą taśmą klejącą w studiu telewizyjnym. Dzięki dodatkowemu stawowi i masywnym mięśniom krokodyl ma najsilniejsze szczęki ze wszystkich zwierząt. Ale tylko, kiedy je zaciska. Coś za coś. Mięśnie do zamykania paszczy tak się u niego rozwinęły, że prawie nie zostały miejsca mięśniom do jej otwierania. Nie trzeba dużo wiedzieć o krokodylu, żeby go przywlec do studia telewizji. Dlatego ludzie renesansu w ogóle się w telewizji nie pokazują.

Czas płynie. I smętne długoszyje ptaszysko wciąż pływa w zasięgu mojego spojrzenia. Teraz wsadziło łeb pod wodę i szuka czegoś tam, gdzie ja nie widzę niczego. ©



Twórz / rozwijaj się / poznawaj ludzi. Dołącz do nas na klubtygodnika.pl/wydarzenia

TEOLOGIA GRZECHU

JÓZEF MAJEWSKI, TEOLOG:

Jedynym wyjściem z obecnego kryzysu jest nowy sobór, który powinien się zająć reformą władzy w Kościele.

ARTUR SPORNIAK: Czy z religijnego punktu widzenia w szczycie trzeciej fali pandemii jest rzeczą najważniejszą zwracać uwagę katolikom, które ze szczepionek ratujących życie mają bardzo daleki związek z aborcją?

JÓZEF MAJEWSKI: Mam wrażenie, że ludzie, którzy nie mają kontaktu z prawdziwym życiem, chcą innym je komplikować. Wygląda na to, że autor nie-szczęsnego komunikatu – bp Józef Wróbel – wie wszystko, poznał wszelkie tajemnice związane z pandemią, LGBT+ czy z komunią dla rozwiedzionych katolików żyjących w związkach, bo na te tematy wypowiadał się w ostatnim czasie i czynił to w sposób wyjątkowo jednostronny.

Czy popadanie w rygoryzm i skrupulanctwo nie świadczy o bezradności wobec rzeczywistości?

Z czego wynika swoista dla naszych biskupów nieumiejętność zajmowania się ważnymi rzeczami? Mam wrażenie, że brakuje im zmysłu solidarności, empatii, wczucia się w sytuację ludzi, którzy cierpią. Zamiast o sprawach trzeciorzędnych, chciałbym usłyszeć od naszych nauczycieli, jak rozumieć dzisiaj Bożą Opatrzność, bo ja jej w tradycyjnym rozumieniu nie widzę. Jak mówić ludziom, którzy milionami cierpią i umierają, o Bogu miłości?

Innym tematem, którym dzisiaj powinni się zająć nasi biskupi, jest pytanie o rozumienie i sens modlitwy, zwłaszcza błagalnej. Ludzie błagają w cierpieniu o ratunek, a Bóg milczy, jakby miał zupełnie inne sprawy na głowie. Jak taką modlitwę dzisiaj rozumieć?

Być może jednak biskupi nie stawiają już sobie pytań teologicznych.

Zajmują się raczej zagrożeniami dla chrześcijańskiej tożsamości Polaków, jak przewodniczący episkopatu w homilii na Święto Chrztu Polski.

To może być też odruch szukania tematów zastępczych w sytuacji kryzysu pedofilskiego. W Kościele duchowni dopuszczają się strasznych rzeczy. Trudno o nich biskupom mówić, bo trzeba by było przyznać się do nieudolności, a w niektórych przypadkach – do mataczenia w sprawie odpowiedzialności za przestępstwa pedofilskie.

Zatem jak to możliwe, żeby w Polsce, 1000 lat po przyjęciu chrześcijaństwa, po okresie cierpienia i oczyszczenia w czasach komunizmu, biskupi byli tak odezwani od rzeczywistości? Skąd to się mogło wziąć, że dzisiaj Kościół instytucjonalny jest oskarżany o wielkie zło i o nieumiejętność radzenia sobie z nim? Mam głębokie przekonanie, że Sobór Watykański II nie tylko nie dopracował teo-

logii władzy, ale w tej kwestii po prostu spartaczył robotę, o czym z bólem mówię jako dziecko tego soboru.

Co masz na myśli?

O władzy mówi konstytucja dogmatyczna o Kościele „Lumen gentium”. Miał to być wielki dokument, który widzi Kościół jako lud Boży. I rzeczywiście, wbrew pierwotnej wersji dokument nie zaczyna się od hierarchii, tylko od ludu Bożego, a potem przechodzi do świeckich, i dopiero trzecia część poświęcona jest biskupom. Wiele jednak mówi już same statystyki niektórych słów w tym dokumencie. Słowa „biskup” i „episkopat” pojawiają się ponad 130 razy, „świeccy” i „laikat” równo



GIULIO ORIGLIA / GETTY IMAGES



*Rodzina z noworodkiem opuszcza sesję inauguracyjną synodu na temat rodziny. Watykan, 5 października 2015 r.
Kiedy ludzie świeccy będą mogli głosować podczas synodów na równi z biskupami?*

30 razy. Kobieta wspomniana jest tylko raz.

W kontekście przestępstw pedofilskich i tego dziwnego komplikowania ludziom życia, o którym wspominaliśmy, pomyślałem, że warto też sprawdzić, co najważniejszy dokument soborowy o Kościele ma do powiedzenia o odpowiedzialności biskupów. Słowo „odpowiedzialność” pojawia się 3 razy, „współodpowiedzialność” ani razu, „odpowiedzialność biskupów” – raz. W części trzeciej, poświęconej hierarchii – w ogóle. Podobnie jest w tym rozdziale ze słowem „grzech”, „grzeszność”.

Do 2016 r. prawo kanoniczne nie przewidywało możliwości karania

biskupów – zmienili to dopiero dekrety Franciszka.

No bo jak można karać osoby bezgrzeszne?! Słowo „świętość” na 9 stronach rozdziału o biskupach pojawia się aż 40 razy. Średnio 4 razy na stronie mowa jest o jakiejś świętości związanej z sakramentem biskupią, z biskupem i jego posługą. Kim jest według tego dokumentu biskup? Dowiadujemy się, że „kto słucha biskupa, słucha Chrystusa, a kto gardzi biskupami, Chrystusem gardzi i Tym, który posłał Chrystusa”. Pomyślmy w tym kontekście o biskupie pedofilu albo o tym, który zbrodnie zamiata pod dywan.

„W osobach biskupów obecny jest wśród wiernych Pan Jezus Chrystus, Kapłan najwyższy”. „Przez słowa konsekra-

cji udzielana jest łaska Ducha Świętego i wyciskane święte znamię, tak że biskupi w sposób szczególny i dostrzegalny przyjmują rolę Chrystusa – Mistrza, Pasterza i Kapłana – w Jego zastępstwie”. Zarządcy domem Boga żywego, pasterze Kościoła, nauczyciele, kapłani świętego kultu, partycypują w nieomylności Kościoła lub wręcz są jej nosicielami. Myślę sobie, że jeśli człowiek, który jest biskupem, przeczyta te słowa i się nimi przejmie, może pomyśleć: „Jestem bogiem!”.

Odpowiedź na to zdziwienie jest prosta: biskupi zjechali się z całego świata na sobór i napisali o sobie. Przecież świeccy nie mieli na to żadnego wpływu.



→ Jednak podstawową rolę na Soborze Watykańskim II odgrywali nie biskupi, tylko teologowie.

Oni zawiedli?

To nie tak – przeszło to, co w tamtych czasach mogło przejść. I dzisiaj mamy tego konsekwencje – puszających się niektórych biskupów, traktujących świeckich jak „ogony” („Nie wypada, abyś Ty, biskup, który jesteś głową, na czyjąś zgubę słuchał ogona, czyli zbuntowanego człowieka świeckiego, skoro Ty masz słuchać tylko Boga” – to słowa św. Grzegorza zacytowane przez abp. Gądeckiego podczas ingresu nowego metropolity gdańskiego).

Jak potoczy się kryzys Kościoła?

To nie jest tylko polski kryzys. Część biskupów widzi niedostateczność soborowej koncepcji władzy. Teologię władzy trzeba przemyśleć od strony teologii grzechu, zdrady, kłamstwa, mataczenia, przestępstw seksualnych. Jeśli się przyjmie, że biskup już przez sam fakt otrzymania święceń jest taki wielki i taki święty, to ignoruje się zasadę, że łaska buduje na naturze. W soborowej teologii władzy konsekracja jakby separowała biskupa od jego ludzkiej, grzesznej natury.

Drugim poważnym problemem teologii władzy jest to, że jest ona praktycznie poza wszelką kontrolą – biskup jest w swojej diecezji udzielnym władcą i może go skarcić jedynie papież. Mam taką scenę przed oczyma: po obu stronach między, która jest granicą dwóch diecezji, siadają na stołeczkach ich biskupi ordynariusze i ze sobą rozmawiają. I nagle w jednej diecezji zaczyna dziać się krzywda małej dziewczynce, obaj biskupi to widzą i nie reagują. Przychodzi dziennikarz i pyta tego biskupa z sąsiedniej diecezji, dlaczego nie zareagował. A on odpowiada: „Jako człowiek powinienem pomóc temu dziecku, jako biskup nie mogę, bo to nie mój teren”. Moim zdaniem ta odpowiedź jest sednem problemu.

Biskupia funkcja odczłowiecza?

To jest niesamowite – oni się rozgrzeszają w każdej sytuacji! Walnąć pięścią w stół może tylko papież, i on to robi wydając ważne dokumenty, potem ignorowane przez biskupów. Jedynym wyjściem według mnie jest nowy sobór, który powinien się zająć jednym tematem – reformą władzy w Kościele. Pyta-

Gdy słucham polskich biskupów, mam wrażenie, że oni rzeczywiście myślą, iż przez nich przemawia Chrystus.

nie, czy ci biskupi, jakich mamy, są w stanie dokonać takiej reformy.

Świecki teolog Sebastian Duda ostatnio napisał: „Bardziej niż duszpasterskiego III Soboru Watykańskiego potrzebujemy dziś mocnego doktrynalnego otwarcia – nowego Trydentu”. Zgadzasz się?

Wbrew pozorom Sobór Watykański II był doktrynalny, a nie tylko duszpasterski, zmienił przecież myślenie w wielu kwestiach. Wiele zależy od odwagi i przenikliwości biskupów. Ale mam wrażenie, że poza wyjątkami przestali się oni interesować teologią. Przynajmniej w Polsce. Gdzie indziej jest lepiej. Podejście do władzy jest też zróżnicowane.

Gdy słucham polskich biskupów, mam wrażenie, że oni rzeczywiście myślą, iż przez nich przemawia Chrystus. Na przykład mówią o antykoncepcji jako grzechu śmiertelnym, jakby wyrażali nauczanie nieomyłne Kościoła Powszechnego. Tymczasem w wielu diecezjach na świecie biskupi pozostawiają tę sprawę sumieniu katolików. Już sam ten fakt podważa tezę, że mamy do czynienia z nauczaniem nieomyłnym, które ze swojej istoty musi być głoszone tak samo wszędzie i w każdym czasie. Zasadą teologiczną jest, że jeżeli biskup ma świadomość, iż inni biskupi inaczej nauczają niż on, nie wolno mu przedstawiać swojego nauczania jako nieomyłnego. To, co nasi biskupi mówią o osobach LGBT+, o szczepionkach, o udzielaniu komunii osobom rozwiedzionym żyjącym w nowych związkach, różni się od tego, co mówią biskupi w innych krajach. Są biskupi, a nawet kardynałowie, którzy np. popierają błogosławienie par jedнопłciowych. Nie może mnie mój biskup zobowiązywać pod sankcją grzechu śmiertelnego do czegoś, do czego nie zobowiązuję swoich wiernych inni biskupi.

I jeszcze jedno: dla mnie podstawową rzeczą jest też pytanie o demokrację w Kościele.

W jednym z tekstów publikowanych na tych łamach przypomniałeś starożytną zasadę: co dotyczy wszystkich, winno przez wszystkich być określane. Czy na soborach nie powinni mieć prawa głosu także świeccy?

Przyszłością Kościoła jest jakaś forma jego demokratyzacji. Demokratyzację rozumiem jako uprawniony sposób ponoszenia współodpowiedzialności za Kościół przez wszystkich jego członków, zatem również przez świeckich. Franciszek już próbuje zmienić formułę synodów – niedawno podsekretarzem synodu biskupów mianował zakonnicę. Będzie to pierwsza kobieta z prawem głosu na nim. Ale synod wciąż ma tylko funkcję doradczą względem papieża.

Czy w przyszłości w Kościele katolickim o najważniejszych sprawach będzie decydować zgromadzenie złożone z biskupów, księży i świeckich, podobnie jak Synod Generalny Kościoła anglikańskiego?

Być może. Nie wiem, jak to się konkretnie potoczy. W każdym razie jakaś forma demokratyzacji jest niezbędna. Sam kard. Joseph Ratzinger swego czasu mówił, że demokracja nie jest sprzeczna z Kościołem. Krytykowanie biskupów nie oznacza odrzucania urzędu biskupa. Jest to urząd istotny dla funkcjonowania Kościoła. Sfera doktrynalna to działka, którą uprawiają, ale nie mogą czynić tego sami. Zresztą biskupi zawsze mieli swoich teologów. Dzisiaj w owo doktrynalne doradztwo trzeba włączyć również świeckich teologów i teolożki.

Gdyby w dzisiejszym Kościele polskim funkcjonowały pewne struktury demokratyczne, nie mógłby on np. kolaborować z władzą PiS-sowską.

Wiele mogłoby się już zmienić, gdyby zebrania plenarne Episkopatu nie odbywały się za zamkniętymi drzwiami. Przy świeckich obserwatorach być może zachowanie biskupów byłoby inne i podejmowano by inne decyzje.

Oczywiście! Tu zadziałać mogłaby już sama psychologia. W każdym razie demokratyzacja Kościoła spowodowałaby, że ścierałyby się różne pomysły

i Kościół stawałby się bardziej różnorodny. Sądzę jednak, że tylko nowy sobór może sobie pozwolić na zmianę ustroju Kościoła.

Sobór Watykański II nie spadł z nieba. Przygotowały go oddolne ruchy – biblijny, ekumeniczny czy odnowy liturgicznej. Czy utworzony przez świeckich Kongres Katolickich i Katolików to dobry pomysł?

Każde takie działanie, które jest debatą i doksztalcaniem się, jest równocześnie daniem biskupom do zrozumienia, że czujemy się prawdziwą wspólnotą kościelną i chcemy uleczenia Kościoła oraz możemy pomóc. Pytanie tylko: co z tego realnie wyniknie? U nas inicjatywy kościelne mają przełożenie na realną rzeczywistość, kiedy uczestniczą w nich duchowni i biskupi. Czy biskupi poczują się odpowiedzialni za ten ruch? Czy wezmą udział w obradach?

Podobno już tacy są.

Pytanie tylko, czy przybędą jako ci, którzy znają odpowiedzi na wszystkie pytania, czy jako ci, którzy tych odpowiedzi nie znają i przyjdą słuchać, jak bije serce Kościoła.

Cokolwiek jednak my, świeccy zrobimy, kluczowy ruch należy do biskupów. Jeśli nie rozliczą się z krycia strasznych czynów pedofilskich, żadna reforma się nie uda. A spodziewać się należy, że do matczenia w pewnym okresie dochodziło w każdej diecezji...

...bo przez długi czas kościelnym sposobem radzenia sobie z doniesieniami o przestępstwach księży było zamiatanie ich pod dywan.

A te sprawy w Kościele się nie przedawiają. Do wszystkich należałoby się przyczynić i nie tylko za nie przeprosić, ale także zadośćuczynić.

Wątpliwe, czy do tego wszędzie dojdzie. Dominującą strategią wśród biskupów – jak dowodzi Zbigniew Nosowski w swoim cyklu o nadużyciach seksualnych publikowanym na portalu „Więzi” – jest raczej „przeczekamy i prosimy o przeczekanie”. Czy zatem skazani jesteśmy na powolną erozję Kościoła w Polsce?

Możliwe, że włączą się mechanizmy samooczyszczające: Kościół będzie tracił



DOMINIK SADOWSKI / AGENCJA GAZETA

JÓZEF MAJEWSKI (ur. 1960) jest doktorem habilitowanym teologii, antropologiem mediów, kierownikiem Zakładu Dziennikarstwa i Mediów Uniwersytetu Gdańskiego. Ostatnio wydał książkę „Wiara w trudnych czasach” (Więź). Stałe współpracuje z „Tygodnikiem Powszechnym”.

na znaczeniu, będzie stawał się coraz biedniejszy, a bieda sprawi, że zaczną skupiać się na rzeczach ważnych. Będzie licznie mniejszy, skromniejszy, ale być może odzyska moc przyciągania.

Dalej jednak nie wiem, co konkretnie powinno być w Kościele zdemokratyzowane – np. wybór biskupa?

W historii Kościoła funkcjonowały różne sposoby wybierania kandydatów na biskupów. Dlatego nie ma doktrynalnych przeszkód, byśmy my, świeccy, w takim wyborze uczestniczyli. To oczywiście nie gwarantuje automatycznie sukcesu. Kiedyś o potrzebie większej demokratyzacji Kościoła rozmawiałem z moim profesorem z KUL. Zapytał, jak sobie ją wyobrażam. Odpowiedziałem, że choćby w tym, by ludzie mogli wybierać swojego biskupa. Akurat wtedy papież mianował biskupem lubelskim Józefa Życińskiego. Mój profesor zapytał: „I wyobrażasz sobie, że ludzie wybraliby Życińskiego?”. Więc nie wszystkie decyzje, które byśmy współpodejmowali, byłyby od razu lepsze. Ale podejmując kiepskie decyzje, czulibyśmy ciężar współodpowiedzialności.

Nie chodzi o to, by z Kościoła zrobić demokrację – w sferze politycznej doświadczamy właśnie tego, że może ona zacząć siebie zjadać. Chodzi o przejęcie tylko tych mechanizmów, zwłaszcza kontrolnych, które się naprawdę nadają, i zastosowanie ich do odpowiednich obszarów.

Na przykład?

Wszyscy członkowie Kościoła – duchowni i świeccy, kobiety i mężczyźni – możemy wspólnie decydować o kształcie kultu, pobożności, działalności charytatywnej, o kierunku edukacji religijnej, kierować finansami Kościoła. Nie rozumiem, dlaczego wszystkie te obszary są zmonopolizowane przez księży i to na wszystkich trzech poziomach: episkopatu, diecezji i parafii. Gdyby od duchownych przejąć to, czego nie muszą z konieczności robić, wyszłoby to wszystkim na dobre. Moglibyśmy także wspólnie decydować o kształcie doktryny społecznej Kościoła, która ma odmienną naturę niż doktryna wiary.

Nie do końca, gdyż związana jest z moralnością, a moralność też od wieków Kościół próbuje zdogmatyzować.

Mimo wszystko doktryna społeczna ma taki charakter, że domaga się społecznych dyskusji. Jeśli dotyczy przede wszystkim nas, świeckich, tak jak nauczanie o antykoncepcji, nasz głos wniósłby na pewno coś istotnego.

I jeszcze jeden temat jest do przerebobienia: teologia autorytetu. W dotychczasowej doktrynie autorytet urzędowy jest wlaný przez Boga. Biskupi otrzymują go „w pakiecie” wraz ze święceniami. Trzeba przemyśleć, co by się zmieniło, gdyby na autorytet w Kościele trzeba było sobie zasłużyć. Zauważmy, jaki niepokój wzbudziła abdykacja Benedykta XVI, czyli zrzeczenie się przez niego autorytetu papieża. A jednak on pokazał, że tak można, i Kościół się nie zawalił.

Kiepscy odpadają? Spróbujmy pomarzyć: urząd biskupa byłby kadencyjny i po upływie kadencji musiałby uzyskać na kolejną zatwierdzenie przez gremium świeckich.

Pozostałoby niezmaczalne święte znamię biskupia, ale w stanie spoczynku.

© P Rozmawiał ARTUR SPORNIAK

Łącznik

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

Modli się po hebrajsku, przyjaźni z imamem, a w piątek w kipie i koloratce wchodzi do synagogi. Ks. Piotr Żelazko odkrywa w Izraelu Franciszkowy Kościół.

ZALEDWIE POCZĄTEK WIOSNY, PORANEK, a tu już 30 stopni w cieniu. Ziemia jest sucha, powietrze stoi w miejscu, nie nawykła do pustynnego powietrza skóra Europejczyka napina się i swędzi. Kościół parafii św. Abrahama w Beer Szewie na pustyni Negew nie odróżnia się wyglądem od pozostałych skromnych domów w okolicy. Z tyłu budynku w sporym ogródku gospodarz, proboszcz Piotr Żelazko, urządził na czas pandemii mały ołtarz. Zadbął o ogród: trawnik, kwiaty, palmy, w jego centralnym punkcie – zwieńczone krzyżem – kaktusy i sukulenty. Parafialne zwierzęta: suczka Szeleg (hebr. śnieg) i kocica Bianka, obie uliczne znajdk, przechadzają się wśród roślin, zgrabnie omijając kłujące zasieki. Podczas mszy siedzą przy ołtarzu i leniwie rozglądają się dookoła.

Ks. Żelazko: – Dbanie o ogród w tej pustynnej ziemi jest trudne. Czasem się złoścę: znowu te chwasty! Dopiero po czterdziestce zrozumiałem, że ich obecność, wyciąganie, ranienie się nimi, brudzenie rąk – to doświadczenie duchowe. Czasem pielęgnuję roślinę, a ona z dnia na dzień umiera. Inną trochę ignoruję, a potem wydaje najlepsze owoce. Wiele się z tego nauczyłem o duszpasterstwie: tu Bóg jest najważniejszym czynnikiem, nie wszystko zależy ode mnie.

Biografia proboszcza Żelazki, rocznik 1976, jest pełna sprzeczności. Ksiądz niby polski, ale w parafii w Kamieniu Pomorskim spędził tylko rok. Wysłany na studia do Rzymu, stamtąd na doktorat do Jerozolimy, życia w polskiej parafii więcej nie uświadczył. Niby Europejczyk, ale w pustynny krajobraz Negewu wpisuje się doskonale, czuje lokalne niuanse, świetnie mówi w lokalnym języku. Niby ksiądz katolicki, ale modli się po hebrajsku, przyjaźni z imamem, a w piątek – w kipie i koloratce – wchodzi do synagogi.

I to się na razie nie zmienia, bo w styczniu ks. Żelazko oficjalnie przestał być księdzem diecezji szczecińsko-kamieńskiej i został przeniesiony do patriarchatu łacińskiego. Ucieszył się, że będzie mógł kontynuować plany duszpasterskie. Zasmucił – bo decyzja oznacza, że do Polski już nie wróci. Chciałby być bliżej mamy. Z powodu pandemii po raz ostatni widział się z nią półtora roku temu.

Młodsza siostra judaizmu

Nie była zachwycona, gdy po maturze zdanej w niemieckim liceum tuż przy granicy polsko-niemieckiej zdecydował się na seminarium. Chciała, by założył rodzinę. Dla świętego spokoju poszedł na studia, zaliczył rok filozofii, ale tylko utwierdził się w powołaniu. Wstąpił do seminarium. Mama przyjechała w odwiedziny dopiero na trzecim roku, przed obłóczynami. – Od tego czasu jest dumna i wspierająca – mówi ks. Żelazko.

Po studiach w Rzymie został wysłany na doktorat do Jerozolimy, gdzie spędził sześć lat. W 2014 r. objął parafię katolicką w Beer Szewie.

Katolicy języka hebrajskiego są częścią patriarchatu łacińskiego Jerozolimy. Fakt, że ich wikariusz jest ordynariuszem, sprawia, że są odrobinę niezależni, także finansowo. Jest ich dzisiaj około 650, a ich wspólnoty znajdują się w pięciu miejscach na mapie Izraela: w Jaffie, Hajfie, Tyberiadzie, Jerozolimie i Beer Szewie. Jednym z punktów programowych tej grupy jest budowanie mostów między judaizmem i chrześcijaństwem.

Każda ze wspólnot jest nieco inna – ta w Beer Szewie łączy katolików z całego świata: Europejczyków, Amerykanów, Hindusów, Arabów, uchodźców z Afryki: Erytrejczyków czy Benin. Wspólnota jest niewielka, ale jej specyfika sprawia, że praca ks. Żelazki wykracza poza standardowe obowiązki proboszcza.

– Rozumiem tęsknotę ludzi za księdzem, w którym jest mniej z urzędnika, a więcej z przyjaciela. U nas to możliwe – parafia liczy zaledwie 120 osób. Uczą mnie, że to ja jestem bardziej dla nich. Wszystko by się rozeszło, gdybym ciągle ich nie próbował łączyć, sklejać.

Z niemal każdym jest w bliskim kontakcie. Starszych parafian wozi po lekarzach, robi zakupy; przyjezdnym nieznanym języka pomaga w sprawach urzędowych. Wspiera lokalną organizację pomagającą uchodźcom z Erytrejczyków czy Sudanu. Od lat z parafialnych datków utrzymuje starszą niewidomą uchodźczynię z Beninu, która w poszukiwaniu pomocy przedarła się do Izraela przez Synaj. Odpruwa metki z hebrajskimi napisami z ubrań, których zbórkę organizuje na rzecz Syrii czy Gazy.

– Przez dłuższy czas patriarchat, w większości przecież arabski, nie zdawał sobie sprawy z tego, że nasz Kościół jest hebrajskojęzyczny. Powoli oswajaliśmy ten temat, rozmawiając w tym języku podczas zebrań, modląc się. Dziś jest znacznie lepiej, relacje się ociepliły – ale nadal, gdy na święto niepodległości ozdabiam samochód flagą Izraela, we wschodniej Jerozolimie na furcie klasztoru arabskiego upominają mnie: padre, lepiej to ściągnij. Robię to. Praca w patriarchacie łacińskim jest specyficzna.

Armia Boga

Nic dziwnego, że chrześcijanie w izraelskiej armii to tutaj temat delikatny. Nie dla armii, która swoją różnorodność wykorzystuje PR-owo, lecz dla samych chrześcijan – których znaczną część tutaj, na Bliskim Wschodzie, stanowią Arabowie.

Ks. Żelazko został właśnie wybrany jako duchowny świata chrześcijańskiego do kontaktu z armią. Zastrzega, że za wcześniej, by mówić o duszpasterstwie, ale dla chrześcijańskich żołnierzy już sam fakt powołania takiej osoby oznacza zmiany.

– Do tej pory mieli prawo do wolnego w czasie chrześcijańskich świąt. Ale teraz armia postanowiła uporządkować i skodyfikować ich przywileje. Zostałem poproszony o stworzenie listy świąt katolickich, protestanckich i prawosławnych tak, by ich liczba mniej więcej pokrywała się z liczbą świąt żydowskich. Ponieważ tych drugich jest w kalendarzu więcej, nasi chrześcijańscy żołnierze dostają te



Ks. Piotr Żelazko w kaplicy swojego kościoła parafialnego w Beer Szewie, sierpień 2018 r.

raz urlop podczas świąt, które normalnie nie są nawet dniami wolnymi od pracy – śmieje się Żelazko.

Każdy żołnierz-chrześcijanin ma w ciągu dnia dodatkowy kwadrans na modlitwę, a także zwolnienie ze służby w niedzielę, by móc dotrzeć do najbliższego kościoła lub na osobistą modlitwę. Żołnierze mają też możliwość spotkania się z duchownym na spowiedź czy rozmowę. Każda prośba z armii kierowana jest najpierw do ks. Żelazki, który kontaktuje zainteresowanych z odpowiednim duchownym. Armia przygotowuje właśnie ulotki informacyjne dla chrześcijańskich żołnierzy, by wiedzieli, co im przysługuje. O współpracy z rabinem z ramienia armii wypowiada się ciepło. – Rabin widzi potrzebę mojej funkcji. Pracujemy niezależnie od pory dnia czy nocy i bardzo się lubimy – mówi ksiądz.

Rozpoczął już przygotowania do pierwszego „dnia żołnierza” – spotkania członków armii z ludźmi Kościołów chrześcijańskich. Będzie mógł w nim wziąć udział każdy żołnierz, niezależnie od wyznania. Armia zapewnia też logistykę i wyżywienie. Na razie zapisało się 50 osób.

Ta przełomowa decyzja armii Izraela powinna ucieszyć chrześcijański świat, tak jednak nie jest, a nowa pozycja księ-

dza Żelazki jest utrzymywana we względnej tajemnicy. Nie tylko z uwagi na wielkość pozycji Arabów.

– Armia wybrała mnie na przedstawiciela świata chrześcijańskiego. Z jej punktu widzenia ważne jest, że jestem chrześcijańskim duchownym, ale nie każdy duchowny prawosławny czy protestancki zgodzi się z moim przywilejem reprezentowania ich głosu. Temat walki o wpływy między kościołami chrześcijańskimi w Ziemi Świętej jest obecny od zawsze i bardzo delikatny. To nie jest mój poziom negocjacji, tym zajmą się teraz wyżsi rangą. Temat nie był jeszcze poruszany na zebraniu ordynariuszy patriarchatu łacińskiego, dlatego – zanim się to stanie – nie rozgłaszamy tego po całej wspólnocie.

Rozsądni idealisci

Rabin Michael Graetz, przyjaciel i współpracownik Piotra Żelazki w międzywyznaniowej grupie Interfaith Initiative of the Negev: – W latach 70., krótko po tym, jak przyjechałem do Izraela, zaprzyjaźniłem się z imamem z pobliskiego beduińskiego miasta Tel Szewa. Po jakimś czasie dołączyli kolejni, i zaczęliśmy spotkania w ramach muzułmańsko-żydowskiej grupy. Przez wiele lat w naszym regionie nie było

kościółów chrześcijańskich. Aż wreszcie kilka lat temu zupełnie niespodziewanie zapukał do moich drzwi młody człowiek w koloratce. Powiedział, że jest księdzem katolickim, że dopiero przyjechał, usłyszał o naszej grupie, i że bardzo chce do nas dołączyć. Tak poznałem Piotra.

Rabin Elkana Szerlo: – W 2014 r. wybuchła wojna w Gazie, a cały region objęła fala ataków terrorystycznych. Dotarły także do nas, do Beer Szewy. Czuliśmy, że jako liderzy religijni powinniśmy zrobić coś, co uspokoiłoby te nastroje. Gdy zaczęliśmy spotkania w powiększonej, muzułmańsko-żydowsko-chrześcijańskiej grupie, dominowały dwa sprzeczne przeżycia: albo szybko się rozpadniemy, albo grupa okaże się wielkim sukcesem i dołączy do nas mnóstwo ludzi. Żaden z tych scenariuszy się nie spełnił. Nie rozpadliśmy się, ale też pozostaliśmy niewielką grupą, której stała część liczy 12 osób.

Grupa przygotowuje zajęcia dla młodzieży, które przed pandemią odbywały się w szkołach w całym regionie pustyni Negew. W ramach kulturalnych zajęć dla żołnierzy prowadzi też spotkania na prośbę izraelskiej armii. Grupa cieszy się popularnością. Co właściwie przyciąga do niej słuchaczy?

Rabin Szerlo: – Autentycznie się zaprzyjaźniliśmy. Ludzie to czują, gdy widzą obok siebie katolickiego księdza, rabina i imama. Z drugiej strony rozumiemy też, dlaczego nie odnosimy spektakularnego sukcesu – jesteśmy w końcu bardzo specyficzni. Pokonujemy bariery, nie wiążemy się z żadnymi przekonaniem politycznymi. Nie każdemu to pasuje.

Są z odrębnych religijnych i kulturowych światów, ale tak do siebie podobni. Otwarci, nastawieni na słuchanie i rozumienie, trochę idealisci. Nie zamierzają się wzajemnie nawracać – dzięki temu w grupie czują się swobodnie i bezpiecznie. W swoich środowiskach są czasem wytykani palcami: za dialog z innymi wyznaniem.

– Piotr jest bardzo otwarty, szybko nawiązuje relacje i zbliża się do ludzi. Dzięki niemu katolicy nagle stali się ważnym punktem na duchowej mapie miasta – uważa rabin Graetz.

Rabin Szerlo: – Gdy wchodzimy do izraelskich szkół, osobą, która mówi, jest najczęściej Piotr. Ma świetny kontakt z młodzieżą. Mądry, miły džentelmen. Ale najbardziej ujmujące i zaskakujące jest to, co im mówi: jesteście korzeniem →

→ naszej wiary, macie swoją tradycję, jeśli potrzebujecie wejść na duchową ścieżkę, to nie przychodźcie do mnie, tylko idźcie do waszego rabin. Musisz sobie wyobrazić, jak piorunujące to robi wrażenie na naszej młodzieży!

Bóg w więzieniu

Z czasów seminarium ma wspomnienie: dzień chorych w kościele seminaryjnym, wierni powoli zbierają się na mszy. Pchani na łózkach, wózkach, pod kropiówkami, zajmują całą przestrzeń głównej nawy. Oto królestwo Boże, myśli Piotr, a obraz zapada mu w pamięci na lata.

Myśli o tym teraz, gdy składa teczki z nowoczesnym logo duszpasterstwa więziennego. Nad materiałami w języku angielskim, rosyjskim i hiszpańskim, które do nich wkłada, pracował w czasie pandemii. Już niedługo trafią do rąk wolontariuszy – siostr zakonnych i zakonników, którzy regularnie odwiedzają więźniów w beerszewskich więzieniach. Dowiedzą się z nich, jak prowadzić zajęcia z więźniami – mężczyznami i kobietami. Erytrejczykami, Filipińczykami, Nigeryjczykami, więźniarkami z Ameryki Południowej. O czym i jak rozmawiać. Czego absolutnie nie poruszać. Jak nieść Boga i nadzieję ludziom, którzy w więzieniu spędzą resztę życia.

Piotr Żelazko jest odpowiedzialny za duszpasterstwo chrześcijan w izraelskich więzieniach od 2018 r. Współpracuje z rabinami, którzy pomagają w organizacji spotkań z chrześcijańskimi duchownymi. Jest pierwszą osobą, do której dzwonią, gdy któryś z więźniów prosi o kontakt z księdzem. Żelazko najczęściej sam jedzie na miejsce. Choć w więzieniu osadzeni są m.in. więźniowie prawosławni, nie mogą liczyć na wizytę popa.

KS. ŻELAZKO:

Do mojego kościoła przychodzi znajomy homoseksualista i mówi, że wśród nas, katolików, czuje się dobrze, bo jesteśmy tak samo odmienni na tle reszty społeczeństwa jak on.

Żelazko opowiada, że wielokrotnie prosił kościół prawosławny o pomoc, bez skutku. Poczuł się więc za nich odpowiedzialny.

– Do więzienia wprowadzają nas rabini. Idziemy przez halę produkcyjną, gdzie więźniowie pracują, i wówczas rabin woła: przyszedł ksiądz, jeśli ktoś chce porozmawiać, czekamy na stołówce! Widzę wtedy ich wahanie. Godzina pracy to zawsze te parę groszy do paczki papierosów. A spotkanie z księdzem budzi jeszcze jedną wątpliwość: trzeba się zmierzyć z własnymi lękami, z sumieniem. Rozumiem to, doceniam każdą decyzję. Przecież ja zaraz stamtąd wyjdę, a ten świat tam zostanie. Podczas spotkań mówię im, że w moim kościele się za nich modlimy. Mają mój numer telefonu, adres. Wiedzą, że jeśli wyjdą, to w każdej chwili mogą do mnie przyjść.

Luksus bycia w mniejszości

Gdy w październiku 2020 r. przez Polskę przetaczają się gwałtowne protesty przeciw orzeczeniu TK w sprawie abor-

cji, a na Kościół spadają gromy, ks. Żelazko podpisuje się pod „apelem zwykłych księży”. Dziś się od niego nieco dystansuje. – W tamtym momencie wydawało mi się, że ten głos jest potrzebny, liczyłem na to, że dołączy znacznie więcej księży. Tak się jednak nie stało, zaskoczyła mnie liczba polemik. A wydawało mi się, że argumenty m.in. o zaprzestaniu upolitycznienia, ksenofobii i dyskryminacji to po prostu powtórzenie nauki Kościoła, i że wszyscy księża w Polsce tak myślą. Potem zrozumiałem, że skoro przez większość mojego kapłaństwa nie ma mnie w Polsce, może nie powinienem sobie pozwalać na taką „ingerencję z zewnątrz”.

Głośne skandale pedofilskie w jego własnej diecezji? – Rozczarowuje mnie postawa wielu znajomych duchownych, którzy uważają, że medialne publikacje na ten temat są przejawem walki sił ciemności z Kościołem. Że to wszystko jest po to, by zniszczyć polską wiarę. Prawda, sprawiedliwość i dobro ofiar są dla nich mniej ważne. To jest dla mnie nie do przyjęcia, że w imię ochrony instytucji nie przyznajemy się do błędów.

Gdy próbuję dążyć, pytać o poglądy, także polityczne, o szerszą ocenę sytuacji w polskim Kościele, odmawia odpowiedzi. – Przez dwa tysiące lat Kościół był częścią systemów politycznych, papieże koronowali królów. A dziś Franciszek mówi, że to peryferia zmieniają Kościół – i ja się z nim zgadzam. Bycie poza systemem polityczno-społecznym pozwala mi zejść do poziomu człowieka, jego życia i problemów. My, izraelscy katolicy, jesteśmy tak bardzo na marginesie, że od znajomego homoseksualisty słyszę czasem, że uwielbia przychodzić do nas do kościoła, bo czuje się tu dobrze, jesteśmy tak samo innością jak on. A więc twierdę, że dziś w Izraelu mam luksus bycia mniejszością. Zawsze myślałem, że to trudne – i z pewnością jest – ale dzięki temu mam wiele rzeczy, których bycie w mainstreamie nigdy by mi nie dało.

Piotr Żelazko się myli. I bez przeniesienia do łacińskiego patriarchatu miałby szansę żyć wśród polskiego duchowieństwa w mniejszości. Ale to bez znaczenia teraz i tu, w gorącym klimacie Negewu, gdzie wiosną pustynia, ogród i parafia księdza Żelazki rozkwita na dobre.

© KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

Przed Sądem Rejonowym w Stalowej Woli I Wydział Cywilny pod sygn. akt I Ns 29/21 toczy się postępowanie w wniosku Henryka Ideca i Zofii Idec o stwierdzenie zasiedzenia nieruchomości położonych w Kotowej Woli, stanowiących grunty orne o numerach ewidencyjnych:

- 350 o powierzchni 0,3014 ha, powstałej z parceli gruntowej 357/1, obj. lwh – 5.
- 679 o powierzchni 0,3651 ha, powstałej z parceli gruntowej 669/2, obj. lwh – 21.

W lwh - 5 jako właściciele ujawnieni są Józef Idec, syn Jana i Stefanii, oraz Wiktoria Skoczyńska, córka Jana. W lwh -21 jako właściciel ujawniany jest Józef Idec, syn Jana i Stefanii.

Wzywa się spadkobierców Józefa Ideca oraz Wiktorii Skoczyńskiej, aby zgłosili się do udziału w sprawie i wykazali swoją własność w terminie trzech miesięcy od dnia dokonania ogłoszenia pod rygorem stwierdzenia zasiedzenia.



Papież Franciszek podczas audiencji w Bibliotece Apostolskiej. Watykan, 30 grudnia 2020 r.

Cyberwojna z Kościołem

AGATA KAŻMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Watykan znalazł się na celowniku hakerów. Do jego obrony zaprzęgnięto ekspertów i sztuczną inteligencję.

MAIL WYGLĄDAŁ CAŁKIEM ZWYCZAJNIE. Adresatem był prałat Javier Corona Herrera, szef watykańskiej misji w Hongkongu, *de facto* watykański przedstawiciel w Chinach. „Ojciec Święty ze smutkiem przyjął wiadomość o śmierci Biskupa Josepha Ma Zhongmu i przesyła płynące z głębi serca kondolencje dla kleru i wiernych Diecezji Yinchuam/Ningxia”. Kondolencje, z załączoną prośbą o rozesłanie do odpowiednich władz kościelnych, były podpisane przez człowieka numer dwa w Watykanie, sekretarza stanu kard. Pietro Parolina. O ile nadesłane 14 maja 2020 r. kondolencje wyglądały standardowo, to ich prawdziwa zawartość, ukryta przed oczami czytelników, była nie tylko nietypowa, ale i bardzo niebezpieczna.

To hakerska klasyka – tak zwany atak phishingowy, w którym pozornie autentyczna wiadomość ukrywa złośliwe oprogramowanie. Zawierający kondolencje

plik był tylko obudową, koniem trojańskim, wewnątrz którego ukryto narzędzie umożliwiające m.in. zdalne kopiowanie, dodawanie i kasowanie plików wewnątrz systemu czy przenoszenie ich.

Atak się powiódł. Do dziś nie jest pewne, do jak wielu komputerów napastnicy zdołali się dostać. Dotąd jako cele ataku zidentyfikowano pracowników misji w Hongkongu i diecezji Hongkongu. Wiadomo również, że cyberwłamywacze dostali się do Papieskiego Instytutu Misji Zagranicznych w Mediolanie oraz na serwery pocztowe samego Watykanu.

Zajmująca się cyberbezpieczeństwem amerykańska firma Recorded Future, która w lipcu ujawniła atak, twierdzi, że napastnikami byli hakerzy należący do grupy RedDelta, posługujący się technikami i narzędziami typowymi dla komputerowych szpiegów pracujących na zlecenie rządu w Pekinie. Wcześniej

dokładnie w ten sam sposób atakowali oni organizacje mniejszości etnicznych. Firma McAfee jest przekonana, że to również ta grupa, która odpowiadała za włamanie do dużych firm telekomunikacyjnych w USA, Europie i Azji południowo-wschodniej.

Tuż po wykryciu ataku hakerzy zniknęli, ale tylko na chwilę. Nieco zmodyfikowali narzędzia i już 10 dni później ponownie próbowali uzyskać dostęp do komputerów hongkońskiej misji. Dwa tygodnie później podjęli próbę włamania na serwery Watykanu. Zmasowane ataki trwały bezustannie przez pięć miesięcy.

Polityczny sabotaż

Do ataków doszło, gdy w Hongkongu nasilały się demonstracje prodemokratyczne. Pekin walcząc z nimi uparcie utrzymywał, że niektóre parafie udzielały wsparcia demonstrantom. Jednocześnie w tym samym czasie na finiszu były watykańsko-chińskie rozmowy o przedłużeniu porozumienia dotyczącego zasad funkcjonowania Kościoła w Chinach. To właśnie dokumenty dotyczące negocjacji albo zaangażowania Kościoła w rozruchy w Hongkongu mogły być celem ataku.

Dla Chin – i nie tylko dla nich – cyberatak jest czymś więcej niż tylko kolejnym szpiegowskim narzędziem. Są nieodzownym elementem prowadzenia polityki. „Wybranie na cel jednostek powiązanych z Kościołem katolickim wskazuje

→ na próbę osiągnięcia przez rząd w Pekinie swoich celów w zakresie konsolidacji kontroli nad »podziemnym« Kościołem w Chinach i zmniejszenia wpływu Watykanu na chińską wspólnotę katolicką» – pisali badacze Recorded Future w podsumowaniu analizy ataku.

Chiny zaprzeczają, że stały za atakami. Rzecznik MSZ Wang Wenbin zapewniał, że Pekin jest »twardym obrońcą cyberbezpieczeństwa«. Wygłasza jednak podobne oświadczenia za każdym razem, gdy chińscy hakerzy oskarżani są o szpiegostwo czy sabotaż. Nawet kilka razy w miesiącu.

Łakomy kąsek

Watykan padał celem hakerów od samego początku swojej obecności w internecie (strona vatican.va pojawiła się w sieci już w 1995 r.). Początkowo ataki miały postać internetowego wandalizmu. W 2011 i 2012 r. grupa Anonymous włamywała się na strony internetowe Watykanu, Radia Watykańskiego i Światowych Dni Młodzieży. Członkowie grupy twierdzili, że chcieli w ten sposób wyrazić protest przeciwko stanowisku Kościoła w sprawie aborcji, antykoncepcji i tuszowaniu wykorzystywania seksualnego dzieci. Anonymous chwaliła się, że udało się jej spenetrować niektóre systemy, ale faktycznym rezultatem była jedynie przerwa w funkcjonowaniu niektórych stron.

Za znacznie poważniejszy uchodził atak sprzed czterech lat, gdy włoskie rodzeństwo zdołało spenetrować sieć Papieskiej Rady ds. Kultury i wykraść z niej 18 tys. dokumentów (ta sama para włamywała się również do włoskich systemów rządowych i istnieją podejrzenia, iż robiła to na zlecenie Moskwy).

Poufne watykańskie dane muszą być łakomym kąskiem dla służb wywiadowczych z całego świata. Dzięki rozbudowanej sieci nuncjatur i katolickich organizacji Watykan jest centralnym punktem bardzo rozległej sieci zbierającej mnóstwo jawnych i niejawnych informacji, potencjalnie bezcennych dla szpiegów i opłacających ich rządów. Ataki mogą mieć na celu nie tylko zbieranie informacji wywiadowczych – mogą też stanowić punkt wyjścia do rozbudowanych kampanii dezinformacyjnych. Nie grozi nam raczej publikacja w sieci fejkowych encyklik, ale dostęp do wewnętrznej korespondencji każdej organizacji, zwłaszcza tak rozległej, wpływowej i budzącej skrajne emocje, zawsze stanowi zagrożenie.

Nawet jeśli w samych wykradzionych mailach nie ma niczego zdrożnego.

Doskonałym przykładem tego, co obce wywiady mogą zrobić z wykradzionymi informacjami, była amerykańska kampania wyborcza z 2016 r. Wykradzione przez rosyjskich hakerów maile polityków Partii Demokratycznej były publikowane przez stworzony specjalnie w tym celu serwis DC Leaks. Oprócz prawdziwych wiadomości, wśród »przecieków« znajdowały się też informacje sfabrykowane lub zmodyfikowane tak, by ukazywać Demokratów w jak najgorszym świetle i napędzać teorie spiskowe. Falszywki wydawały się wiarygodniejsze, bo pojawiały się w towarzystwie wiadomości autentycznych.

»Stolica Apostolska jest świadoma ryzyka, jakie dostęp do informacji poufnych może stanowić w zniekształcaniu rzeczywistości przez fałszywe wersje pozornie oficjalnych dokumentów. To postawiłoby Watykan w bardzo niewygodnej sytuacji« – mówił KAI o. Eric Salobir, dominikanin i zewnętrzny konsultant Stolicy Apostolskiej ds. algorytyki, czyli etyki w odniesieniu do algorytmizacji życia i sztucznej inteligencji.

Zagrożenia mogą być też zdecydowanie bardziej przyziemne. Oprogramowanie ransomware, czyli blokujące dostęp do danych i zmuszające właścicieli komputerów do wpłacania haraczy, może zablokować działanie całej wewnętrznej sieci. Cyberprzestępcy mogą wykorzystać słabość zabezpieczeń stron internetowych do kradzieży danych i pieniędzy osób je odwiedzających. Przed takim zagrożeniem w ubiegłym roku przestrzegał Watykan prezes londyńskiej firmy Cybersec Innovation Partners Andrew Jenkinson, który skierował do Watykanu pismo z apelem o wzmocnienie zabezpieczeń należących do niego domen internetowych. Jenkinson twierdził wówczas, że hakerzy potencjalnie mogą podszywać się choćby pod system pozwalający na przysyłanie datków i przechwytywać pieniądze przeznaczone na działania charytatywne.

Znakiem, że Watykan docenia powagę sytuacji, może być to, że w październiku 2019 r. Franciszek wyznaczył na szefa watykańskiej żandarmerii Gianluce Broccolletiego. To ekspert od cyberbezpieczeństwa, który od 1999 r. odpowiadał za zabezpieczenie informacyjne Watykanu, w tym za cyberbezpieczeństwo konklawe z 2005 i 2013 r.

Bezcenne zbiory

Szczególnym obiektem troski watykańskich ekspertów od cyberbezpieczeństwa jest zawartość Watykańskiej Biblioteki Apostolskiej. Ogromne archiwum – zawierające 80 tys. bezcennych dokumentów, w tym setki międzynarodowych traktatów, najstarszą znaną Biblię czy rękopisy Galileusza i Michała Anioła – przechodzi właśnie proces digitalizacji. Od 2012 r. zeskanowano 25 proc. spośród 41 mln stron archiwów. Proces ten ma dać dostęp do skarbów kultury i nauki wszystkim badaczom i miłośnikom historii z całego świata, jest jednak także wabikiem dla cyberprzestępców i szpiegów – odkąd rozpoczęła się digitalizacja, biblioteka jest obiektem około stu ataków miesięcznie.

»Udany atak mógłby doprowadzić do kradzieży, manipulacji bądź zniszczenia naszej kolekcji. Musimy chronić nasze cyfrowe zbiory, aby czytelnicy mogli być pewni, że to, co się w nich znajduje, jest prawdziwą, niezmienną historią – wyjaśniał w listopadzie dziennikowi »The Guardian« szef pionu informatyki Biblioteki Manlio Miceli, dodając: – Uszkodzenia fizyczne są widoczne na pierwszy rzut oka, ale atak cyfrowy jest trudniejszy do wyłapania i może wyrządzić potencjalnie nieodwracalne straty pamięci historycznej świata. W erze fake newsów te zbiory odgrywają wielką rolę w walce z dezinformacją, więc kluczowa jest obrona ich przed »atakami wymierzonymi w zaufanie«.

W obronę zbiorów Watykan zaprzęga najnowsze, eksperymentalne technologie. W ubiegłym roku Biblioteka porozumiała się z założoną przez matematyków z Uniwersytetu Cambridge firmą Darktrace, która opracowuje komputerowe systemy obronne oparte na sztucznej inteligencji. Mają wykrywać subtelne, nietypowe zmiany w aktywności wewnętrznej sieci, co może być sygnałem o nadchodzącym ataku. Nawet one jednak nie dają gwarancji stuprocentowego bezpieczeństwa. »Jedynym sposobem na całkowite zabezpieczenie jakiejkolwiek organizacji jest zupełne odcięcie jej od internetu – przyznaje Miceli. – My chcemy wprowadzić Bibliotekę Watykańską w XXI wiek, więc na pewno nie zrobimy tego w najbliższej przyszłości«.

© AGATA KAŹMIERSKA,
WOJCIECH BRZEZIŃSKI

weź, czytaj!

zanim zabraknie



* Cena pojedynczego wydania archiwalnego – 15 zł.

Zamów nasze *the best of* – tematyczne numery „Tygodnika Powszechnego. Wydania Specjalnego”, zanim ich nakłady się wyczerpią. Napisz na adres: zamowienia@TygodnikPowszechny.pl, my zajmiemy się resztą.

Do kompletu 4 wybranych wydań piąte dodajemy GRATIS*!

W ofercie dostępne są wydania: „Polska Żydowska”, „Smak wolności”, „Zwierzenia zwierząt”, „Halo tu Ziemia”, „Dobre życie”, „Moc kobiet”, „Święto spotkań”, „Kryzys w Kościele”.

i w prenumeracie:

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym:
Tygodnik Powszechny z siedzibą w Krakowie
Bank Pekao SA
nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela
Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00
pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail:
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela
Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 660 692 101
(w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail:
kontakt@TygodnikPowszechny.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	420 zł	540 zł
Półroczna (26 numerów)	240 zł	300 zł
Kwartalna (13 numerów)	130 zł	160 zł
Pokolenia*	365 zł	
Karta Dużej Rodziny**	365 zł	

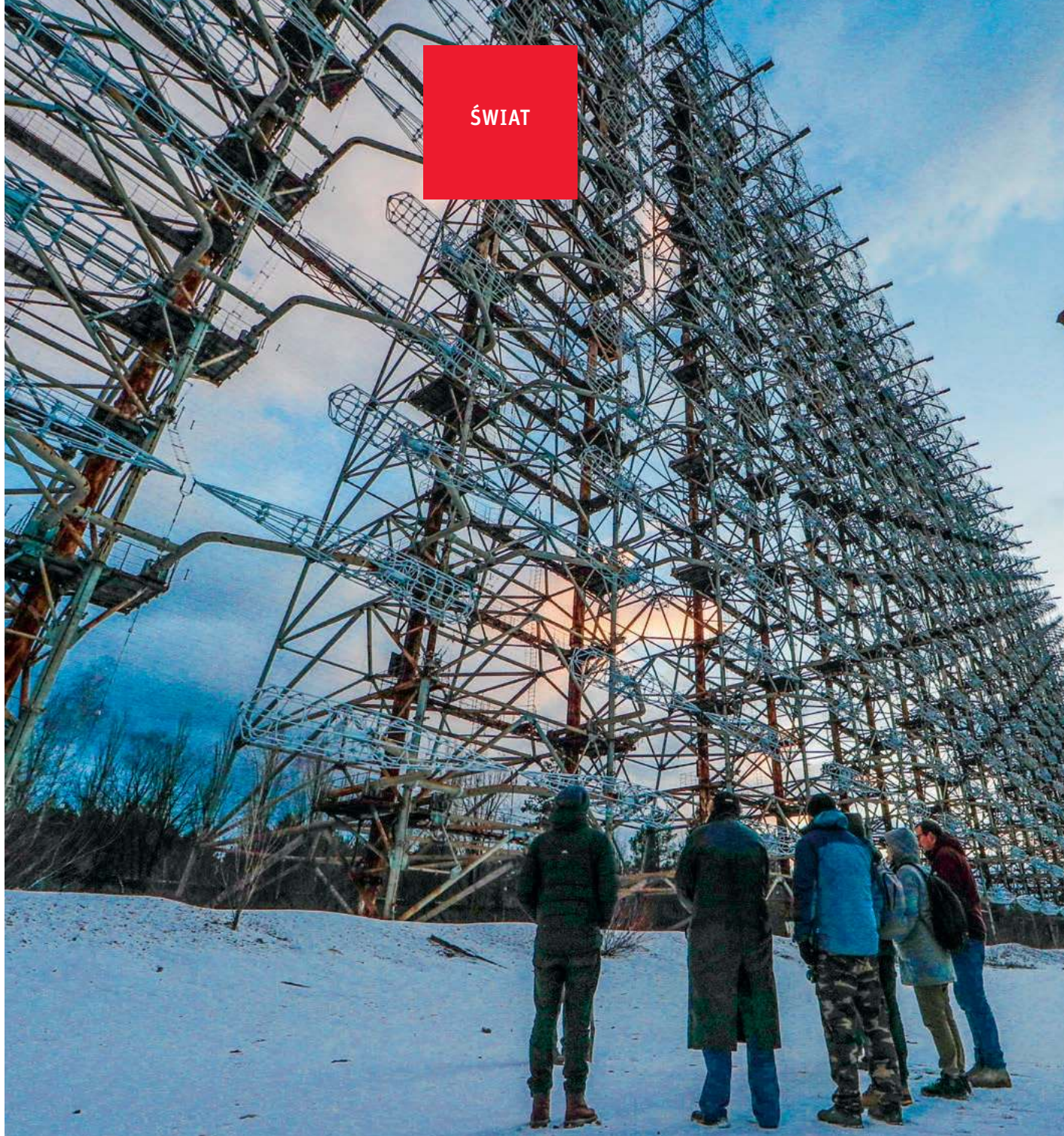
„TYGODNIK POWSZECHNY. WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	490 zł	610 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	430 zł	
Karta Dużej Rodziny**		
+ 4 wydania specjalne	430 zł	
4 wydania specjalne	75 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin



KOCHAM CZARNOBYL

Wadimowi nie przeszkadza, że żyje w sąsiedztwie tego miejsca.
Tutaj, tuż przy strefie zamkniętej, odnalazł wszystko,
co najważniejsze: ciszę i spokój.

MONIKA ANDRUSZEWSKA ZE WSI DYTIATKI KOŁO CZARNOBYLA



Turyści zwiedzają pozostałości po stacji radarowej „Duga” w Czarnobylu. Zwana „Okiem Moskwy”, podczas zimnej wojny stacja ta należała do sowieckiego systemu wczesnego ostrzegania. Styczeń 2020 r.

sto nie wiedzą nawet, że Ukraina jest niepodległym państwem, i to już od prawie trzech dekad – interesuje ich wyłącznie atomowy Disneyland.

Tymczasem miejsce to, naznaczone atomową apokalipsą, stało się dziś jednocześnie schronieniem dla człowieka, który uciekł przed katastrofą budzącą w świecie zdecydowanie mniejsze emocje – rosyjską agresją na Ukrainę.

Powietrze na sprzedaż

Pracownicy kiosku dzielnie zachwalają swoje „nuklearne pamiątki”: dozymetry mierzące poziom promieniowania, znaczki „Kocham Czarnobyl” czy akcesoria stylizowane na stroje likwidatorów awarii. Za równowartość ok. 20 złotych można kupić puszkę, które mają zawierać – jak czytamy na etykiecie – powietrze z okolic Czarnobyla i Prypeci (dziś miasta-widma, w którym kiedyś mieszkali pracownicy elektrowni wraz z rodzinami).

– Komunizm stworzył nuklearnego potwora, a teraz kapitalizm dobrze go sprzedał. W tym kraju wszystko jest na sprzedaż, nawet powietrze, którym oddychamy. Powietrze czystsze niż w centrum Kijowa! – śmieje się spacerujący przy posterunku siwawy mężczyzna o wyglądzie amerykańskiego drwala.

– Nie rozumiem, dlaczego ludzie z całego świata przyjeżdżają, żeby oglądać miejsce czyjejś tragedii, opuszczone miasto. Takie same widoki mamy w Donbasie. Współczuję tym, po których dawnych domach biegają teraz wycieczki turystów, fotografując się na szczątkach ich życia. Możliwe, że w moim domu za parę lat też tak będzie. Moja rodzina w 2014 r. przeżyła to samo, co w 1986 r. mieszkańcy Prypeci – dodaje.

50-letni Wadim, bo tak ma na imię, pochodzi z Gorłówki, kiedyś ćwierćmilionowego miasta w obwodzie donieckim, od siedmiu lat znajdującego się na terenie tzw. Donieckiej Republiki Ludowej – jednego z dwóch parapaństw w Donbasie, kontrolowanych przez Kreml.

Podobnie jak półtora miliona mieszkańców Donbasu, oficjalnie zwanych uchodźcami wewnętrznymi, Wadim

z rodziną uciekli ze strefy walk. Zostawili za sobą dotychczasowe życie. Gdy szukali miejsca na rozpoczęcie nowego, pewien znajomy wspominał mu, że posiada opuszczony budynek, który chętnie sprzeda.

Szkoła w Dytiatkach

Okazało się, że jest to zniszczony budynek dawnej szkoły podstawowej w Dytiatkach – wiosce położonej 23 km od Czarnobyla.

Po awarii reaktora szkołę zamknęto. Dziś może kilometr dzieli jej budynek od posterunku, za którym zaczyna się tzw. zona, czyli strefa zamknięta, zwana też obszarem wykluczenia. Gdyby eksperci wyznaczający granice zony pociągnęli kreskę na mapie parę milimetrów dalej, także szkoła znalazłaby się na obszarze, gdzie nie wolno mieszkać.

– Choć wyrosliśmy w strachu przed Czarnobyłem, wtedy w ogóle nie pomyślałem, że grozi nam promieniowanie. Miałem w głowie tylko to, że nie mam już pieniędzy na wynajem, a ktoś proponuje mi za 200 dolarów dom, na który nie spadną już żadne bomby. Lęk przed wojną jest silniejszy niż nawet najgłębiej zakorzeniony atomowy strach – wspomina Wadim.

Mieszkanie w budynku, który liczy sobie jakieś sto lat, jest trudne. Brakuje toalety i bieżącej wody. Ale Wadimowi to nie przeszkadza. Mówi, że tuż przy strefie czarnobylskiej odnalazł wszystko, co najważniejsze: ciszę i spokój.

– Dopóki separatyści nie zbombardowali naszego domu, byliśmy bogatymi ludźmi – dodaje mężczyzna. – Żyliśmy w luksusach, zwiedziliśmy wiele krajów. Miałem fabrykę akumulatorów w Donbasie. Gdy zaczęła się wojna, całe dzieło mojego życia przepadło. Ale dopóki żyję, nie mam co narzekać.

Jestem jak żywy eksponat

W dawnej klasie Wadim składa artefakty, które zastał w budynku, a które pieczołowicie zbiera. Jak porzucone podczas pośpiesznej ewakuacji zeszyty, najwyraźniej ze szkolnego archiwum.

– Chciałbym odnaleźć krewnych dzieci, których zeszyty tu zostały, poznać ich dalsze losy. Przecież to pamiątki dla przyszłych pokoleń! Żywa historia propagandy! To tę moją szkołę powinno się pokazywać turystom, żeby zrozumieli, jak w ogóle mogło dojść do ignorowania

OD WIELU LAT, WŁAŚCIWIE OD KIEDY tylko stało się to możliwe, ciągną tutaj tłumy ludzi spragnionych mocnych wrażeń. Spragnionych dotknięcia świata, który wyłonił się po nuklearnej katastrofie, jaka wydarzyła się 35 lat temu, w nocy z 25 na 26 kwietnia 1986 r.

Z czasem wokół strefy czarnobylskiej powstał sprawnie działający mikro-kosmos agencji oferujących wycieczki dla turystów z całego świata. Przewodnicy wycieczek żartują, że przyjeżdżający czę-



MONIKA ANDRUSZEWSKA x3

W dawnej szkole, gdzie dziś mieszkają Wadim i jego rodzina, po ewakuacji z 1986 roku pozostały zeszyty uczniów. Dytatki, kwiecień 2021 r.



→ katastrofy w elektrowni atomowej i jaki był poziom ogłupienia sowieckiego społeczeństwa – Wadim kartkuje zeszyt wypełniony starannym dziecięcym pismem.

„Eszelon z czołgami jechał przez francuskie górnicze wsie. Robotnicy dostali informację o amerykańskich czołgach. Wszyscy towarzysze zdecydowali się walczyć o pokój i zniszczyć czołgi” – napisała w wypracowaniu z języka ukraińskiego dziewczynka o imieniu Zina w 1952 r.

Są też zadania z matematyki: w 1952 r. ukraińskie dzieci ćwiczyły arytmetykę, obliczając odległość, którą przejechał sowiecki czołg. Z kolei wśród rzeczy znalezionych na strychu szkoły jest gazeta „Ukraina”, a w niej obraz obejmujących się Lenina i Stalina.

– Ależ to jest symboliczne! Dzieci uczono czcić katów ukraińskiego narodu w budynku, w którym mieszka dziś człowiek, który stracił wszystko za sprawą działania spadkobiercy tego systemu, Władimira Putina – zastanawia się Wadim. – Może powinno się otworzyć tutaj muzeum, a mnie prezentować jako żywy eksponat?

W remontowanej własnymi rękami szkole Wadim planuje otworzyć gospodarstwo agroturystyczne. Będzie pokazywać turystom, którzy przyjeżdżają do Czarnobyla, piękno tutejszej przyrody i propagować życie zgodne z naturą. Niebawem posadzi sad z orzechowcami i plantację jagody amerykańskiej.

Pytany o to, czy ktoś kupi jagody zebrane w takim miejscu, wzrusza ramionami. – Pokażę im, że sam je jem. Zbadam na ich oczach dozrywanie i będą wiedzieli, że nie ma się już czego bać. Czarnobyl trwa już tylko w naszych głowach.

Kopalnia w Jenakijewem

– Uważam, że to Donbasem powinien interesować się dzisiaj świat, to o nim powinno się robić seriale, takie jak ten HBO o Czarnobylu – Wadim nastawia herbatę z zebranych w lesie ziół.

– Wszyscy fascynują się Czarnobylem, a nie widzą, że na Ukrainie w każdej chwili może mieć miejsce taka sama katastrofa. W 1979 r. w Donbasie przeprowadzono eksperyment nuklearny. 20 kilometrów od mojego domu. Żyłem sobie spokojnie, nie wiedząc, że Sowietci robili mi drugi Czarnobyl tuż pod nosem! – opowiada, rozlewając napar.

Wadim ma na myśli eksperyment w tzw. Obieckie Kliważ, na terenie kopalni Junkom w mieście Jenakijewie (potem zasłynęło ono jako miejsce urodzenia prezydenta Wiktora Janukowycza, obalonego przez rewolucję godności w 2014 r.).

W 2018 r. wspierani przez Rosję separatyści zalali teren kopalni. Teraz ska-

żona woda przedostaje się prawdopodobnie do wód gruntowych i zalewa kopalnię znajdującą się po ukraińskiej stronie frontu. Organizacje międzynarodowe alarmują, że poziomowi zanieczyszczenia z kopalni w Jenakijewem nikt obecnie nie kontroluje, bo władze tzw. Donieckiej Republiki Ludowej nie wpuszczają na ten teren niezależnych ekspertów.

Wadim: – Mam wrażenie, że choć Związek Sowiecki rozpadł się już prawie 30 lat temu, to jego pozostałości wciąż prześladowają ludzi, którzy mieli nieść ciężkie urodzić się w tym regionie. To jakiegoś błędne koło. Rosja przysłała do Donbasu, więc uciekłem pod Czarnobyl. A może się okazać, że nawet jeśli wschód kraju kiedyś wróci do Ukrainy, to ludzie tacy jak ja już tam nie wrócą. Teren będzie zbyt zanieczyszczony. Może uda się oczyścić wodę, ale nikt nie oczyści ludzkich dusz, które ostatnie siedem lat spędziły karmione rosyjskimi mediami.

Darmowe wysypisko

Wiosenny las byłby bajkowy, gdyby nie kawałki drutu kolczastego i walające się w trawie śmieci.

– Ten piekielny płot powinien zostać zlikwidowany albo zamieniony na bardziej nowoczesny parkan. Turysty zachwycają się łosiami i jeleniami spacerującymi beztrudno po Prypeci, a nie wiedzą, że kilka kilometrów dalej na zwierzęta czeka śmiertelna pułapka. One mieszkają w strefie wykluczenia jak w gułagu – Wadim wskazuje na poszar-

**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
goszczą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”.

Stuchaj nas w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM

Krynica Zdrój – 102,1 FM

Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM

Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM

Gorlice – 97,4 FM

www.radiokrakow.pl



Wadim przed budynkiem dawnej szkoły.
Dytiatki, październik 2020 r.

pany gdzieś drut kolczasty. Dodaje, że zimą prawie codziennie widać ślady krwi na śniegu, bo jelenie zaplądają się w druty.

W krzakach leżą kupki śmieci, na których można rozpoznać loga firm turystycznych. Wadim mówi, że choć Czarnobyl jest chyba najbardziej dochodową ukraińską atrakcją, nikt nie troszczy się o tereny poza głównymi szlakami zwiedzania.

– Sowieccy uczeni wyliczali, że to będzie radioaktywna pustynia, a przecież ta ziemia byłaby czysta i piękna, gdyby nie śmieci – irytuje się. – Tu trwa już nie katastrofa jądrowa, lecz klęska ekologiczna. To nie radiacja będzie problemem dla przyszłych pokoleń, ale fakt, że ukraińscy przedsiębiorcy traktują ten teren jak darmowe wysypisko. Przez te dziury w płocie i tak spokojnie przechodzą ci, którzy chcą zwiedzać na własną rękę. Parkują zresztą u mnie przed domem. Wiesz, czemu władzom zależy na tym, by nikt nie chodził samodzielnie po zonie? Bo każda dodatkowa para oczu to świadek tego, jak wywożą do lasów śmieci i nielegalnie wycinają drzewa! – denerwuje się coraz bardziej.

Pokazuje tabliczki „Nie śmiecić!”, które sam zainstalował. Mówi, że w dwa lata zebrał chyba więcej śmieci niż władze regionu przez ostatnie kilkadziesiąt.

Surowce wtórne

Wymarzona agroturystyka to jeszcze pieśń przyszłości. Na razie Wadim wymyślił więc pewien biznes: segregując śmieci



Wadim w schronie przeciwbombowym, który zbudował na wszelki wypadek po tym, jak osiadł w Dytiatkach. Październik 2020 r.

wyrzucone po okolicznych lasach, zbiera surowce wtórne. Jest tego tyle, że otworzył przedsiębiorstwo przetwarzające je na brykiety, paliwo i druty. To, co inni porzucili wokół Czarnobyla, dla niego jest źródłem utrzymania.

W wolnych chwilach jeździ po okolicznych zakładach i zachęca, by przywozili śmieci do niego, zamiast wyrzucać do lasów: – Mówię im: i tak tu przecież jedziecie, zatrzymajcie się więc u mnie, będzie wam wygodniej! A przyroda wam jeszcze za to podziękuje.

– Gdyby nie ja, to wszystko skończyłoby w lesie – pokazuje stosy starych opon leżących przed płotem jego firmy.

– Czuję więź z tą ziemią – Wadim się zamyśla. – Więź z tym jej uporem, z jakim odżywa po tym, jak po katastrofie ścinano drzewa i wybijano zwierzęta. Inni mogą tu przyjeżdżać, żeby zobaczyć miejsce największej katastrofy nuklearnej, ale dla mnie to ziemia obiecana. Rośliny i zwierzęta egzystują tu tak, jak zaraz po stworzeniu świata, a nie jak po apokalipsie. Gdy wychodzę przed dom, mam poczucie, że przyroda krzyczy do mnie, iż mam być jak ona i zacząć od początku. Tak, jestem jak ta ziemia. Oboje cierpieliśmy przez ludzką głupotę. I teraz oboje się odradzamy. Czarnobyl to miejsce, w którym wiele historii się skończyło, ale moja zaczyna się od nowa.

Schron

Budynek dawnej szkoły nie miał piwnicy. Wadim sam ją wykopał i następnie zbudował schron przeciwbombowy.

Ma solidne betonowe mury. – Żona się ze mnie śmieje i wykorzystuje mój bunkier do przechowywania konfitur – żartuje, ale zaraz poważnie. Bezwiednie gładzi dłońią ścianę: – Po katastrofie czarnobylskiej ludzie chorowali na raka, promieniowanie niszczyło ich zdrowie przez lata, nawet gdy byli już daleko od elektrowni. A ja każdej nocy budzę się myśląc, że jestem na wojnie. Wojna jest jak promieniowanie. Zostaje w tobie i deformuje ci życie niezależnie od tego, gdzie od niej uciekniesz.

– Nikt tego nie rozumie – dodaje. – Wszyscy mnie pytają, czy zbudowałem ten schron, bo obawiam się skażenia z terenu dawnej elektrowni, spowodowanego np. przez pożary lasów. Ale nie, nie o to chodzi. Gdy tylko tu zamieszkałem, zrozumiałem, że muszę jak najszybciej wybudować miejsce, gdzie w razie czego będziemy mogli się schować, gdyby i tu dopadła nas Rosja. Nie martwię się Czarnobyliem. Za to boję się, jak czytamy, co dzieje się znów na wschodzie i jak Rosja nie umacnia się na Białorusi.

Z Dytiatki do białoruskiej granicy jest zaledwie ok. 25 km.

– Za chwilę może się okazać, że mieszkam nie przy granicy ukraińsko-białoruskiej, ale znów przy ukraińsko-rosyjskiej. Gdy przeczytałem ostatnio, że Rosjanie gromadzą wojska, zrozumiałem, że muszę jak najszybciej zbudować podziemne wyjście ewakuacyjne z bunkra – dodaje. – W razie czego ucieknę i znowu zacznę od początku.

© MONIKA ANDRUSZEWSKA



ANNA OGORODNIK / AP / EAST NEWS

Protesty w obronie Aleksieja Nawalnego odbyły się w całej Rosji. Na zdjęciu: demonstrantka w Ułan Ude, stolicy Republiki Buriacji, należącej do Federacji Rosyjskiej. 21 kwietnia 2021 r.

Mroczny czas

ANNA ŁABUSZEWSKA

Na rosyjskich ulicach znów protestują ci, którzy gotowi są kłaść na szali swoją wolność. Ilu natomiast jest takich, którym brak odwagi, ale którzy gardzą władzą?

INTENCJA KREMLA BYŁA PROSTA: UWIEZIE- nie Aleksieja Nawalnego natychmiast po jego powrocie do Rosji w styczniu miało zdjąć temat z politycznego porządku dziennego. Pozostający w odosobnieniu „więzień numer jeden” miał popaść w zapomnienie i nie stwarzać już Putino- wi problemów. Szybko jednak okazało się, że oponent znów jest w centrum zainteresowania nie tylko Rosji, ale i świata.

Pod koniec marca Nawalny, przebywający w zamordystycznej kolonii karnej IK-2 w Pokrowie w obwodzie włodzimierskim, zaczął się skarżyć na bóle kręgosłupa i brak czucia w nogach (później wyraził przypuszczenie, że to skutek otrucia nowiczoikiem w sierpniu 2020 r., a może i kolejnych prób). Poprosił o pomoc medyczną, powołując się na prze-

pis, który pozwala więźniom sprowadzić na własny koszt lekarza z zewnątrz. Jego prośby odbijały się od ścian gabinetów naczelstwa – i tego w IK-2, i tego w Moskwie.

Zdesperowany, 31 marca sięgnął po broń ostateczną: ogłosił głodówkę protestacyjną. Z tygodnia na tydzień jego stan stawał się coraz bardziej poważny. Pięćcioro leczących go wcześniej lekarzy, do których ma zaufanie i których obecności się domagał, nie zostało do niego dopuszczonych.

Po trzech tygodniach głodówki władze zezwoliły jedynie na zbadanie więźnia w szpitalu we Włodzimierzu; odbyły się tam konsylia lekarzy niepracujących w Federalnej Służbie Więziennictwa (FSIN), co można uznać za częściowe spełnienie żądań Nawalnego. Jego lekarze wy-

stosowali apel, aby zaniechał głodówki, gdyż jej kontynuacja zagraża życiu.

Wreszcie, po ponad trzech tygodniach, w miniony piątek 23 kwietnia Nawalny ogłosił, że kończy protest. Nadal domaga się jednak dopuszczenia do niego jego lekarzy.

Apele, listy, protesty

Na Kreml napływało w ostatnich dniach wiele interwencji w sprawie Nawalnego. O jego stan zdrowia pytali Władimira Putina przywódcy USA, Francji i Niemiec. Prezydent Rosji wszystkich częstował komunikatem, że nie ma powodu do obaw, a władze trzymają się procedur. Indagowany przez dziennikarzy, rzecznik Kremla niezmiennie odpowiadał, że nie należy to do kompetencji administracji prezydenta, lecz FSIN.

Bez odpowiedzi pozostał list do Putina ponad stu wybitnych zachodnich twórców z prośbą o dopuszczenie lekarzy do Nawalnego. Został opublikowany we francuskim dzienniku „Le Monde” i przedrukowany przez wiele zachodnich gazet. Wśród sygnatariuszy było pięcioro noblistów, w tym Olga Tokarczuk. Z kolei rosyjscy twórcy i obrońcy praw człowieka złożyli podpisy pod listem do prawosławnego patriarchy Cyryla z prośbą o wstawiennictwo. Również nic nie wskórali. Grupa 30 osób ogłosiła głodówkę, solidaryzując się z Nawalnym: „Trzeba ratować człowieka, póki żyje”.

Wszystkie te akcje pozostawały bez reakcji Putina. Była to demonstracja, że mury Kremla są impregnowane na akty solidarności z tym, którego nazwiska prezydent nadal nie wymienia. I sygnał, że władze nie zamierzają ugiąć się pod naciskiem. W wygłoszonym w środę 21 kwietnia orędziu przed obiema izbami parlamentu Putin skupił się na ogłoszeniu wypłat socjalnych dla obywateli, natomiast nie zająknął się ani o Nawalnym, ani o protestach jego zwolenników, ani o odnotowywanym przez sondaże wzroście społecznego niezadowolenia i spadku zaufania do rządzących.

Na ten sam dzień współpracownicy Nawalnego z rozsianych po całej Rosji sztabów i biur Fundacji Walki z Korupcją (FWK) ogłosili akcję solidarności z głodującym więźniem. Protesty odbyły się w całym kraju, z różną intensywnością. Łącznie zebrało się może sto, a może dwieście tysięcy, trudno było policzyć. Dzień wcześniej władze zastosowały wypróbowane

metody zastraszania: dokonano prewencyjnych aresztowań. Podczas demonstracji zatrzymano prawie 1,8 tys. osób (najwięcej w Petersburgu, gdzie policja była wyjątkowo brutalna).

Na ulice wyszli ci, którzy gotowi byli poświęcić na szali swoją wolność. A ilu jest takich, którym zabrakło odwagi, ale którzy gardzą władzą? W licznych komentarzach w internecie powtarza się twierdzenie, że największą grupą w rosyjskim społeczeństwie są ci, którym jest wszystko jedno.

Zamiatanie i zginięcie

Putin nie lubi niespodzianek, nie dopuszcza, aby ktokolwiek zagroził jego pozycji. Na rosyjskim firmamencie politycznym jest miejsce tylko dla jednego słońca. Autorytarny system nie zna czegoś takiego jak polityczna konkurencja. Wszelkie przejawy innego myślenia są wycinane z użyciem machiny przymusu.

Po uwięzieniu Nawalnego na celowniku władz znalazły się stworzone przez niego struktury. Gdy jednak sieć jego sztabów w regionach i Fundacja Walki z Korupcją okazały się zdolne do kontynu-

owania działalności mimo codziennych represji, kremłowski Lewiatan znalazł młot, którym chce rozbić niepokorne stowarzyszenie. Prokuratura złożyła w minionym tygodniu pozew o uznanie FWK i sztabów za organizacje ekstremistyczne.

Jeżeli sąd przychyli się do wniosku prokuratury, będzie to oznaczać zawieszenie działalności FWK. Odpowiedzialność karna zagrozi nie tylko jej członkom, ale też tym, którzy wspierają fundację finansowo. „To będzie mroczny czas dla społeczeństwa obywatelskiego w Rosji. Kreml faktycznie zażądał, aby uznać za ekstremistów wszystkich, którzy go nie akceptują. Nie akceptują pałaców i wzrostu cen, podniesienia wieku emerytalnego i korupcji. Ekstremistami będą wszyscy, którzy są gotowi protestować” – napisali liderzy FWK. Niektórzy współpracownicy Nawalnego już zdecydowali się na emigrację, deklarując, że za granicą będą bardziej pomocni.

A reszta? Zmrożona strachem aktywna część społeczeństwa ma poczuć swoją bezsilność i brak perspektyw. Ogromna masa, która częściowo popiera Putina,

a częściowo deklaruje apolityczność, nadal nie znajdzie powodów, aby się wychyłać.

Czy tak będzie zawsze? Przecież przyczyny niezadowolenia nie znikną, problemy narastają, a Putin traci moc i coraz częściej musi sięgać po rozwiązania siłowe. Petersburski historyk Iwan Kuriłła zauważył: „Kilka lat temu władza w odpowiedzi na masowe protesty uliczne organizowała tzw. putingi: zwoziła pracowników sfery budżetowej na oficjalne wiece poparcia dla Kremla. A teraz mam wrażenie, że Putin obawia się, że w dużej grupie ludzi przymusowo zagonionych na plac przeważać będą ci, którzy mają dosyć władzy. Tak było w Rumunii w 1989 r.: Ceaușescu zgromadził ludzi, aby go poparli, a oni go obalili”.

Długo rządzący autokraci i dyktatorzy z czasem popadają w paranoję; wszędzie widząc zagrożenie, eliminują rywali i zastraszają społeczeństwo. I jakże często zdarza się, że nagle potykają się o własne nogi.

© P

Tekst ukończono 23 kwietnia.

REKLAMA



Pomóż nastoletnim matkom z domów dziecka stworzyć rodzinę, której nie miały

Fundacja Szczęśliwej Drogi

nr konta: 73 1140 2004 0000 3402 7596 4920



Rewolucja nad polską granicą

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z GRÜNHEIDE (NIEMCY)

Mimo protestów Elon Musk tworzy pod Berlinem nowe zagłębienie motoryzacyjne. Czy na planach amerykańskiego miliardera skorzysta także Polska?

NA WSCHÓD OD BERLINA, NA TERENIE landu Brandenburgia, rozpościerają się wielkie obszary leśne. Całymi dniami można wędrować tu wśród mroza drzew i tylko sporadycznie napotkać na niewielkie osady zamieszkane przez ludzi.

Jedną z takich wysepek jest Grünheide. W herbie miejscowości widnieje żółw. Do Zielonych Wrzosowisk – bo tak można przetłumaczyć jej nazwę – przyjeżdża się, żeby zwolnić obroty. Po ciężko przepracowanym tygodniu w stolicy,

w tej spokojnej, ledwie ośmiotysięcznej miejscinie berlińczycy mogą ukończyć skołataną nerwy i pozwolić sobie na żółwie tempo. Po leśnych wędrowniach można schłodzić się w jednym z wielu okolicznych jezior. Grünheide dla Berlina jest tym, czym Zalew Zegrzyński dla Warszawy.

Midas z Doliny Krzemowej

Nie jest niczym nowym, że gdy wielkie inwestycje biznesowe szukają wolnych przestrzeni, często upatrują sobie

takie idylliczne miejsca. Herbowy żółw już dziś musi zadawać sobie pytanie, co dzieje się z jego spokojnym Grünheide. I czy wkrótce nie będzie musiał poszukać sobie innego kąta do życia zgodnie z rytmem natury. W okolicy zaczyna się bowiem robić głośno i tłoczno. Na południe od miasteczka w zeszłym roku wycięto 90 hektarów drzew. A to tylko część z 300 hektarów, które przeznaczono pod budowę fabryki samochodów elektrycznych marki Tesla.

Amerykańskim koncernem rządzi niespełna 50-letni Elon Musk, przedsiębiorca, miliarder i filantrop w jednym, uważany za charyzmatycznego i wielbionego przez miliony fanów. To obok Marka Zuckerberga, założyciela Facebooka, chyba najbardziej rozpoznawalny z technologicznych Midasów, których założone w Dolinie Krzemowej spółki od dwóch dekad rewolucjonizują naszą rzeczywistość. Musk stoi za sukcesami firmy PayPal, która oferuje płatności internetowe. Jego firma Tesla buduje pojazdy elektryczne, a przedsiębiorstwo kosmiczne SpaceX rakiety, które w przyszłości mają zabrać ludzi na Marsa.



HANNIBAL HANSCHKE / REUTERS / FORUM

Budowa zakładów Tesli w Grünheide, grudzień 2020 r.

Wspólnym mianownikiem biznesowych pomysłów Muska jest zawrotne tempo ich wdrażania. Również budowa niemieckiej fabryki idzie tak szybko, że samo słowo „Tesla” zaczęło używać w języku niemieckim w roli przymiotnika, który oznacza nadzwyczajną prędkość. Budowę rozpoczęto z początkiem 2020 r., a według oficjalnych planów już w lipcu tego roku obiekt ma być gotowy do podjęcia pracy. Ambitne plany zakładają docelowo produkcję do 500 tys. pojazdów rocznie.

Nietrafiona przeprowadzka

Nie wszystkim to się podoba. – Ta fabryka to katastrofa! – mówi Jörg, którego spotykam w centrum Grünheide.

Jörg sprowadził się tu dwa lata temu z Berlina. Dla niego i jego żony Gudrun miało to być spełnienie marzeń o cichym i spokojnym życiu na emeryturze. Zaledwie kilka miesięcy po tym, jak kupili dom i się przeprowadzili, pierwszy raz usłyszał słowo „Tesla”, które obecnie nie schodzi z ust mieszkańców. Informację o wyborze podberlińskiego miasteczka Elon Musk ogłosił w listopadzie 2019 r.

Choć koncern i jego właściciel w swoich komunikatach wolą używać oficjalnej nazwy „Giga Berlin”. W końcu liczy się marketingowy chwyt: Tesla podbija Berlin, stolicę Niemiec, motoryzacyjnego mocarstwa.

Od tamtej chwili każda kolejna informacja to dla Jörga i Gudrun nowy powód do zmartwień. Najpierw decyzja o przeznaczeniu pod budowę 300 hektarów lasu. Następnie lawina spekulacji, jak bardzo fabryka zmieni lokalny charakter regionu. Dziś największe obawy budzą prognozy co do ilości wody, którą fabryka będzie potrzebować do produkcji.

Małżeństwo coraz częściej zadaje sobie pytanie, czy decyzja o przeprowadzce była słuszna. Wraz z postępami budowy fabryki narasta ich rozczarowanie polityką, która od początku na wszystkich szczeblach i mimo wątpliwości wspiera inwestycję Muska. – W Niemczech nie ma już demokracji – mówi Jörg z przekonaniem.

Jedyną nadzieję pokłada w działaniach obywatelskiej inicjatywy, która zawiązała się, żeby zatrzymać budowę.

Zwierzęta, ludzie, woda...

Z przewodniczącą tej inicjatywy, Manu-
elą Hoyer, spotykam się przed placem budowy.

Jak przystało na inwestycję z „giga” w nazwie, przestrzeń robi wrażenie. Stojąc przed głównym wjazdem – przy, jakżeby inaczej, Teslastrasse – trudno oszacować faktyczną wielkość budowy. Dopiero obejrzenie filmów, które fani Muska kręcą dronami, pozwala zrozumieć skalę przedsięwzięcia. Z powietrza lepiej widać kompleks już stojących i dopiero powstających części głównego budynku, ciężarówkek, dźwigów i uwijających się jak mrówki pracowników.

– To wszystko tutaj to był las – mówi Manuela Hoyer w rozmowie z „Tygodnikiem”, wskazując plac budowy. – Tylko dlatego, że najbogatszy człowiek na świecie ma takie życzenie, politycy rozwijają tu przed nim czerwone dywany – stwierdza z przekąsem. Podczas rozmowy nigdy nie mówi po prostu o „budowie”, słowo to zawsze poprzedza przymiotnikiem „gówniana”.

Emerytka Manuela Hoyer była aktywna podczas protestów, gdy gra toczyła się o wycinkę drzew. Przy wsparciu organizacji ekologicznych przeciwnicy projektu starali się argumentować, że na terenie przyszłej budowy żyją rzadkie gatunki zwierząt i owadów. Bezskutecznie. Na obecnym etapie przeciwnikom nie chodzi już o dobro innych istot, tylko o swoje własne. – Pod tą fabryką są wody gruntowe. Pijemy tę wodę, ona trafia też do kranów w Berlinie. Teraz pójdzie na produkcję aut, których nikt nie potrzebuje – argumentuje Hoyer.

Z wyliczeń koncernu wynika, że fabryka może zużywać do 3,6 mln metrów sześciennych wody rocznie, co przekładałoby się na 30 proc. obecnego zużycia w regionie. – Co lato mamy suszę. Od trzech lat lokalni politycy nawołują mieszkańców do oszczędzania wody. I jednocześnie pozwalają budować tu fabrykę? – denerwuje się Hoyer.

Na barykady!

Manuela Hoyer jest przekonana, że pojazdy elektryczne nie staną się technologią przyszłości. I nie jest w tym poglądzie odosobniona.

Samochód napędzany akumulatorem litowo-jonowym jest bezemisyjny, ale jego produkcja to zupełnie inna sprawa. ➔

→ W szczególności do wyprodukowania baterii potrzeba znacznej ilości metali rzadkich i wytwarzany jest spory ślad węglowy. Z kolei już w czasie samego użytkowania eauta nie bez znaczenia jest, z jakiego źródła pochodzi prąd, którym jest ładowane. Bo trudno mówić o naprawdę zielonym środku transportu, jeśli prąd dostarcza elektrownia węglowa albo gazowa.

Dla Manuela Hoyer, która otwarcie deklaruje lewicowe poglądy, jak płachta na byka działa również decyzja koncernu, że przynajmniej w początkowym okresie fabryka będzie produkować tylko tzw. model y: ekskluzywny samochód typu SUV, którego cena ma zaczynać się od równowartości 160 tys. złotych.

Emerytka nie wierzy w dialog z lokalnymi politykami. – Jestem ciekawa, który pierwszy zacznie jeździć teslą – zastanawia się. – Jeśli trzeba będzie, to pójdziemy na barykady – zastrzega bojowo. Dopytywana dodaje, że ma na myśli legalne środki. Inicjatywa przygotowuje pozwy.

Jest problem, jest rozwiązanie

Inicjatywa założona przez Manuelę Hoyer to nie jedyna organizacja, która zawiązała się w ostatnim czasie w Grünheide. Kilkunastu mieszkańców od ubiegłego roku tworzy miejską *Netzwerk*, czyli sieć. Jednym z jej założycieli jest 33-letni Albrecht Köhler. W odróżnieniu od Hoyer, on jest zwolennikiem inwestycji.

Z zawodu pielęgniarz, pracuje w pobliskim szpitalu. W każdej wolnej chwili udaje się pod plac budowy Tesli z plecakiem pełnym sprzętu fotograficznego. Dokumentuje powstawanie fabryki. Filmy i zdjęcia, a także zebrane dokumenty publikuje w internecie. Prowadzony przez niego kanał „Giga Berlin” na Twitterze śledzi kilkanaście tysięcy osób z całego świata.

Obserwując, z jaką pasją i pietyzmem Köhler relacjonuje postępy prac, nie dziwi już, dlaczego Tesla niemal nie prowadzi działu prasowego. Fani i tak sami poinformują o każdej nowince oraz, w razie potrzeby, staną w obronie ulubionej firmy i jej założyciela.

Podczas rozmowy z „Tygodnikiem” mężczyzna zaznacza, że sprawę fabryki stara się przedstawiać neutralnie. Mimo to, słuchając ma się wrażenie, że informacji udziela nie bezstronny mieszkaniec Grünheide, lecz rzecznik prasowy Tesli. I to taki bardzo dobrze znający się

na swoim fachu. Wycinka lasu? Po pierwsze, okoliczne lasy sosnowe mają charakter przemysłowy i nie są objęte ochroną. Po drugie, Tesla zasadzi taką samą liczbę drzew na innym obszarze. Budowa na obszarze ochrony wód gruntowych? W Niemczech to nie jedyny taki przypadek.

A problemy z ilością wody? Tu Köhler zdradza swoją filozofię, którą zaczerpnął od nie byle kogo, ale samego Muska. – Na każdy problem znajdzie się rozwiązanie. Trzeba tylko znaleźć odpowiednich ludzi, środki i wolę – wyklada. Jeśli wody w okolicy będzie brakowało, trzeba będzie ją pozyskać z dalszych źródeł. – Do Bremy woda doprowadzana jest rurociągiem o długości 200 km, do Monachium o długości 80 km – rzuca przykładami.

Innowacje kontra biurokracja

Albrecht Köhler patrzy na sprawę szerzej. Chciałby, żeby sposób myślenia i działania Elona Muska zmienił zbiurokratyzowaną i pełną zakazów niemiecką mentalność.

Podaje przykład z własnej branży: chińska karta zdrowia, którą ma każdy ubezpieczony Niemiec, już 20 lat temu została zaprojektowana tak, by mogła przechowywać korespondencję między pacjentem i lekarzem albo recepty. – Ale tych funkcji nigdy nie uruchomiono, ze względu na ochronę danych osobowych – opowiada. – Mógłbym podać setki takich przykładów, gdzie innowacje przegrywają z istniejącymi przepisami – dodaje.

W lokalnym zamieszaniu wokół powstającej fabryki Tesli Köhler widzi głównie konflikt pokoleniowy. Z jednej strony są emeryci (jak uważa, zawsze sceptyczni), z drugiej młodszy mieszczaństwo gotowi na zmiany. – Czas przewietrzyć to zaspiane miasteczko – apeluje.

Köhler potrafi sobie wyobrazić Grünheide za kilka lat: autonomiczne pojazdy jeżdżące po ulicach, ludzie z wielu kultur i szereg proekologicznych firm, które ściągają do regionu, aby działać w sąsiedztwie amerykańskiego giganta.

W tej przyszłości Köhler nie wyklucza większego zaangażowania się w lokalną politykę. Natomiast niekoniecznie musi jeździć teslą wyprodukowaną parę kilometrów od jego domu. – Mam dwójkę dzieci i planujemy z żoną mieć więcej, więc modele Tesli mogą być dla nas za małe – dodaje. Przed jego domem stoją dwa samochody marki Dacia.

Polityczne plecy

Kontrowersje wokół przyszłości fabryki i jej wpływu na region dodatkowo podsyca fakt, że Tesla prowadzi prace budowlane bez ostatecznego pozwolenia. Właściwe urzędy wydały tylko wstępne zezwolenie na prowadzenie bieżących etapów poszczególnych prac. Od 16 miesięcy Urząd Ochrony Środowiska landu Brandenburgii pracuje nad głównym pozwoleniem dla Tesli. Jeśli urząd tej zgody nie wyda, firma będzie musiała zdemontować wszystko, co dotąd zbudowała, a także, jakkolwiek absurdalnie by to nie brzmiało, przywrócić ścięty las.

Ryzyko wydaje się ogromne, ale wydanie negatywnej decyzji graniczy z niemożliwością. Inwestycja ma zdecydowane wsparcie landowego rządu Brandenburgii, w którego skład wchodzi chadecy (CDU), socjaldemokraci (SPD) i partia Zielonych. Politycy liczą na reindustrializację wschodnioniemieckiego regionu, który od czasu zjednoczenia Niemiec wciąż musi wysłuchiwać, jak bardzo zapóźniony jest w stosunku do zachodnich części kraju. W przyciągnięciu Tesli politycy widzą dziejącą się szansę dla landu.

Również ryzyko podejmowane przez amerykański koncern ma swoje uzasadnienie. Budowa jednej z największych fabryk pojazdów elektrycznych na świecie w odległości niespełna 40 km od Bramy Brandenburskiej – to wyzwanie rzucone niemieckiemu przemysłowi motoryzacyjnemu.

A ten po dekadach hossy jest dziś w trudnej sytuacji. Wprawdzie Volkswagen, Daimler czy BMW to – pod względem sprzedanych pojazdów – wciąż ścisła światowa czołówka. Ale niemieckie koncerny z wielkimi oporami zegnają się z silnikami napędzanymi benzyną lub olejem napędowym.

W 2020 r. wśród trzech najchętniej kupowanych pojazdów elektrycznych w Niemczech znalazł się tylko jeden model rodzimej firmy: volkswagen id.3 (obok renault zoe i modelu 3 Tesli). Natomiast już w marcu tego roku to właśnie model Tesli Niemcy kupowali najczęściej.

Effekt Big Bang

Amerykański koncern rozumie, że rynek „elektryków” to nowe rozdanie, na którym nie liczą się zasady tworzone przez największych graczy w ubiegłych deka-

dach. W 2020 r. Niemcy kupili blisko 200 tys. aut elektrycznych, nie licząc hybryd. W tym roku może być to kilka razy więcej. W marcu po raz pierwszy pojazdy z napędem elektrycznym przekroczyły poziom 10 proc. wszystkich sprzedanych aut.

Niemiecki rząd chce, aby do końca dekady po drogach Republiki Federalnej jeździło 7-10 mln „elektryków”, dlatego wspiera kupujących premią do 6 tys. euro. Państwowy doping nakręca zainteresowanie. Tesla chce na tym skorzystać i lubiącym krajowe produkty Niemcom zaproponować auto *made in Germany*.

A to nie wszystko: wyścig o pierwszeństwo w branży przyszłości może być motorem niezwykłych zmian także w Brandenburgii. Zwolennicy inwestycji Tesli liczą na tzw. efekt Big Bang: fabryka ma być „wielkim wybuchem”, po którym nastąpią kolejne (tj. kolejne wielkie inwestycje).

Niemiecka spółka-córka Tesli już przystąpiła do unijnych projektów badawczych, w których czołowe firmy przy pomocy publicznych pieniędzy mają doskonalić i wypracowywać nowe rozwiązania w branży baterii i ich recyklingu. Zarówno do produkcji, jak i działań badawczych będzie potrzebna cała lista partnerów i poddostawców. A to oznacza także napływ pracowników.

Trudno sobie wyobrazić, żeby spodziewane 40 tys. ludzi, którzy mogą docelowo pracować tylko w samej fabryce Tesli, znalazło mieszkanie w bezpośrednim jej sąsiedztwie. Niemieckie media już określiły dużą część Brandenburgii mianem „regionu Tesli” i prognozują inwestycje obejmujące drogi, budownictwo, ale i szkoły oraz przedszkola dla rodzin zarówno w Berlinie, jak też w miastach Brandenburgii.

Widziane zza Odry

Pytaniem otwartym jest, na ile powstające po niemieckiej stronie Odry zagłębie e-mobilności zahaczy o nasz kraj. Na parking przed placem budowy Tesli codziennie parkują dziesiątki samochodów i busów z Polski. To pracownicy polskich firm robią w „Giga Berlin” instalacje elektryczne, oświetlenie czy wentylację. W tym znaczeniu inwestycja już dziś jest konkretnym zyskiem dla polskich firm.

Dodatkowo w gotowej fabryce obsadzić będzie trzeba tysiące stanowisk. Jeśli,



33-letni Albrecht Köhler, mieszkaniec Grünheide i z zawodu pielęgniarz, popiera budowę i w czasie wolnym dokumentuje proces powstawania fabryki Tesli.
Kwiecień 2021 r.



60-letnia Manuela Hoyer kieruje inicjatywą obywatelską, która protestuje przeciw inwestycji. Podczas rozmowy nie mówi po prostu o „budowie”, zawsze poprzedza to słowo przymiotnikiem „gówniana”. Kwiecień 2021 r.

zgodnie z zapowiedziami, obok składania samochodów ruszy też linia produkcyjna baterii, to zakład może zatrudniać, jak już wspomniano, nawet do 40 tys. osób. Amerykański koncern na pewno nie pominął

w kalkulacjach, że pracowników będzie mógł rekrutować także po polskiej stronie granicy. Ze Słubic, Kostrzyna i okolicy już teraz można dojechać do fabryki w niespełną godzinę, a samorządowcy po obu stronach granicy zapowiadają dodatkowe inwestycje w infrastrukturę drogową.

Oprócz rąk do pracy istnieje też szansa na współuczestniczenie polskich podmiotów w całym „ekosystemie”, który rodzić będzie się wokół fabryki. Była minister rozwoju Jadwiga Emilewicz bardzo zabiegała o stworzenie „alianсу baterijnego” z Niemcami. Dzięki temu pierwsze polskie firmy uczestniczą we wspólnych unijnych projektach badawczych w zakresie baterii wraz z niemieckimi gigantami.

– Efekt Tesli już działa – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem” Jan Kamoji-Czapiński, dyrektor Centrum Inwestycji Polskiej Agencji Inwestycji i Handlu (PAIH). Jak twierdzi, pierwsi partnerzy Tesli zaczęli rozważać inwestycje w Polsce jeszcze przed oficjalnym ogłoszeniem informacji o budowie fabryki. – Elon Musk może pozwolić sobie na większe koszty inwestycji i pracy w Niemczech, bo zależy mu na efekcie marketingowym. Poddostawcy wybiorą jednak niższe koszty przy zachowaniu tej samej jakości, na co mogą liczyć osiadając w Polsce – tłumaczy Kamoji-Czapiński. Nasz rozmówca zdradza, że wkrótce zostanie ogłoszona inwestycja jednego z poddostawców Tesli w Poznaniu. – A z kolejnymi firmami toczą się zaawansowane rozmowy – dodaje.

■ ■ ■

Albrecht Köhler cieszyłby się, gdyby polscy pracownicy fabryki Tesli nie tylko dojeżdżali, ale także zamieszkali w Grünheide. – To byłoby piękne – mówi. A skoro zesłaliśmy już na polskie wątki, to Köhler zwraca uwagę, że przecież szef Tesli odbył krótką podróż do Warszawy. W grudniu 2020 r., po kilkudniowym pobycie w Berlinie, prywatny samolot Elona Muska wylądował na dwie godziny w Warszawie. Do dziś nie wiadomo, z kim Musk się spotkał i na jaki temat rozmawiał.

Jedno jest pewne. Skutki jego inwestycji na Zielonych Wrzosowiskach zmienią – i to w radykalny sposób – dużo więcej niż tylko spokojne życie mieszkańców Grünheide. © ŁUKASZ GRAJEWSKI

Siedem wcieleń Napoleona

SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA

Choć od jego śmierci mija już 200 lat, nadal wywołuje emocje. Dla jednych tyran, dla innych – chwała narodu. Kim jest Bonaparte dla dzisiejszych Francuzów?

WYOBRAŻEN NA JEGO TEMAT JEST pewnie tyle, co jego rodaków. W społecznych rankingach najbardziej wpływowych postaci francuskiej historii to właśnie on, Napoleon Bonaparte – zmarły 5 maja 1821 r. w brytyjskiej niewoli na atlantyckiej Wyspie Świętej Heleny – lokuje się od lat na szczycie, walcząc o pierwszeństwo jedynie z generałem Charles'em de Gaulle'em oraz „królem słońce” Ludwikiem XIV.

W eseju „Życie Napoleona” – stworzonym niedługo po bitwie pod Waterloo w 1815 r., która przypieczętowała jego upadek – romantyczny pisarz Stendhal stwierdził, że biografię cesarza Francuzów trzeba będzie co roku pisać na nowo. Dziś o „bogu wojny” nadal jest głośno. Tym razem za sprawą wojen o pamięć, które jego rodacy toczą na okoliczność dwusetnej rocznicy jego śmierci.

Z braku miejsca ograniczymy się tu do siedmiu współczesnych wcieleń Bonaparte'go, czy, jak kto woli, jego awatarów. Sprawdźmy, jak te popularne wyobrażenia mają się do faktów historycznych.

NAPOLEON 1:

wielki mały Korsykanin

Może się to wydać zaskakujące, ale w dzisiejszej Francji nieczęsto natrafimy na pomniki Napoleona (pomijając, rzecz jasna, muzea). W Paryżu nie ma też żadnego placu, bulwaru ani ulicy jemu poświęconych (jest wprawdzie ulica Bonaparte'go, ale bez sprecyzowania, o którego przedstawiciela rodu chodzi; można się tego jedynie domyślać).

Inaczej jest na Korsyce, dziś francuskim departamencie. Mieszkańcy rodzinnej wyspy przyszłego cesarza – przyszedł na świat tutaj, w Ajaccio, w 1769 r. – wciąż czczą Napoleona, a na placach i ulicach stoi kilka jego monumentów o imponujących rozmiarach.

Wypada więc zapytać: czy Napoleon Bonaparte czuł się Korsykaninem? Czy

miejsce pochodzenia było dla niego ważne? Kwestia to aktualna (i drażliwa), gdyż we francuskim parlamencie zasiada obecnie – po raz pierwszy w historii – trzech separatystów korsykańskich, którzy domagają się większej autonomii dla wyspy.

Przypomnijmy, że Napoleon urodził się zaledwie rok po przyłączeniu Korsyki do Francji (wcześniej należała do Republiki Genui). Gdy miał zaledwie 10 lat, ojciec posłał go do szkoły wojskowej we wschodniej Francji. Uczeń zachował jednak wyraźny korsykański akcent i z tego powodu był przedmiotem kpín rówieśników.

Wiemy, że w młodości Bonaparte sympatyzował z bojownikami o niepodległość wyspy. Zmieniło się to w 1793 r., gdy ci ostatni sprzymierzili się z Anglikami przeciwko Francuzom. Od tego momentu – jak dowodzi jego biograf Thierry Lentz – wybrał ostatecznie Francję i pozostał jej wierny do końca.

NAPOLEON 2: „grabarz republiki” i „kolonizator”

Najcięższe działa przeciw cesarzowi Francuzów – jako „despocie” i zwolennikowi niewolnictwa – wytacza dziś radykalna francuska lewica. „Republika nie powinna czcić swojego grabarza” – oznajmił Alexis Corbière z partii Francja Nieujarzmiona. Corbière uważa, że zamiast obchodów z udziałem prezydenta Macrona, lepiej byłoby organizować konferencje i krytyczne debaty o Napoleonie.

Z kolei w kwietniu na łamach dziennika „Le Monde” dwóch lewicowych intelektualistów zarzuciło Napoleonowi, że przywrócił niewolnictwo, pogrzebał rewolucję i „wykrwawił całą Europę”. Domagali się nawet, by prochy Napoleona usunąć z kościoła Inwalidów (gdzie jego szczątki spoczęły w 1840 r. po tym, jak sprowadzono je z Wyspy Świętej He-

leny). Postulowali też, aby kryptę-mauzoleum przekształcić w muzeum historii wartości republikańskich.

Te zarzuty, choć po części zasadne, nie do końca uwzględniają historyczny kontekst epoki. Bonaparte doszedł do władzy w wyniku zamachu stanu w 1799 r. (wg kalendarza rewolucyjnego: 18 i 19 brumaire'a). Najpierw rządził jako pierwszy konsul (do 1804 r.), dzieląc władzę z innymi, a potem, w latach 1804-15, sprawował już rządy absolutne jako cesarz. Zarzut despotyzmu można odnieść do drugiego okresu, a nie do całości jego rządów.

Prawdą jest, że Napoleon słabo nadaje się na patrona dzisiejszej demokracji. Nie znaczy to jednak, że był grabarzem rewolucji francuskiej. On raczej, jak pisał w swojej epopei „Kozietulski i inni” Marian Brandys, „zarekwirował rewolucję na własny użytek”, broniąc jej także przed spiskami rojalistów. Powiedzenie Napoleona, że „każdy francuski żołnierz nosi w swoim tornistrze buławę marszałka Francji”, nie było sloganem: rządy napoleońskie otworzyły drogę do awansu społecznego dla wielu ludzi skromnego pochodzenia; rzecz nie do pomyślenia za ancien regime'u.

Po drugie, nie sposób zaprzeczyć, że Napoleon przywrócił niewolnictwo we francuskich koloniach. Wypada jednak zaznaczyć – dodaje Jean Tulard, czołowy jego biograf – że niewolnictwo panowało jeszcze wtedy na sporej części globu. Np. w USA zniesiono je ponad pół wieku później, w wyniku krwawej wojny secesyjnej.

Historycy przypominają dziś ustawę z 20 maja 1802 r., ogłoszoną przez pierwszego konsula, która uchylała rewolucyjne prawo z 1794 r. o zniesieniu niewolnictwa. Jeden ze skutków tej decyzji znamy z polskich podręczników: do francuskiej kolonii San Domingo (późniejszego Haiti) wysłano korpus ekspedycyjny, aby stłumił bunt czarnoskórych mieszkańców; włączono do niego także polskich legionistów. Krwawa interwencja zakończyła się klęską i ogłoszeniem niepodległości Haiti.

Jeszcze do niedawna rolę Napoleona w przywróceniu niewolnictwa we francuskich koloniach pomijano nad Sekwaną milczeniem, gdyż nie godziło się to z wizją ojczyzny „równości, wolności i braterstwa”. Teraz temat dochodzi do głosu ze zdwojoną siłą. Porusza go obszernie m.in. wielka tegoroczna wystawa



PASCAL POCHARD-CASABIANCA / AFP / EAST NEWS

Billboard z portretem Napoleona Bonaparte'go w Ajaccio, rodzinnej miejscowości cesarza. Korsyka, marzec 2021 r.

rocznicowa w paryskiej hali La Villette pt. „Napoleon” (jej otwarcie przesunięto na maj lub czerwiec z powodu pandemii). Już jednak sama zapowiedź krytycznej wobec cesarza ekspozycji wzburzyła tych, którzy woleliby słyszeć tylko o jego chwalebnych zwycięstwach.

NAPOLEON 3:

architekt nowoczesnego państwa

W jednej sprawie chyba wszyscy we Francji są zgodni: to właśnie Bonaparte jako pierwszy konsul był twórcą istniejących wciąż instytucji państwowych.

Wśród takich instytucji, stworzonych za Konsulatu i funkcjonujących do dnia dzisiejszego, są m.in.: prefektury w departamentach, Rada Stanu (najwyższy organ sądownictwa administracyjnego), Izba Obrachunkowa i Bank Francji. Pierwszy konsul wprowadził narodową walutę – franka, którego wycofano z obiegu 200 lat później, po przyjęciu przez Francję euro w 2002 r. Napoleon ufundował też Legię Honorową – do dziś najwyższe odznaczenie państwowe. Listę jego decyzji, których skutki trwają do dziś (dla jego zwolenników: listę osiągnięć) można ciągnąć.

Najważniejszym spadkiem po Bonapartem pozostaje chyba Kodeks Cywilny z 1804 r. Do dziś we francuskim prawie przetrwała blisko połowa jego przepisów. Zwany jest też Kodeksem Napoleona. Przyjęło go wielu sojuszników napoleońskiej Francji, w tym Księstwo Warszawskie.

Sam Napoleon prognozował: „Moją prawdziwą chwałą nie jest to, że wygrałem czterdzieści bitew. Tym, czego nic nie wymaże i co będzie trwać wiecznie, jest mój Kodeks”. Tutaj się nie pomylił.

NAPOLEON 4:

potęga i groza Francji

Najbardziej zagorzali miłośnicy Napoleona znad Sekwany sytuują się na prawicy lub na skrajnej prawicy.

Cesarz (właśnie tak: cesarz, a nie pierwszy konsul) jest dla nich „ucieleśnieniem Francji potężnej, ambitnej, która chce odgrywać pierwszoplanową rolę w świecie” – to słowa Juliana Auberta, ważnego polityka prawicowej partii Republikańskiej. Broni on cesarza przed „dyktatem poprawności politycznej”, nakazującej dziś, zdaniem Auberta, prze-

praszać za wszystkie dokonania Napoleona.

Z kolei dla popularnego we Francji ultra-konserwatywnego publicysty Érica Zemmoura Napoleon jest francuskim supermanem, „nadludzką postacią na antyczną miarę, poruszaną mocą swojego rozumu”. Zemmour uważa, że cesarstwo napoleońskie to w ogóle apogeum historii Francji.

Cóż na to historycy? Nikt z nich nie zaprzecza, że Napoleon był jednym z najwybitniejszych wodzów wszech czasów, geniuszem militarnym, który w błyskawicznym tempie podbił niemal całą Europę. Problem jednak w tym, że po jego klęsce zwycięzcy okroili Francję do terytorium z 1790 r. A bilans ludzkich ofiar wojen napoleońskich był straszliwy: Thierry Lentz szacuje go na co najmniej 500-700 tys. poległych żołnierzy francuskich (cała ludność Cesarstwa Francuskiego liczyła wtedy ok. 44 mln) oraz 400 tys. poległych żołnierzy z krajów sprzymierzonych z Francją, w tym Polaków. Do tego trzeba doliczyć poległych po stronie przeciwnej i ofiary cywilne (chorób czy głodu, które towarzyszyły ówczesnym wojnom).



→ To naprawdę straszna cena za wielkość imperium, które przetrwało tylko dekadę.

NAPOLEON 5: mizogin-kobieciarz

Przy okazji rocznicy słychać także, że Bonaparte był wrogiem kobiet.

Elisabeth Moreno – członkini obecnego centrowego rządu i minister ds. równości między kobietami a mężczyznami – nazwała ostatnio w mediach Napoleona „wielkim mizoginem” (choć dodała, że był też „wybitnym człowiekiem”).

Związany z tym spór rozgorzał w zeszłym roku, gdy rada miasta Rouen (w Normandii) poleciła zdjąć z cokółu konny pomnik Napoleona. Jako powód podano oddanie go do remontu, ale już w trakcie renowacji nowy mer-socjalista zaproponował, aby 150-letni monument zastąpić statuą dedykowaną zmarłej niedawno feministce Gisèle Halimi. Burmistrz argumentował, że główny plac w mieście „nie powinien być zarezerwowany dla mężczyzn”. Czy Napoleon powróci na swoje dawne miejsce, wciąż nie wiadomo; mają o tym rozstrzygnąć konsultacje z mieszkańcami.

Skąd opinia o wrogości Bonaparte do kobiet? Po pierwsze, za jego rządów we Francji usankcjonowano prawnie niższy status małżonki, która – niczym osoba niepełnoletnia – musiała uzyskiwać we wszystkich sprawach zgodę męża; w napoleońskim Kodeksie Cywilnym znalazł się słynny zapis (art. 213): „Mąż winien otaczać żonę ochroną, a żona – winna jest mężowi posłuszeństwo”. Krytycy zauważają, że tego rodzaju przepisy na długie lata opóźniły emancypację Francuzek w stosunku do innych Europejki (prawa wyborcze mieszkanki Francji uzyskały dopiero w 1944 r.).

Po drugie, zarzut mizoginii można odnieść do opinii o kobietach wyrażanych



Dekret Napoleona Bonaparte'go z 20 maja 1802 r. o przywróceniu niewolnictwa w koloniach francuskich.

przez Napoleona. Z dzisiejszego punktu widzenia są one przejawem rażącej dyskryminacji kobiet. Jednak nie wyróżniały się one zbyt na tle ówczesnej powszechnej mizoginii mężczyzn (nawet wśród jakobińskich radykałów), którzy spychali kobiety do sfery domowej.

Oto drobna próbka mizoginii Napoleona: „Kobieta potrzebna jest mężczyźnie, by mu rodzić dzieci”. Albo: „Żona należy do męża, tak jak jabłko do właściciela jabłoni”.

W sprawach matrymonialnych Bonaparte nie kierował się uczuciami, ale racją stanu. Sam mówił pod koniec życia, że jego jedyną prawdziwą miłością była pierwsza żona i późniejsza cesarzowa Józefina (w młodości pisał do niej piękne listy). Mimo tych uczuć rozwiódł się z nią, gdy okazało się, że nie może dać mu potomka. Poślubił wtedy 18-letnią austriacką arcyksiężnę Marię-Ludwikę, aby jednocześnie umocnić sojusz z Habsburgami.

Choć miał dziesiątki romansów, to – jak twierdzą autorzy paryskiej wystawy – jego jedynym poważnym związkiem pozamałżeńskim była relacja z Marią Walewską. Poważnym do tego stopnia, że Napoleon, już po zerwaniu z Polką, zadbał o to, aby zabezpieczyć finansowo ją samą i ich nieślubnego syna Aleksandra (późniejszego ministra spraw zagranicznych Drugiego Cesarstwa Francuskiego).

NAPOLEON 6: nieśmiertelny bonapartyzm

Rzecz ciekawa: bonapartyzm – rozumiany jako postawa oderwana już nawet od oceny samej historycznej postaci Napoleona – ma nadal we Francji wyznawców.

Nestor politycznych dziennikarzy nad Sekwaną Alain Duhamel twierdzi, że bonapartyzm nie oznacza tu żadnej określonej ideologii, lecz raczej społeczny fenomen. Chodzi o cykliczne pojawianie się mężów opatrnościowych – lub kobiet opatrnościowych, jak w przypadku Joanny d'Arc – ratujących kraj w krytycznej chwili.

Zdaniem Duhamela to właśnie Bonaparte – jako pierwszy konsul, a nie cesarz – jest nowoczesnym archetypem zbawcy narodu. Miał on swoich licznych – mniej lub bardziej udanych – naśladowców, począwszy od jego bratanka Ludwika Napoleona (czyli Napoleona III, zwanego złośliwie Napoleonem Małym) przez generała de Gaulle'a aż do byłego prezydenta Nicolasa Sarkozy'ego, rządzącego w latach 2007-12.

Na tym nie koniec: do grona bonapartyistów Duhamel zalicza także obecnego szefa państwa Emmanuela Macrona, którego w tytule swojej ostatniej książki nazywa „Emmanuelem Zuchwałym”.

Duhamel uważa, że wszystkie te postacie łączy poczucie historycznej misji, ogromne ambicje w reformowaniu kraju, hiperaktywność i umiejętne kreowanie swego wizerunku. W opinii Duhamela, wielkim – i wciąż niezrealizowanym – projektem Macrona jest odrodzenie potężnej Europy z Francją w roli lidera kontynentu.

Bonapartyzmowi sprzyja przy tym wyjątkowo silna we współczesnej Francji pozycja prezydenta, ustalona przez konstytucję z 1958 r., którą de Gaulle skrocił pod siebie.

Dodajmy, że dla Macrona zbliżające się dwustulecie śmierci cesarza to spory kłopot. Chciałby zapewne ogrzać się w cieple

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6 toczy się pod sygnaturą I Ns 287/20 postępowanie z wniosku Bolesławy Mazur o stwierdzenie nabycia własności nieruchomości przez zasiedzenie. Wniosek dotyczy niezabudowanej nieruchomości położonej w Parzewie, gmina Kotlin, o powierzchni 4,43,00 ha, dla której prowadzona jest księga wieczysta KZIJ/00003108/5.

Sąd wzywa zainteresowanych, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili swe prawa, gdyż w przeciwnym razie postępowanie będzie się toczyć bez ich udziału.



FRANCK RAUX / RMN-GRAND PALAIS

Bonaparte na czele swojej armii przekracza w 1800 r. alpejską przełęcz św. Bernarda, aby wkroczyć do włoskiej Lombardii: idealizowane wyobrażenie w wykonaniu malarza Jacques'a Louisa Davida.

napoleońskiej chwały, ale jak to zrobić, aby uniknąć drwin czy podejrzeń o dążenia dyktatorskie? Prezydent długo milczał, zanim oznajmił wszem wobec, że rocznicę upamiętni. Jak to uczyni, nie wiadomo. Będzie zapewne prezydenckie przemówienie, ale raczej bez fanfar i defilad, aby nie drażnić „napoleonosceptyków”; wszak w przyszłorocznej walce o reelekcję liczyć będzie się każdy głos, bo sondaże nie są Macronowi przychylnie – po piętach depcze mu Marine Le Pen.

NAPOLEON 7: ikona i marzenie

Bonaparte jeszcze za swego życia zawładnął masową wyobraźnią. Miał „boga wojny” i „wyzwolicielem narodów” (przynajmniej niektórych, bo z kolei np. w Niemczech wojny przeciwko Napoleonowi noszą nazwę *Befreiungskriege*, wojen wyzwoleniczych) podnosili najwięksi pisarze i poeci w całej Europie: wspomniany Stendhal, Hugo, Goethe, Mickiewicz, Tolstoj i legiony innych.

Potem dołączyli do nich filmowcy. Szwajcarski historyk kina Hervé Dumont policzył, że od wynalezienia kinematografu do 2015 r. nakręcono co najmniej tysiąc filmów z Bonapartem na ekranie! Jego dwurożny kapelusz i szary płaszcz stały się równie rozpoznawalnym rekwizytem filmowym, co melonik i laska komika Charliego Chaplina.

Na ekranie w postać Korsykanina wcielali się m.in. Albert Dieudonné (we francuskim niemym arcydziele „Napoleon” Abła Gance’a z 1927 r.), Marlon Brando, Rod Steiger, a w Polsce Gustaw Holoubek (komedia „Marysia i Napoleon” Leonarda Buczkowskiego z 1966 r.). Opowieści o Napoleonie reżyserowali, obok wielu innych, Sacha Guitry, Siergiej Bondarczuk czy Jerzy Kawalerowicz („Jeniec Europy” z 1989 r.).

Ale od dwóch-trzech dekad Napoleona na kartach literatury czy na ekranach jest coraz mniej. Gwiazda zgasła? Nie do końca. Epopeja napoleońska wciąż do nas przemawia, ale inaczej niż dawniej. Mówi



CHRISTOPHE CHAVAN / MUZEUM WOJSKA W PARYŻU

Kapelusz cesarza z lat 1804-11.

o tym niedawny sukces czytelniczy nad Sekwaną książki „Berezyna” (wydanej też po polsku) poczytnego francuskiego pisarza i podróżnika Sylwaina Tessona (w potocznej francuszczyźnie słowo *bérézina*, pisane małą literą, oznacza dziś po prostu „katastrofę”). Autor tej opowieści non-fiction wybrał się razem z czterema towarzyszami podróży na wyprawę z Moskwy do Paryża na sowieckich motocyklach marki Ural. W śniegu i mrozie przemierzili 4 tys. kilometrów, aby uczcić słynny tragiczny odwrót pokonanej Wielkiej Armii Napoleona w 1812 r.

Tessona porusza nie tyle sam Bonaparte, co szaleńcze poświęcenie jego żołnierzy: „Dwa wieki temu faceci marzyli o innych rzeczach niż superszybki dostęp do internetu. Byli gotowi umrzeć, żeby zobaczyć migoczące kopuły Moskwy”.

W dzisiejszej Europie, w większości sytej i pokojowej (z punktu widzenia Francuzów Donbas jest daleko), na Napoleona i jego żołnierzy można spojrzeć okiem cywila spragnionego mocnych wrażeń. Tesson zdaje się mówić: oni podążali za własnym marzeniem i byli gotowi zapłacić za to wysoką cenę, a co na to my?

„Niemożliwe? To nie po francusku!” – miał powiedzieć Napoleon. Jego marzenie o wielkości narodu, graniczące z megalomanią, unosi się do dziś nad Francją. A blask triumfu pod Austerlitz pozwala jego rodakom osłabić traumę niejednej berezyny...

© SZYMON ŁUCYK

Korzystałem m.in. z: Thierry Lentz „Napoleon odkłamywany” (przet. A. Bakenda-Stokowska); Jean Tulard „Napoleon” (Paris 1993); katalogu ekspozycji „Napoleon” (Paris La Villette, kwiecień-wrzesień 2021); wydania specjalnego „Paris Match 2021” „La Folie Napoleon”; Sylvain Tesson „Berezyna” (przet. J. Giszczak).

Zdjęcia trzech eksponatów pochodzą z wystawy „Napoleon” (La Villette w Paryżu, kwiecień-wrzesień 2021 r.). Udostępniamy je za zgodą organizatorów.

SPORT ISTNIEJE

Proszę państwa, w nocy z 18 na 19 kwietnia 2021 roku w Europie nie skończyła się piłka nożna. Choć było blisko.

MICHAŁ OKOŃSKI

PIERWSZE PRZECIEKI POJAWIŁY SIĘ JUŻ W NIEDZIELĘ PO POŁUDNIU, ale oficjalna wiadomość gruchnęła nocą, akurat wtedy, kiedy mający kłopoty z zaśnieżeniem kibice piłkarzy podsumowywali weekend, raz jeszcze zachwycając się dwiema bramkami Lionela Messiego w wygranym 4:0 finale Pucharu Króla z Athletikiem Bilbao. W mocno do siebie zbliżonych i dość lakonicznych oświadczeniach 12 z 15 najbogatszych klubów ogłosiło zamiar powołania Europejskiej Superligi. Było to wyzwanie rzucone UEFA – unii europejskich związków piłkarskich, trzymającej władzę w kontynentalnym futbolu i organizującej jego najważniejsze rozgrywki, zwane Ligą Mistrzów. Rozgrywki, w których udział gwarantuje największy, jak dotąd, prestiż i pieniądze. A zarazem rozgrywki, w których najbogatsi nie zawsze wygrywają, z których odpadają za wcześnie albo, o zgrozo, do których czasem w ogóle się nie dostają, bo w ligach krajowych, w których sukcesy dają prawo awansu do Ligi Mistrzów, poszło im akurat kiepsko.

Szumnie nazywające się „Klubami Założycielami” zespoły – a właściwie zarządzający nimi biznesmeni – uznali, że najlepszą odpowiedzią na ich problemy, bynajmniej nie związane jedynie z pandemią, będzie stworzenie instytucji nowej, niezależnej od UEFA, i takiej, której twórcy grać będą wyłącznie we własnym gronie. Mówiąc prościej: instytucji, do której – poza założycielami (ich liczba miała wzrosnąć wedle dość niejasnych kryteriów do 20) – nie miałby wstępu żaden zespół mniej może znany, za to taki, który miałby szansę okazania swojej wyższości nad „Klubem Założycielem” w bezpośrednim starciu. Instytucji, z której nie można już byłoby wypaść, żeby nie wiem, jak słabo się w niej grało.

W tym zamyśle Liga Mistrzów straciłaby na znaczeniu, no bo kto chciałby finansować i oglądać jej rozgrywki, skoro nie występowałyby w niej kluby, których nazwy znają nawet nieinteresujący się sportem na co dzień, np. Real, Barcelona, Juventus, Inter, Manchester United czy Liverpool?

Ucieczka do przodu

Oczami wyobraźni widzę już Czytelnika, który po przeczytaniu powyższego wzrusza ramionami, w przekonaniu, że nic a nic go to nie obchodzi. Sport przecież... nie istnieje, jak przekonują autorzy książki pod takim właśnie tytułem, Jan Sowa i Krzysztof Woleński – od dawna nie chodzi w nim o szlachetną rywalizację, tylko o pieniądze, których temat pojawił się już przecież w poprzednich akapitach. To biznes rozrywkowy, istniejący jedynie dzięki dochodom z reklam, biletów wstępu i praw do transmisji oraz dzięki obsłudze wielkich wydarzeń (jak mundial, prowadzące w gruncie rzeczy do spustoszenia krajów je organizujących).

Nawet jeśli bramki Messiego niektóremu wydają się naprawdę piękne, a myśl trenerska prowadzącego od roku Barcelonę Ronald Koemana powoli zdaje się odmieniać ospałą w ostatnich paru sezonach drużynę, to wysiłek sportowców czy koncepcje szkoleniowców znaczą w nim tyle, co wszystkie akcje Greta Thunberg dla spowolnienia katastrofy klimatycznej – twierdzą zwolennicy takiego poglądu. Wielkie mi co, że kolejne korporacje, futbolowe tym razem, wymykają się spod kontroli rządów czy organizacji międzynarodowych: ot, to po prostu jeszcze jeden przykład schorzeń współczesnego kapitalizmu. Może wręcz jest tak, że przyczyną całego zamieszania z Superligą jest fakt, iż światem futbolu zainteresowały się nowe potęgi – miał je obsługiwać agresywny bank inwestycyjny JP Morgan – dotąd odcięte od możliwości zarabiania na tym polu, bo UEFA ma już swoich partnerów (nie najprzyjemniej-



szych zresztą, skoro Ligę Mistrzów sponsoruje m.in. kremłowski Gazprom). No i dlatego te największe kluby, dzięki którym marce interes UEFA w ogóle się kręci, nie miałyby zarabiać jeszcze więcej, bez konieczności dzielenia się z kimkolwiek?

Zaczynamy dochodzić do sedna. Odpowiedzialni za ów biznes zarządcy „Klubów Założycieli” mieli i mają swoje kłopoty. Angielski Tottenham wybudował nowy stadion, zadłużając się potężnie w nadziei spodziewanych zysków ze zwiększonej frekwencji – a tych nie ma, bo z powodu pandemii trzeba grać przy pustych trybunach. Jeszcze bardziej emblematiczny jest przykład Barcelony: słynąca niegdyś z pracy z młodzieżą w klubowej akademii, postawiła na model celebrycki, skupuje gwiazdy i gwiazdki futbolu, ale nie dość, że przepłaca, to nie otrzymuje zwrotu z inwestycji w postaci wyników na boisku.

To jeden z ważnych powodów tworzenia Superligi: długi, w jakich tkwią wszystkie „Kluby Założyciele” – w przypadku Barcelony przekraczające miliard euro, w przypadku Realu zbliżające się do miliarda. Z pierwszych przecieków wynikało, że jeśli projekt wypali, jego inicjatorzy będą mogli podzielić między siebie kwotę 3,5 miliarda euro. Niebagatelny zastrzyk, zważywszy, że wszystkie zakończyły sezon 2019/20

na minusie, niektóre (jak Barcelona, Manchester City, Juventus, Milan) przekraczającym 150 milionów euro.

No dobrze, ale to przecież wciąż nie jest argument, by czytać dalej. Cóż Czytelnika – zwłaszcza takiego, który w pandemii sam został zmuszony do zaciskania pasa – miałoby obchodzić to, że nagle jakimś krezusom ziemia zaczęła palić się pod nogami?

Zasłużcie sobie

Zaledwie 5 lat temu mistrzostwo kraju – i prawo występów w Lidze Mistrzów – wywalczyło Leicester City, drużyna, która rok wcześniej w ostatniej chwili uratowała się przed spadkiem z angielskiej ekstraklasy i której prawdopodobieństwo sięgnięcia po tytuł bukmacherzy oceniali jako 1:5000, czyli dokładnie tak, jak szansę na odnalezienie żywego Elvisa.

Bonzowie europejskiego futbolu, z których perspektywy było to naruszenie porządku, mogli sobie mówić „Nigdy więcej Leicester”, ale podobne przypadki w tym sporcie wciąż się zdarzają. Nie dalej jak trzy lata temu młoda drużyna Ajaksu Amsterdam, w rankingach najbogatszych umieszczana zwykle gdzieś w trzeciej czy czwartej dziesiątce, awansowała aż do półfinału Ligi Mistrzów, ogrywając po drodze najbogatszy w świecie Real i nieco tylko mniej zamożniejszy Juventus. W tym roku Juventus dostał baty od FC Porto, w ubiegłym z Manchesterem City poradziła sobie ubożsi krewni z Olympique Lyon; przykłady można mnożyć.

Innymi słowy: mimo iż niemal natychmiast wybijających się zawodników ze słabszych finansowo drużyn giganci wykupują (podpory tamtego Ajaksu z rozgrywek 2018/19, Frenkie de Jong i Matthijs de Ligt, trafiły od razu do Barcelony i Juventusu), to zdanie „sport nie istnieje” wciąż nie znajduje pokrycia w rzeczywistości. Przynajmniej taki sport, w którym na boisko wychodzą dwie drużyny złożone z jedenastu zawodników i choć jedna z nich jest o niebo lepiej opłacana, przygotowywana w sposób bardziej profesjonalny itd., to wcale nie jest powiedziane, że wygra – bo ta druga może chcieć bardziej, wierzyć mocniej, więcej biegać albo zwyczajnie: mieć więcej szczęścia, bo i ono bywa czynnikiem wpływającym na wynik meczu.

Owszem, drzwi do elity były przymykane od jakiegoś już czasu. W samej Lidze Mistrzów, wbrew nazwie, od dobrych paru lat nie występowali tylko sami mistrzowie, z najmocniejszych piłkarsko krajów dostawało się do niej aż czterech przedstawicieli,

→

*Kibice Leicester w czasie parady
po zdobyciu mistrzostwa Anglii.
16 maja, 2016 r.*



→ a reprezentanci najsłabszych musieli przechodzić przez eliminacje (na marginesie: przykra prawda na temat europejskich przygód polskich klubów jest taka, że prawa gry w Lidze Mistrzów pozbawiły je nie zapory stawiane przez potentatów, ale własna niekompetencja, bo czymże innym wytłumaczyć porażki Wisły z Levadią Tallinn albo Legii ze Spartakiem Trnawa?). Sam fundament sportowej rywalizacji wciąż jednak pozostawał: przystępując do niej, np. zgłaszając drużynę do rozgrywek na najniższym szczeblu ligowej piramidy, można było wierzyć, że z czasem uda się wspiąć na szczyt, by tam sprawdzić się z najlepszymi. Kiedy piszę te słowa, w tabeli angielskiej ekstraklasy aż cztery z sześciu „Klubów Założycieli” Superligi zajmują miejsca niedające prawa gry w przyszłorocznej edycji Ligi Mistrzów.

Najbardziej wymownym komentarzem do ich zamiarów były założone w poniedziałkowy wieczór na rozgrzewkę przed meczem z Liverpooliem koszulki zawodników ligowego średniaka, Leeds United, na których napisano: „Zasłużcie sobie na to”. Zbyteczne dodawać, że bogacze nie zasłużyli: zremisowali 1:1. A innym toczącym ligowe zmagania członkom „kartelu” (jak powszechnie określano ich w następnych dniach) nie poszło wcale lepiej. We Włoszech Milan ku powszechnej satysfakcji przegrał u siebie z małym Sassuolo, a Inter ledwie zremisował z niewiele większą Spezią.

Żądamy zimnych nocy

W ciągu kilkudziesięciu godzin, które wstrząsnęły światem futbolu, zdarzyły się więc dwie jego wizje. Jednej w symbolicznym skrócie dali wyraz kibice Chelsea: podczas wielotyśznej manifestacji przed stadionem, zorganizowanej przeciwko planom przystąpienia ich klubu do Superligi, nieśli m.in. transparent z napisem: „Żądamy naszych zimnych nocy w Stoke”, nawiązującym do powtarzanego w świecie angielskiej piłki bon motu, że może i ten Messi jest dobrym piłkarzem, ale z pewnością nie udowodniłby tego na zimnym i wietrznym stadionie położonym w dość ponurym mieście środkowo-zachodniej Anglii.

Oto sedno uprawiania tego sportu – i sedno kibicowania, o którym zapomnieli bogacze: polega na towarzyszeniu drużynie przez całe życie, bez względu na to, gdzie i z kim przychodzi jej się mierzyć, z jak daleką podróżą wiąże się możliwość dopingowania jej z wysokości trybun, i jakim wynikiem kończy swoje zmagania. To futbol, który zakorzenia w lokalnej społeczności, jest demokratyczny, równościowy, buduje wspólnotę, uczy lojalności, odwagi i wytrwałości, a nawet – jak widać – dystansu i poczucia humoru.

Drugą wizję prezentował czarny charakter ostatnich dni, prezydent Realu Florentino Pérez. W wywiadach, których udzielał, unikał raczej odpowiedzi na pytanie, dlaczego w dwóch poprzednich sezonach Ligi Mistrzów najbogatszy klub świata odpadał w jednej ósmej, a i mistrzostw kraju bynajmniej nie wygrywał z regularnością, jaką powinien gwarantować mu status finansowy. Wolał skupić się

Odpowiedź na spadające zainteresowanie piłką

u młodych ludzi miało być ograniczenie oferowanego konsumentom produktu do starcia najlepszych z najlepszymi: Superliga.

na analizach, z których wynikało, że w ostatnich latach 40 proc. ludzi poniżej 24. roku życia przestało interesować się piłką.

Wedle jego rozumowania, odpowiedzią na to spadające zainteresowanie powinno być ograniczenie oferowanego konsumentom produktu do starcia najlepszych (czyli, przynajmniej w tej logice, najlepiej rozpoznawalnych), a przy okazji... uproszczenie i uatrakcyjnienie ich rywalizacji, np. przez skrócenie meczów, bo 90 minut przed ekranem wytrzymać coraz trudniej. „Diabeł się w ornat ubrał i ogonem na mszę dzwoni”, przypomniały się słowa pana Zagłoby, kiedy Pérez mówił, że tak naprawdę twórcom Superligi chodzi o... uratowanie

nie piłki, a nie o zamianę jej w kolejnej reality show.

Kamienie młodych pasterzy

Ten akurat spór Czytelnik „Tygodnika” może znać z innych sfer rzeczywistości, weźmy np. debatę o przyszłości dziennikarstwa, gdzie okazało się, że odpowiedzią na kryzys mediów nie musi być jedynie tabloidyzacja, a instytucje oferujące tzw. produkt jakościowy mają się nieźle. Pomysłodawcy Superligi mylili się zresztą, zakładając, że oglądanie w kółko ich zmagania jest odpowiedzią na nudę dopadającą młodsze pokolenia: przeciwnie, to byłaby dopiero nuda, konieczność patrzenia w kółko na coraz bardziej nasyconych i zmęczonych sobą Goliatów, których jednym dekretem uchroniono by przed kamieniami młodych pasterzy. I to jest dopiero dobra historia: patrzeć na to, jak słynni supergwiazdorzy, których twarze zdobią piórnik czy termosy wciskane dzieciom do tornistrów, wśród łez opuszczają jakieś boisko, bo ktoś, po kim kompletnie się tego nie spodziewali, wymyślił sposób na ich ograniczenie.

Składnąd tego aspektu sprawy Florentino Pérez nie bierze najwyraźniej pod uwagę: przyjemność towarzysząca przyglądaniu się strącanym z tronów wszechpotężnym, wydawałoby się, władcom również jest nie lada rozrywką, a na system rozgrywek ligowych, w którym jedni spadają, a inni awansują, można wręcz patrzeć w kategoriach darwinistycznych.

W tym sensie możliwość obserwowania, jak w ciągu 48 godzin owi pyszni i zadufani turbokapitałści z „Klubów Założycieli” zamienili się pod lawiną krytyki w zagubionych i nieco nawet przestraszonych dziadersów, pośpiesznie wycofujących się jeden po drugim z planu powołania elitarnych rozgrywek, była dla uczestników futbolowego cyrku frajdą doprawdy niebywałą.

Od chwili ogłoszenia zamiaru jej utworzenia na zarządzających parszywą dwunastką „Klubów Założycieli” posypały się bowiem gromy, i to nie tylko z ust działaczy UEFA, z pewnością zaniepokojonych perspektywą utraty przywileju dzielenia futbolowego tortu.

Niech żyje porażka

O odbieraniu punktów drużynom, które wyraziły zamiar przystąpienia do Superligi, mówili nie tylko komentatorzy

sportowi, ale także organizatorzy rozgrywek krajowych. O protestach kibiców przed stadionami już wspominałem, ale co równie ważne: ideę powołania nowych rozgrywek potępił nie tylko fani, ale także świetnie opłacani przez „Kluby Założyciele” trenerzy i piłkarze. Czyli ci, dzięki którym biznes ten może w ogóle funkcjonować.

Szkoleniowiec Manchesteru City Pep Guardiola mówił, że to nie jest sport, jeżeli nie ma w nim związku pomiędzy wysiłkiem i nagrodą, i jeżeli porażka na boisku nie ma znaczenia. Kapitan Liverpoolu Jordan Henderson zwołał spotkanie kolegów – liderów innych drużyn, by wspólnie wyrazić opinię na temat bezsensowności tego projektu. Piłkarze Manchesteru United zażądali spotkania z zarządem (który wkrótce opuścił powszechnie nie lubiany dyrektor Ed Woodward), jeden z symboli tego zespołu – napastnik Marcus Rashford, którego akcja w mediach społecznościowych zmusiła niedawno brytyjski rząd do przedłużenia programu dofinansowania posiłków dla najuboższych uczniów z brytyjskich szkół – oznajmił, że „futbol bez kibiców jest niczym”. Szefowie drużyn niemieckich – gdzie struktura własnościowa klubów powoduje, że większy wpływ na ich funkcjonowanie mają właśnie zwykli fani – po prostu oświadczyli, że nie przystępują do projektu, a prezydent Bayernu Karl-Heinz Rummenigge przypomniał zadłużonym władarzom innych superdrużyn, że są lepsze sposoby radzenia sobie z kłopotami niż dalsze rozdymanie pensji i prowizji dla futbolowych agentów (Bayern, zbyteczne dodawać, długów nie ma, a Ligę Mistrzów wygrał dopiero co).

Swoje zrobili też politycy, wietrząc w tym okazję: będący skądinąd raczej ideologiem wolnego rynku i przeciwnikiem nadmiaru regulacji premier Boris Johnson oświadczył po spotkaniu z przedstawicielami kibiców „Klubów Założycieli”, że nie zawaha się przed odpaleniem „legislacyjnej bomby” i wprowadzeniem obostrzeń, które uniemożliwiłyby rozłamowcom uzyskanie pozwoleń na pracę w ramach nowej struktury. Tym razem poparcie parlamentu dla jego inicjatywy wyniosło sto procent.

Głupiek, który chciał zostać oszustem

Jak napisał Jonathan Liew w „Guardianie”, pomysł utworzenia Superligi mógł narodzić się jedynie w głowach ludzi, którzy w istocie nienawidzą piłki – z jej nieprzewidywalnością i z tym, że grając na podwórku naprawdę możesz marzyć, iż któregoś dnia zagrasz z przyjaciółmi z tegoż podwórka na największym stadionie świata.

W jakimś sensie były to więc bardzo zabawne dwa dni, zwłaszcza że w miarę jak upływały, dowiadaliśmy się kolejnych smacznych szczegółów, np. o tym, że ojciec chrzestny najmłodszego dziecka prezydenta UEFA Aleksandra Ceferina, prezes Juventusu Andrea Agnelli nagle przestał odbierać od kuma telefon (Nigdy dotąd nie spotkałem kogoś, kto kłamałby tak często i tak konsekwentnie jak on) – mówił potem Słoweniec, jeden z niewątpliwych wygranych ostatnich dni,

Wydarzenia ostatnich dni przyniosły nadzieję.

Okazało się, że potężni kapitaliści nie mogą pozwolić sobie na zlekceważenie roli, jaką sport odgrywa w życiu zwykłych ludzi.

o byłem już przyjacielem), albo o tym, że wygłoszona w telewizji Sky Sports przez dawnego piłkarza Manchesteru United Gary’ego Neville’a tyrada przeciwko macierzystemu klubowi i innym twórcom Superligi zrobiła furorę nie tylko wśród kibiców, ale i na WhatsAppowej grupie coraz bardziej przestraszonych rokoszan. Nawet farma botów, zasypująca portale społecznościowe setkami wpisów o tym, jaki to super pomysł ta cała Superliga, okazała się bezradna w konfrontacji z autentycznym oburzeniem całkowicie niewirtualnych sympatyków sportu.

Niby o tym, że światem futbolu rządzi gromada niekompetentnych ignorantów, wiedzieliśmy już wcześniej – niezliczonych przykładów dostarczają np. autorzy „Futbonomii” Simon Kuper i Stefan Szymański, z których książki przywołam jedynie malownicze zdanie człowieka mającego styczność z futbolową branżą: „Mogę robić interesy z głupkami i oszustami. Ale z głupkami, którzy chcą być oszustami, nie potrafię”.

Po wyprowadzeniu kozy

Oczywiście tego, co działo się za kulisami boju o Superligę, nie powinno się opisywać w kategoriach starcia dobra ze złem. UEFA i obrońcy dotychczasowego formatu Ligi Mistrzów mają swoje ciemne interesy, zresztą w cieniu awantury zreformowali te rozgrywki, wychodząc nieco naprzeciw potrzebom superklubów. „Będzie więcej meczów i przywilejów dla bogatych, będziemy jeszcze skuteczniej doić fana. Przepraszam – klienta”, komentował na łamach „Gazety Wyborczej” Rafał Stec, dodając, że jedyne, co nam pozostaje, to być klientem świadomym: „Wiedzieć, że przed tymi, którzy chcieli ukraść nam wszystko, uchronili nas ci, którym wystarczy haracz”.

Ale w jakimś sensie wydarzenia ostatnich dni niosły również nadzieję, skoro okazało się, że ci potężni kapitaliści wciąż jeszcze nie mogą pozwolić sobie na zlekceważenie roli, jaką sport odgrywa w życiu zwykłych ludzi. Że niespodziewanie przypomniano im, jak to ujął Simon Kuper w tekście na łamach „Financial Timesa”, iż powierzone im kluby mają przypominać nie tyle firmy nastawione na zysk, co muzea: organizacje o charakterze publicznym, które służą społeczności, a jednocześnie pozostają w miarę wypłacalne. Niektórzy po całej tej awanturze zdobyli się nawet na słowo „przepraszam”.

O tym, że w cieniu awantury o Superligę Tottenham zwolnił kiepsko radzącego sobie trenera-celebrytę José Mourinho, by powierzyć jego obowiązki 29-letniemu zaledwie Ryanowi Masonowi, związanemu z klubem przez 20 lat, piłkarzowi zmuszonemu po ciężkiej kontuzji do przedwczesnego zakończenia kariery, opowiemy innym razem. Nie będzie tam mowy o kapitalizmie, chciwości i pieniądzu, choć z całą pewnością będzie to opowieść o sporcie. I o życiu, które także dzięki niemu zyskuje sens. ©© MICHAŁ OKOŃSKI

Wkrótce do księgarń trafi nowa książka autora tekstu, „Światło bramki”, wydana przez Znak i „Tygodnik Powszechny”.

WOJCIECH

Bonowicz:

Wewnętrzny ogień



PISAŁEM OSTATNIO O NADZIEI RADYKALNEJ, potrzebnej, by nasz wspólny świat się nie rozpadł. Ale do życia nieodzowna jest też inna nadzieja – nadzieja kolejnego dnia.

Miedzy nadzieją radykalną a nadzieją kolejnego dnia istnieje oczywisty związek: nie byłoby sensu wstawać z łóżka w świecie, który zmierza ku niedającej się powstrzymać katastrofie. Jedna i druga czerpią zresztą z tego samego źródła, które filozof Jacek Filek nazwał kiedyś „nadziejnością”. Nadziejność to po prostu fundament wszelkiej nadziei, jakby „nadzieja na nadzieję”, przyznanie sobie prawa do tego, by spodziewać się, że nadzieja się zjawi. Więcej nawet – to coś w rodzaju duchowego nastawienia, raczej na „tak” niż na „nie”, na sens niż na bezsens, na możliwość dobrego niż na jego niemożliwość. Nadziejność niczego nie przesądza, nie dokonuje też wyboru – tych dokonują poszczególne nadzieje, przylegające to do tego, to do czegoś innego. Nadziejność jest bliższa tęsknocie, która jeszcze się nie określiła, lecz gotowa jest przejść z przeszłości w przyszłość, nie lękając się tego, co ona przyniesie.

Nadzieja radykalna wymaga wyobraźni, więcej – wymaga jakiejś stanowczej woli, która pozwoliłaby wyobraźni wybiegać w nieznane i projektować coś, co przekracza nasze dotychczasowe założenia i przyzwyczajenia. Wiem, że pojęcie „nadziei radykalnej” ma już swoją historię i sens polityczny, ale ja chciałem uchwycić to pojęcie w jego pierwotności i takie właśnie myślenie o nim, możliwe oczyszczone z rozmaitych dodatkowych sensów, zaproponować. Nadzieja ta jest warunkiem zmiany, „życia innego niż dotąd”. Przy czym radykalizm nie oznacza tu zniszczenia tego, co istnieje (pytały o to niektóre czy-

telniczki i czytelnicy), oznacza – powtórzę – projektowanie i odwagę wyruszenia w kierunku wskazanym przez projekt. Co miałyby to znaczyć w naszej konkretnej sytuacji? Tego nie rozstrzygam, ale próbuję coś podpowiedzieć. Wiem, że potrzebna jest jakaś kumulacja energii, która teraz rozprasza się w krzątaniu, w nietwórczych aktywnościach, w działaniach zastępczych. Dynamiczna, wszystko zagarniająca nicość, którą z taką pasją opisywał Różewicz, zagraża nam wszystkim.

A co z nadzieją kolejnego dnia? Muszę wyznaczyć, że ostatnio o nią trudniej. Czuję, że dopada mnie wypalenie, że brakuje sił, by przejść z jednej doby w drugą. Piszę o tym tak otwarcie, bo wiem, że wielu czytających ten felieton może przeżywać coś podobnego. Powody mogą być różne, choć zawsze są bardziej lub mniej osobiste. Kiedy mówimy: „żyć się nie chce”, to przecież nie mówimy ogólnie – mówimy o tym życiu, którym żyjemy. To życie także potrzebuje skumulowanej energii, powodu, motywu. Nawet jeśli odpowiedzi na pytanie o motyw czy powód szukamy na zewnątrz, ostatecznie zawsze zwraca nas ono ku sobie. Chodzi o nasz wewnętrzny ogień, o to, żeby płonął, żeby potrafił rozgrzać to, czym danego dnia mamy się zająć i co planujemy na dni następne. Żeby ogrzał nasze relacje, ale też to, co robimy w samotności, nawet te najzwyczajniejsze czynności, bez których nasza codzienność nie może się obejść.

Nie da się ukryć, że ogień ten podtrzymuje w nas i rozpala obecność innych. Jest coś niezwykle pięknego w tych doświadczeniach, kiedy dwa, trzy, cztery ledwo tłące się płomyki nagle, przy spotkaniu z sobą, wybuchają jasnym płomieniem. Czasem chodzi o to, żeby człowiek pozwolił sobie na radość, żeby zaufał tej nadziei, z której wyrasta każda, nawet najdrobniejsza zmiana na lepsze. Nie powiem wam, jak to zrobić, sam popadam w zwątpienie i wydaje mi się, że nie ma sensu próbować. Ale widzę też, jak ozdrowieńczy jest moment, w którym człowiek pozwoli sobie na zaufanie. Jest wiele rzeczy, które mogą mu w tym przeszkadzać – pamięć nieudanych prób, odniesionych krzywd, popełnionych błędów. Także coś, co „wisi w powietrzu”, atmosfera, jaka nas otacza. Innej drogi jednak nie ma. Życie samo nie przyniesie nam nadziei. Trzeba się na nią w taki czy inny sposób otworzyć.

©

OGŁOSZENIA

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie Wydziałem I Cywilnym przy ul. Wrocławskiej 6 toczy się pod sygnaturą I Ns 161/19 postępowanie z wniosku Ewy Brzeskot o stwierdzenie nabycia spadku po Tomaszu Sobczaku, zmarłym 08.12.2018 r., ostatnio zamieszkałym w Twardowie. W skład spadku po zmarłym wchodzi położona w Twardowie zabudowana nieruchomości o pow. 1 ha.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłego, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie Wydziałem I Cywilnym przy ul. Wrocławskiej 6 toczy się pod sygnaturą I Ns 479/19 postępowanie z wniosku Zofii Mikołajczak o stwierdzenie nabycia spadku po Kornelu Mikołajczaku, zmarłym 17.01.2007 r., ostatnio zamieszkałym w Radlinie, gmina Jarocin. W skład spadku po zmarłym wchodzi udział w prawie własności zabudowanej nieruchomości położonej w Radlinie.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłego, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.



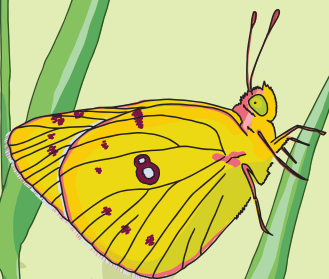
**TYGODNIK
POWSZECHNY**



Jeszcze będzie przepięknie!

Coś tu nam vyrośnie, coś nam
się wykluje!

Już 26 maja w „Tygodniku” dodatek o łące
oraz nasiona roślin dla motyli.



weź, czytaj!



łąka.

pani łąka

RM Classic



GRAŻYNA MYŚLIŃSKA / FORUM

*Portret Anny Jagiellonki (kopia obrazu Marcina Kohera z 1586 r.) na ścianie kamienicy na warszawskiej Pradze
– instalacja artystyczna Julienu de Casabianca, marzec 2015 r.*

NIEKOCHANA KRÓLOWA

Opowieści o Annie Jagiellonce skupiają się na jej wyglądzie i braku zdolności politycznych. Do dziś pada ofiarą czarnej legendy.

MACIEJ MÜLLER

KAZANO JEJ CZEKAĆ W PREZBITERIUM wawelskiej katedry. Nikt nie wiedział, jak powinna wyglądać ceremonia jednoczesnej koronacji dwojga królów. Wprawdzie 200 lat wcześniej doszło do podobnej sytuacji: panowie polscy okrzyknęli królem Jadwigę Andegawską, a jej mężem, też koronowanym, miał zostać litewski wielki książę Jagiełło. Ale Jadwigę koronowano uprzednio i przez kilka miesięcy działała jako samodzielny władca; gdy przybył Litwin, urządzono kolejną uroczystość.

W grudniu 1575 r. na polu elekcyjnym szlachta okrzyknęła królem Annę Jagiellonkę, której mężem miał zostać książę siedmiogrodzki Stefan Batory. W lutym Anna wjechała do Krakowa w złotej karocie zaprzężonej w sześć siwych koni, w otoczeniu kilku tysięcy rycerzy. Przez dwa miesiące czekała na Batorego. Wreszcie przybył i wyznaczono dzień ślubu oraz koronacji: na 1 maja 1576 r., 445 lat temu.

Dostojnicy ostatecznie uznali, że Anna musi zaczekać, a korona najpierw spocznie na skroniach Batorego. Ubrana w atlasową suknię, bogato zdobioną klejnotami, musiała więc czekać na swoją kolej. Przelknęła kolejne w swoim życiu upokorzenie. Była gotowa płacić cenę za to, że zasiądzie na tronie Jagiellonów. Gorycz osłabiał fakt, że wreszcie, po kilkudziesięciu latach oczekiwania, wyszła za mąż.

Była to zapewne jedna z niewielu chwil radości w życiu tej najniezwyklejszej polskiej królowej. Gdy biskup kujawski Stanisław Karnkowski nakładał koronę na jej głowę, ostatnia przedstawicielka wielkiego rodu miała 53 lata. Pan młody miał lat 42.

Królowna

Urodziła się w 1523 r., jako kolejna córka Bony i Zygmunta Starego. Spośród czterech córek Bona ceniła tylko najstarszą Izabelę; w niej widziała swoje wcielenie. Jej oczkiem w głowie był też jedyny syn Zygmunt August. Otaczała go tak troskliwą opieką, że szlachta obawiała się, iż rozpieści następcę tronu.

Niewiele brakowało, by Zygmunt miał brata. W 1527 r. Bona była w piątym miesiącu ciąży. Jej dwór udał się na polowanie do Puszczy Niepołomickiej. Przywieziony na tę okazję z Litwy potężny niedźwiedź, gdy wypuszczono go ze skrzyni, najpierw rozszarpał stado psów, a potem stanął się w kierunku królowej. Jej koń stanął dęba, Bona spadła. Jeszcze tego dnia przedwcześ-

nie urodziła chłopczyka, którego przed śmiercią zdążono ochrzcić imieniem Olbracht. Gdyby nie niepołomickie łowy, bezdzietny Zygmunt August miałby brata i dzieje Korony Polskiej (i pewnie także Litwy) potoczyłyby się inaczej.

Bona zdawała się wyładowywać na córkach złość, że nie są synami. Królowny Zofia, Anna i Katarzyna – ubrane w identyczne suknie i tak samo uczesane – pełniły jakby rolę tła dla matki: najpierw na Wawelu, a potem na Mazowszu podczas „wygnania” Bony, gdy poróżniła się z synem (za poślubienie Barbary Radziwiłłówny). Wbrew zwyczajowi żadnej z nich nie utworzono oddzielnego dworu. Co więcej, ani zniedołężniały pod koniec życia Zygmunt Stary, ani Bona, ani królewski brat nie zadbali o godziwe uposażenie trzech królowien. A posag był warunkiem zamążpójścia.

Zalotnicy

Przez 30 lat, aż do ślubu Zofii, królowny mieszkaly razem. Miały wspólną pieczęć z napisem „Sigillum Serenissimarum Reginae” (pieczęć najjaśniejszych królowien). Uczyły się łaciny i włoskiego, ćwiczyły haft, grały w szachy, plotkowały z dwórkami. Bona nie sprowadziła dla nich jako nauczycieli wybitnych humanistów – jak wcześniej dla Izabeli i Zygmunta. Nie wprowadzała ich też w arkana polityki europejskiej. A działały tu rzeczy ważne. Księstwo Moskiewskie ruszało z podbojem ziem ruskich (roszcząc sobie prawa do schedy po dawnej Rusi, tej ze stolicą w Kijowie), co nieuchronnie prowadziło do konfliktu z Litwą, a zatem i z Koroną. Rosła przewaga dynastii habsburskiej nad jagiellońską. Narastało też zagrożenie tureckie, z czym wiązała się konieczność budowania sojuszy.

Nawet gdy wszystkie Jagiellonki przekroczyły dwudziestkę (w tamtych czasach wiek dla królowien już zaawansowany), pojawiali się kandydaci do ich poślubienia. I tak, podczas pogrzebu Zygmunta Starego w 1548 r. niedawno owdowiała księżniczka pruski Albrecht Hohenzollern (były wielki mistrz krzyżacki) dawał do zrozumienia, że jest zainteresowany małżeństwem z którąś z królowien. Kandydatura upadła: Zygmunt August nie planował zacieśniania więzi z Hohenzollernami. A sama Anna, choć nikt jej o zdanie nie pytał, pewnie odetchnęła z ulgą, bo jako zagorzała katoliczka nie w smak jej było iść za luteranina.

Gdyż królowny były bardzo religijne. Niekochane, uciekały w dewocję; pościły tak surowo, że doprowadzały się do choroby. Ksiądz Piotr Skarga powie o Annie w mowie pogrzebowej, że „w postach była surowa, zwłaszcza gdy do najświętszych sakramentów przystąpić miała, albo gdy w potrzebach pospolicich jakie modlitwy nakazane były”.

W 1555 r. na warszawski dwór Bony przysłał posłów książę brunszwicki Henryk. Według zwyczaju pierwszeństwo należało do Zofii jako najstarszej, ale leżała ciężko chora. Zaczęły się pertraktacje, których przedmiotem stała się kolejna z sióstr, Anna. Ale Zofia wróciła do zdrowia, a Anna postanowiła nie wykorzystywać sytuacji i ustąpiła siostrze, która wyszła za Henryka.

Podglądane

Wkrótce potem Annę i Katarzynę opuściła także matka. Nie mogąc dojść do zgody z synem, powszechnie znienawidzona (z wyjątkiem szlachty mazowieckiej, zawdzięczającej jej rozwój gospodarczy regionu), Bona Sforza postanowiła wrócić do rodzinnego włoskiego Bari (gdzie wkrótce otruli ją dworzanie). Wyjeżdżając, opróżniła pałac. „Jednej łyżki podłej Jej Mość nie zostawiła, gdyby nie srebro Waszej Królewskiej Mości, przysłoby Ich Mościom [królownom] na cynie jadać” – skarżył się w liście do Zygmunta Augusta ochmistrz królowien. Na króla spadł przykry, choć zawiniony obowiązek utrzymywania dorosłych sióstr.

Wychowywane przez matkę, której nienawidził – nigdy nie stały mu się bliskie. Wprawdzie Zygmunt August wziął je na swój dwór, ale nie było w tym krztyny uczucia. Wiele lat później Katarzyna napisze do Zofii: „nigdy mi bratem nie był”. Annę z kolei raziły swobodne obyczaje Zygmunta – potępiała jego barwne życie seksualne. Już pod koniec życia Zygmunta Augusta doszło do skandalu, gdy porwał dwórkę siostry, Annę Zajackowską. Wysłał do niej zaufanego szlachcica, który poprosił pannę o rękę, po czym wywiózł do jednego z zamków, gdzie król uczynił z niej sobie kochankę. Gdy to się wydało, Anna aż się rozchorowała z poczucia upokorzenia.

W 1560 r. na dwór Zygmunta w Wilnie przybyli posłowie Iwana IV Groźnego, szalonego cara moskiewskiego. Dyplomatом pozwolono podglądać przez okno Annę i Katarzynę pracujące przy

→ kądzieli – po czym poprosili dla swojego pana o rękę młodszej, Katarzyny. Trwające jakiś czas pertraktacje musiały być upokarzające dla Anny. Niemniej do małżeństwa ostatecznie nie doszło, ponieważ car zażądał w posagu Inflant.

Absztyfikanci

Wkrótce potem pojawili się kandydaci szwedzcy. Jan i Magnus, młodszy bracia króla Eryka XIV, zgłosili chęć poślubienia Jagiellonek. Ale Eryk, chorobliwie lękający się, że bracia pozbawią go tronu, uważał, że takie mariaże z nadto ich wzmocnią. Magnusa nie wypuścił z kraju, natomiast Janowi udało się przybyć na polski dwór, gdzie poprosił o rękę Katarzyny. 38-letnia Anna dla dobra siostry, którą – co wiemy z jej listów – bardzo kochała, zrezygnowała z przysługującego jej pierwszeństwa, skazując się na wieloletnią samotność. Janowi i Katarzynie przyszło potem słono zapłacić za nieposłuszeństwo królowi Szwecji: Eryk uwięził ich na cztery lata na zamku Gripsholm. W niewoli urodził się ich syn, przyszły król Polski Zygmunt III Waza.

Na niczym skończyły się negocjacje małżeńskie z książętami Pomorza Zachodniego (mnożyli żądania terytorialne). Niedługo trwały też rozmowy z księciem inflanckim Gotthardem Kettlerem (był to już drugi na liście kandydatów do ręki Anny były mistrz zakonu rycerskiego – tym razem kawalerów mieczowych, także wtedy zsekularyzowanego). Jako kolejny zgłosił się 28-letni brat króla Danii, książę Magnus, człowiek o opinii awanturnika; uparcie ponawiał oświadczenia przez całe lata 60. XVI stulecia.

W interesie siostry interweniowała Katarzyna, pisząc do brata: „jest tu słuch u nas, że Wasza Królewska Mość masz dać Annę za brata króla duńskiego (...), od czego ją Panie Boże racz zachować”. Katarzyna dowodziła, że absztyfikant to hulaka, „a po drugie Pan Bóg go nawiedził i nie ma jednego oka, i ubogi pijanica”.

Jeszcze innego kandydata do ręki Anny naraił szwagier, mąż Zofii. Chodziło o 23-letniego (Anna miała wtedy 42 lata) Eberharda, syna księcia Wirtembergii. Anna zgodziła się na zaślubiny, ale wtedy na jej dwór doszły wieści o nagłej śmierci młodego księcia.

Kubeczek

Pociechą dla Anny mogła być stabilizacja finansowa. W latach 60. uzyskała do-

chody z dóbr mazowieckich i żup solnych; poza tym wspierał ją regularnie brat, nękany wyrzutami sumienia. W rezultacie Annę stać było na utrzymanie 70-osobowego dworu (w jego składzie było m.in. 10 pokojowców, fryzjer, kąpielowa, 9 kucharzy, 6 woźniców, 3 matrony i 8 dwórek), remont mazowieckich rezydencji, mecenat artystyczny czy prowadzenie szkoły dla zdolnej młodzieży.

Przez większość życia Anna żyła na wysokiej stopie. Wprawdzie faktem jest, że magnaci uniemożliwili jej przejęcie bażecznych bogactw przepisanych jej przez brata. Musiała też procesować się z Filipem II hiszpańskim o słynne sumy neapolitańskie (pożyczkę udzieloną mu przez Bonę). Jednak sporą przesadą są jej liczne skargi na ubóstwo. Annie udało się stworzyć legendę zapomnianej i zaniedbywanej królowny. Podczas jej pogrzebu Skarga ubolewał: „Przychodziły na nią takie czasy, iż w niedostatku niemalym zostawać musiała, nie wiedząc, czym i kuchnię opatrzyć. Raz nie została jedno przy jednym kubeczku srebrnym, na który aż do śmierci, sierotka go zowiąc, rada patrzyła”.

Oszukana

Z bratem pojednała się tuż przed jego śmiercią w 1572 r. Służba nakłoniła Annę, by wyszła pożegnać się z Zygmuntem Augustem, który odjeżdżał w ostatnią – to dla wszystkich było jasne – podróż z Warszawy do ulubionego dworu w Knyszynie. „Przyszła królowna i z płaczem prosiła króla, a król oddał jej spisany testament, kilka słów do niej rzekłszy” – pisał w swej kronice Łukasz Górnicki. Tajemnicą pozostało, co Zygmunt powiedział Annie.

Po ostatnim Jagiellonie został pusty tron, na który łakomiło się wielu władców Europy. W tej rozgrywce nieoczekiwanie dla siebie samej na pierwszym planie znalazła się Anna, dotąd niewiele mająca wspólnego z życiem politycznym. Testament Zygmunta uczynił ją jedną z najbogatszych kobiet w Europie. Na niejednym dworze zrodziła się myśl, że warto tę 50-letnią królową poślubić, by objąć tron Rzeczypospolitej.

Już na trzy lata przed śmiercią Zygmunta poseł francuski słuchał w Stambule rad tureckiego wezyra: oto w Polsce żyje samotna królowna Anna, niech młodszy brat króla, Henryk, weźmie ją za żonę, a Walezjusze przejmą dziedzictwo Jagiellonów. Pomysł niemal wszedł

w życie: Henryk, zwany u nas Walezym, został jednym z głównych kandydatów podczas elekcji w 1573 r. Jego sprytny poseł, biskup Jean de Montluc, pokazał Annie portret młodego księcia i dawał do zrozumienia, że nawet „nie dba on o królestwo, jeno o królowę”. Ona przyjęła to za dobrą monetę i wsparła kandydaturę Francuza. Miała w ręku atut, bo elekcja odbywała się na Mazowszu – przewagę liczebną miała tutejsza drobna szlachta, wierna królownie.

Walezy został królem. Ale Annę oszukano: Montluc nie dał jej żadnych gwarancji na piśmie, a panowie polscy nie wpisali małżeństwa z nią do zbioru pactów conventów, czyli warunków przedstawianych elektowi przed koronacją. Henryk kilkakrotnie odwiedził Annę (mieszkającą w kamienicy przy Rynku), kurtuazyjnie rozmawiał z nią po włosku, ale oświadczać się nie zamierzał. Niewiele później na wieść o śmierci brata wrócił do Francji – i Polska znów została bez króla.

Porzucona

Wypadki te upokorzyły Annę, ale dzięki nim nabrała politycznego doświadczenia przed kolejną elekcją. I poszukała sprzymierzeńców. „Trybun ludu szlacheckiego” Jan Zamoyski rzucił hasło „króla-Piasta”, a miała być nim Anna Jagiellonka (choć w jej żyłach nie krążyła ani kropla krwi piastowskiej).

Plan się powiódł, choć nie bez komplikacji. Doszło do podwójnej elekcji. Prymas Jakub Uchański wspólnie z magnaterią okrzyknęli królem cesarza Maksymiliana II Habsburga. Szlachta wskazała na Annę i Batorego. Wiele zależało od tego, kto z elektów pierwszy dotrze na Wawel. Na szczęście cesarz pokpił sprawę.

Małżeństwo nie było udane. Stefan spędził z żoną kilka nocy, dopełniając sakramentu. Ale gdy Anna próbowała przyjść do jego sypialni, Węgier zaczął się ukrywać (oczywiście szeptał o tym dwór). Obserwujący upokorzenia Anny nuncjusz apostolski zapisał: „Pani infantka jest mocno niezadowolona, będąc mało zaspokojona przez towarzystwo małżonka”. Dyplomatom papieskim udało się wydobyc od lekarza królowej informację, że Anna nie przeszła jeszcze menopauzy. Zapewne miała nadzieję na zajście w ciążę.

Przez dekadę panowania Batory niechętnie spędzał czas z żoną. Łatwiej było mu wyruszyć na wojnę i w trzech błyskotliwych kampaniach rzucić na kolana



Łukasz Cranach Młodszy „Anna Jagiellonka”, ok. 1553 r.,
kolekcja Muzeum Czartoryskich w Krakowie

Moskwę, niż zbudować relację ze starszą o 10 lat żoną.

Siostrzeniec

Po śmierci Batorego (zmarł w 1586 r.) Anna miała prawo objąć samodzielne rządy – była przecież królem. Nad jej prawami Koroniarze i Litwini przeszli jednak do porządku dziennego, a ona sama się o tron nie upomniwała. Za to wpłynęła – już po raz trzeci – na przebieg elekcji. Tym razem użyła wszelkich środków, by utorować drogę do tronu 20-letniemu synowi ukochanej siostry Katarzyny, Zygmuntovi Wazie. Zorganizowała siostrzeńcowi kampanię wyborczą z prawdziwego zdarzenia, w listach do magnatów i szlachty przedstawiając go jako Jagiellona, choć po kądzieli.

Nowego króla zasypywała dowodami troskliwości, nazywając w listach „synaczkiem” (ona była „matuchną”). Młody Waza podchodził do sędziwej ciotki z cierpliwością i szacunkiem. Borykając się w pierwszych latach z brakiem pieniędzy na prowadzenie dworu, był u niej na obiadach. O ile Anna przez

całe życie nie tolerowała wyznawców religii poreformacyjnych, nazywając ich konsekwentnie heretykami, to jej serce skruszyła młodziutka Anna Wazówna, siostra Zygmunta. Była tak zachwycona szwedzką królowną, że nie miała nawet nic przeciwko odprawianiu nabożeństw luteranckich na Wawelu.

W ostatnich latach życia Anna mogła poczuć się potrzebna, może nawet doświadczyła okrucich szczęścia. Gdy leżała na łożu śmierci, przez kilka nocy czuwał przy niej siostrzeniec. On też 9 września 1596 r. zamknął jej powieki.

Wyśmiana

Jak większość bohaterki historii ze wszystkich epok, Anna pada ofiarą zjawiska, które dziś nazywa się *body-shaming*. I to także ze strony kobiet. Maria Bogucka, autorka skądinąd świetnej biografii Anny, określiła ją w wywiadzie jako „po prostu niemądrą i przy tym jeszcze brzydka”. Bogucka uważała, że z trzech królowien Zofia była „najinteligentniejsza”, Katarzyna „najładniejsza i najbardziej zalotna”, a Annie „los poskąpił da-

rów urody”. Znamienne, że pisząc o królowach, nie kładzie się takiego nacisku na wygląd. Tymczasem trudno znaleźć tekst o Annie, który złośliwie nie rozwdziłby się nad jej aparycję.

Aby nie popaść w konwencję *à rebours*, wspomnijmy tylko o liście posła weneckiego z 1575 r.: spotkawszy Annę, zanotował, że jest „mimo 40 lat świeża” (ujął jej więc 12 lat). Źródła z różnych okresów życia Anny wspominały o jej zdrowej postawie i smukłej figurze.

A co z polityką? Paweł Jasienica opisywał Annę jako przebiegłą, niemal demoniczną, a jej posunięcia jako „z pozoru prostoduszne, a w gruncie rzeczy nader kunsztowne” do tego stopnia, że „wywiodły w pole wielu późniejszych historyków polskich, którzy z uporem przedstawiali ostatnią Jagiellonkę jako osobę naiwną, cikliwą i niezbyt rozgarniętą”. Jasienica nazywa ją wręcz „Katarzyną Medycejską Wschodu Europy”.

Ale taka narracja to dziś wyjątek. Jeszcze w XIX w. Annę idealizowano, opisując jako mądrą i dobrą, a gdy trzeba, stanowczą. Za to współcześni biografowie nie mają litości, traktując ją z ironią (Bogucka: „do polityki mieszała się właściwie tylko po to, aby zrealizować swe drobniańskie pragnienia i ambicji starzejącej się kobiety”), a nawet okrutnie (Małgorzata Duczmal: „była postacią miernych zdolności i miernego umysłu”).

Można tu wyczuć pretensję, że Anna nie była kimś innym, niż była. XVI-wieczna polityka to czas wybitnych i bezwzględnych władczyń – jak Elżbieta I czy Katarzyna Medycejska. Anna do tego grona się nie zaliczała. Czy z własnej winy? Przez większość życia miała wokół siebie znakomitych ogrodników, kucharzy czy zarządców, ale już nie doradców politycznych. Nie odziedziczyła potrzebnych monarchini cech po matce ani ojcu, którzy też nie zadali sobie trudu, aby je u niej wykształcić.

Tylko czy można czynić z tego zarzuty? Historyk Tadeusz Manteuffla raziło, gdy badacz „posuwa się do klepania po ramieniu opisywanych przez siebie ludzi i pouczenia ich, że powinni postąpić tak, a nie inaczej”.

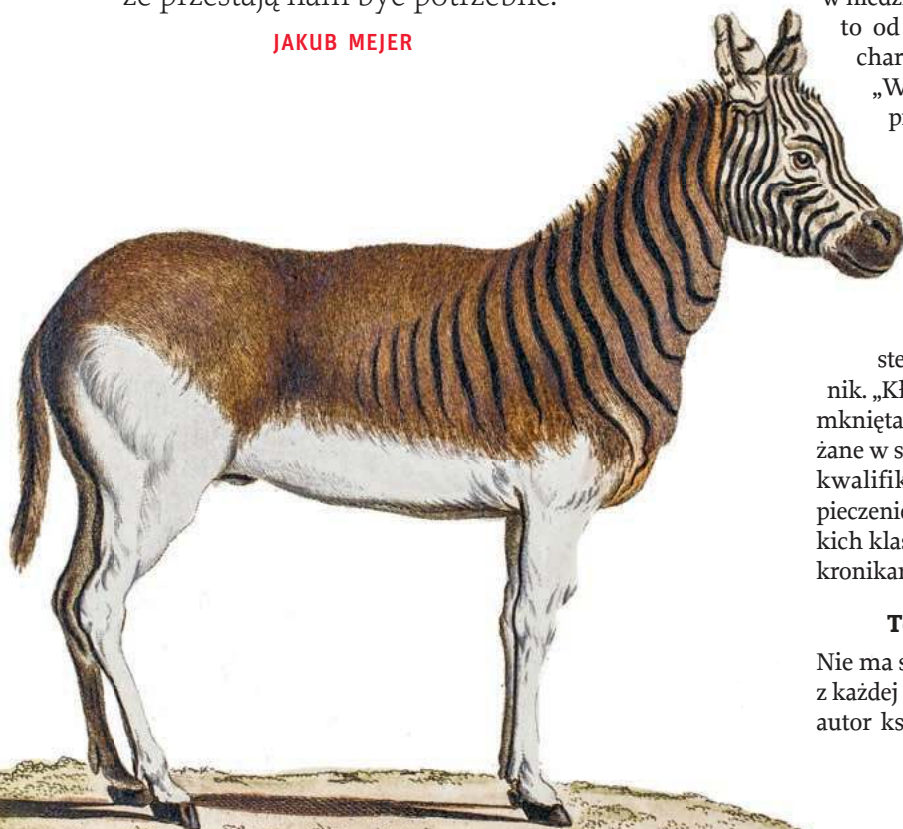
Można powiedzieć, że Anna Jagiellonka nie potrafiła wypełnić roli, jaką przygotowała dla niej historia. Można też powiedzieć, że przeżyła swoje życie tak, jak umiała najlepiej.

© MACIEJ MÜLLER

PIES PRZY ROŻNIE

Wyginieciem zagrożone są nie tylko dzikie zwierzęta. Zanikają też rasy, które stworzył człowiek – zwykle dlatego, że przestają nam być potrzebne.

JAKUB MEJER



KRONIKA ANGIELSKIEGO MIASTA BATH z roku 1800 odnotowała następującą anegdotę, którą opowiadać kilkadziesiąt lat wcześniej miał biskup Warburton, lepiej znany jako redaktor dzieł Szekspira. Rzecz miała się dziać w pewną niedzielę na mszy, w której uczestniczyło wiele kucharek. Wzięły ze sobą swoje psy, które pełniły rolę żywych termoforów i ogrzewały kobietom stopy. Pech chciał, że tego dnia czytano akurata o wizji rydwanu bożego z Księgi Ezechiela. „W tym rozdziale często pada słowo »koło«. Gdy psy usłyszały je po raz pierwszy, były zaalarmowane. Gdy padło po raz drugi, zaczęły się nerwowo ruszać. Gdy usłyszały je trzeci raz, wszystkie podkuliły ogony i wybiegły z kościoła”.

Dlaczego zwierzęta tak nerwowo reagowały na słowo „koło”? Bo chociaż w niedzielę robiły za ocieplacze do nóg, to od poniedziałku do soboty kucharki zaganiały je do kołowrotka. „W tamtejszej dobrej karczmie pies obraca rożnem. Dużo uwagi przykładą się, aby nie widział, jak kucharz wychodzi do spiżarni, bo wtedy od razu się chowa na resztę dnia i goście muszą się zadowolić skromniejszą strawą” – opisywał wizytę w walijskim miasteczku w 1797 r. angielski podróżnik. „Kłusując na kołowrotkach jak zamknięta w klatce wiewiórka, były uważane w swoich czasach za jedynych wykwalifikowanych kucharzy, których pieczenie dostępne były dla ludzi wszystkich klas” – zauważył wspomniany już kronikarz Bath.

Tortury w kołowrotku

Nie ma się co dziwić, że psy korzystały z każdej okazji, aby uciec. Jan Bondeson, autor książki „Amazing Dogs, a Cabinet

Zebra kwagga na ilustracji Christiana von Schrebera (1883 r.). Ten podgatunek zebry stepowej wymarł w XIX w. Od 1987 r. trwają próby odtworzenia jej cech fenotypowych metodami selekcji hodowlanej.

of Canine Curiosities” („Niesamowite psy, gabinet psich ciekawostek”) mówił, że były „traktowane jak sprzęt kuchenny” i „aby biegały szybciej, kucharze wrzucali im do kołowrotka rozżarzone węgle”. O tej rasie, nazywanej turnspit (od angielskiej nazwy różna, *vernepator cur* (z łaciny pies obracający kołem), pies kuchenny lub gotujący, wspomina już pierwsza książka o psach z 1576 r. Jej autor stwierdził, że to „wyglądające podejrzanie i nieszczęśliwie brzydkie psy”. Karol Darwin mówił o nich jako o przykładzie na to, „jak ludzie hodują zwierzęta, aby zaspokoić swoje konkretne potrzeby”. Linneusz skatalogował je jako *canis vertigus* – pies z zawrotami głowy. Reklamy z turnspitami na sprzedaż publikowała gazeta wydawana przez Benjamina Franklina, a rodzina Williama Penna (od jego nazwiska pochodzi nazwa Pensylwania) pisała na Stary Kontynent, żeby przysłano psy do obsługi różna do kolonii w Nowym Świecie. Jeden z bohaterów „Komedii omyłek” Szekspira, narzekając na żonę, stwierdza, że „gdyby moja pierś nie była lepiąca z wiary, a serce kute ze stali, byłaby mnie w kurtę [kundla – red.] przemieniła i kazała rożen z pieczeni obracać” (tłum. Stanisław Koźmian i Leon Ulrich).

Dzisiaj, aby zobaczyć turnspita, trzeba się wybrać do muzeum w walijskim Abergavenny. Tam znajduje się Whiskey, wypchany okaz tej rasy, oraz koło, na którym biegał. Chociaż jeszcze kilka stuleci temu były powszechne, to obecnie ta rasa uznana jest za wymarłą. Miały krótkie, silne nogi, 35-40 centymetrów długości i ważyły 10-15 kg. Stanley Coren, autor „Paw prints on history” („Ślady łap na historii”), mówił magazynowi „Modern Farmer”, że najprawdopodobniej wyglądały jak „bassety z głową pit bulla”, chociaż inni uważają, że bardziej przypominały obecne corgi.

Podobnie jak psy wyręczyły w XVI w. małe dzieci z obowiązku obracania różna, tak 300 lat później one same zostały wyparte nakręcanymi i parowymi mechanizmami. A że rasa ta nie była uważana za szlachetną, nikt nie zajął się próbą jej zachowania.

Ewolucyjny sukces traktorów

Termin „bioróżnorodność” kojarzymy zwykle ze zróżnicowaniem gatunkowym, które zresztą w okresie antropocenu gwałtownie spada. Międzyna-

rodowa Unia Ochrony Przyrody i Jej Zasobów doliczyła się przeszło 35 tys. gatunków zagrożonych wyginięciem – na 135 tys. gatunków przez nią sklasyfikowanych. Na najbardziej ogólnym poziomie pojęcie bioróżnorodności odnosi się jednak do zasobów genetycznych przyrody – a więc obejmuje także unikalne rasy zwierząt hodowlanych.

Organizacja Narodów Zjednoczonych ds. Wyżywienia i Rolnictwa (FAO) w 2018 r. szacowała, że spośród 8,8 tys. ras hodowanych przez człowieka gatunków zwierząt (których jest 38: od psów, alpak i kur, aż po jaki i jelenie), 600 (czyli 7 proc.) jest sklasyfikowanych jako wymarłe, a zagrożone wymarciem są 2133 rasy – niemal jedna czwarta.

– Powód jest bardzo prosty: hodowcy nie są nimi zainteresowani, bo mają z nich mniejszą korzyść finansową. Dlatego te rasy zaczęły wymierać – mówi „Tygodnikowi” dr Grażyna Polak, krajowy koordynator ds. zasobów genetycznych zwierząt. – W drugiej połowie XX w. byliśmy raczej nastawieni na to, żeby wszystko unowocześniać. Po co pracować z końmi, jeśli są traktory? Po co utrzymywać rasy rodzime bydła, dające 3-5 tys. litrów mleka rocznie, skoro możemy kupić holsztyno-fryzy, dające 12 tys. litrów?

Bardzo prawdopodobne, że nie zobaczymy już nie tylko samego turnspita, ale również i prosiaka lub cielaka, które ten pies obracał na różnie. Najwięcej ras wymarło bydła domowego (183) i trzody chlewnej (93). Najwięcej zagrożonych wyginięciem jest z kolei ras królików: 181, czyli ponad połowa wszystkich istniejących. Tylko od 2000 r. wyginęły 153 rasy królika.

Już pod koniec XIX w. zniknęło bydło glamorgan, po tym jak brytyjscy hodowcy przeczucili się na zwierzęta, które szybciej dorastają. Podobny los nieomal spotkał angusa, obecnie jedną z najsłynniejszych ras, z której powstają ekskluzywne steki i burgery. W drugiej dekadzie XIX w. w północnej Szkocji, skąd ona pochodzi, wybuchła moda na krzyżówkę angusa z shorthornem, która prawie całkowicie wyparła oryginalną rasę. To powszechne dziś bydło uratowało się jedynie dzięki kilku hodowcom, którzy nie podążyli za ówczesną modą. Świnia rudgwick, o której 150 lat temu pisano, że „daje dużo mięsa

znakomitej jakości”, również nie przetrwała, bo proces jej tuczenia trwał za długo i w końcu hodowla przestała być opłacalna.

Inne rasy, podobnie jak turnspit, wyginęły, bo coś innego przejęło ich obowiązki. Ciężkie konie conestoga, powszechnie przemierzające bezdroża Wielkiego Zachodu, zostały zastąpione rzeczonymi parowcami i koleją żelazną. Podobny los spotkał psy pociągowe. O potężnie zbudowanych belgijskich mastifach, ciągnących wózki z karabinami maszynowymi na froncie zachodnim I wojny światowej, powstawały bajki dla dzieci („Pierrot, pies belgijski. Historia bohatera psa, który wraz z armią bronił ojczyzn”), ale przetrzebiona walką w okopach rasa wyginęła niedługo po tym, jak w Europie zapanował pokój. Argentyńskie psy polarne, wyhodowane specjalnie do podboju Antarktyki, zniknęły po tym, jak międzynarodowe umowy zabroniły wykorzystywania psich zaprzęgów w obszarach okolicybiegunowych.

Płynna definicja rasy

Według danych FAO wyginać miały głównie rasy zwierząt hodowlanych z Europy i Kaukazu, ale statystyka ta może wynikać po prostu z ograniczeń naszej wiedzy. Dla wielu ras – między innymi wszystkich bażantów i kuropatw oraz 94 proc. ras wielbłądów jednogarbnych – nie ma żadnych informacji dotyczących stanu populacji i stopnia ich zagrożenia. Spośród 190 ras ssaków hodowanych na Bliskim Wschodzie nie wiemy, jaki jest status 188. Pozostałe dwie wyginęły. Nie znamy też liczebności żadnej z 54 ras ptaków hodowanych na południowo-zachodnim Pacyfiku.

– Świat zauważył, że coś gubimy, że utrata tych zasobów genetycznych jest nieodwracalna. Wraz z wejściem w życie w 1992 r. Konwencji o Różnorodności Biologicznej zaczęły się dyskusje, co możemy zrobić. Przewodzą nim kraje wysoko rozwinięte z Europy i Ameryki Północnej. W większości państw rozwijających się ludzie starają się przeżyć, nie myślą o ratowaniu bioróżnorodności – mówi dr Polak.

W ocenie sytuacji nie pomaga też ciągła dyskusja o tym, jak katalogować zwierzęta. W 2006 r. FAO podawała, że wyginęło 740 ras. W 2016 r. ta liczba spadła do 643, a w najnowszym raporcie, z 2018 r., do 600.



WIKIPEDIA.ORG

Pies tahitański na ilustracji Charlesa Cattona Młodszego w albumie „*Animals drawn from nature and engraved in aqua-tinta*”, Londyn, 1788 r. Uważa się, że rasa ta wymarła w pierwszej połowie XIX w., gdy na wyspy Polinezji dotarli europejscy osadnicy – z własnymi psami.

→ – Różne są tego powody. Czasem państwa uznają, że niektóre małe, lokalne populacje są jednak bardziej odmianą, a nie osobną rasą – tłumaczy Gregoire Leroy, genetyk z FAO.

– Rasa jest pojęciem stworzonym przez człowieka na potrzeby hodowli zwierząt. Jest to pojęcie bardzo płynne, cały czas trwa debata, jak je zdefiniować. Co więcej, to też zależy od gatunku. W przypadku drobiu nie mówimy o rasach, tylko o rodach. U ryb istnieją szczepy, a u pszczoł linie – dodaje dr Polak.

– Czasami rasa jest uważana za „wymarłą”, ale w istocie po prostu zaprzestano jej hodowli „z premedytacją”. Tak jest np. z towarowymi liniami drobiu – dodaje Polak i wyjaśnia: – Na przykład brojlery są produkowane trochę jak „pastylki z apteki”. Dzięki starannie opracowanym „receptom” krzyżowania otrzymujemy ptaki bardzo duże, co przekłada się na zysk producenta. Jest kilka firm na świecie, które sprzedają materiał rodzicielski, i nie wiemy, jakie są komponenty tej krzyżówki. Hodowcy kupują stada rodzicielskie, produkują brojlery, a jeśli po pewnym czasie inna firma uzyska bardziej opłacalną krzyżówkę, to przerzucamy się na nią. Trudno jednak powiedzieć, że jest to zasób genetyczny, który wyginął. Podobnie trudno stwierdzić, że posiadał wyjątkowe wartości z punktu widzenia bioróżnorodności.

Moda na ratunek

Trend zanikania ras rodzimych może zahać modę na ekologiczną żywność, produkty tradycyjne i *fair trade* (sprawiedliwy handel – ruch dążący do wyeliminowania ubóstwa w krajach Południa dzięki odpowiednim regulacjom rynkowym i wspieraniu mniejszych producentów).

– Stare rasy w ogóle się nie dają hodować w sposób przemysłowy. Jakby pokładać te nasze zielononóżki do klatek, gdzie utrzymywane są nieśne leghorny, to prawdopodobnie by tego nie wytrzymały psychicznie. Podobnie jest z trzodą chlewną. Do chlewni przemysłowej osoby z zewnątrz właściwie nie mają wstępu, z powodu zagrożenia epidemiologicznego (zwłaszcza w dobie zagrożenia afrykańskim pomorem świń), ale także ze względu na dużą podatność mieszańców świń na stres wywołany obecnością obcej osoby – mówi dr Polak.

Obecnie w Polsce programem ochrony (co wiąże się z dopłatami dla hodowców) objętych jest 87 ras – bydła (4 rasy), świń (3), koni (7), owiec (17), kóz (3), gęsi (14), kaczek (10), kur (11), królik popieleński biały, lisy (2), nutria, szynszyla beżowa, tchórz hodowlany, pstrąg tęczowy, karpie (6), pszczoły (5). Cieszą się różną popularnością.

– Wrzosówka, mała piękna szara owca, która wygląda jak szara chmurka z dziecięcego rysunku, jest bardzo łatwa w hodowli i popularna w gospodarstwach

agroturystycznych, także jako żywa koziarka. Ochroną objęte jest ponad 8 tys. owiec matek. Niestety są też rasy o bardzo małej liczebności, do hodowli których trudno zachęcić, np. konie wielkopolskie w starym typie. Hodowcy chcą konie sportowe, a nie wszechstronnie użytkowe, tym bardziej że koszt wychowu jest stosunkowo duży, a zapotrzebowanie rynku małe. Ochroną objęte jest ok. 150 klaczy – podaje przykłady dr Polak.

W rzeczywistości liczba zwierząt tej rasy może być wyższa.

– Gdy pojedziemy na polską wieś, to szansa, że zobaczymy czerwoną krowę albo kurę zielononóżkę, najsłynniejsze chyba nasze rodzime rasy, nadal jest spora. Ale nie ma pewności co do czystości genetycznej, zwłaszcza wśród drobiu, który biega po wsi i może dowolnie się krzyżować. Dlatego drób absolutnie czysty rasowo trzymany jest w systemie tzw. kolekcji, gdzie istnieje odpowiednia selekcja osobników do rozrodu, a przede wszystkim jest pewność, że nie dojdzie do krzyżowania i „zanieczyszczenia”. Oczywiście taka dbałość o „czystość krwi” może się wydawać absurdalna, ale chodzi o to, żeby zachować zwierzęta w formie jak najbardziej przypominającej to, co odziedziczyliśmy po przodkach – wyjaśnia dr Polak.

Ale istnieje również drugi powód, bardziej pragmatyczny. Dzięki większej różnorodności ras hodowlanych będziemy lepiej przygotowani na nadchodzące zmiany.

– Jeszcze 30 lat temu słyszałam, że mamy „skansen” i nie ma sensu ratować starych, rodzimych ras. Nie mamy jednak pojęcia, kiedy jakaś cecha danej rasy okaże się wyjątkowo cenna. Krowy holsztyńsko-fryzyjskie, których są miliony na całym świecie, są bardzo wyspecjalizowane, muszą być utrzymywane w określonej temperaturze, wilgotności, karmione dawkami żywności o precyzyjnej zawartości składników odżywczych. W sytuacji zmian klimatycznych i podnoszenia się temperatur może nastąpić spadek wydajności produkcji ze względu na pogarszanie się komfortu termicznego. W tej sytuacji FAO sugeruje, że należałoby się zastanowić, czy kojarzenie międzyrasowe z bydlęciem przystosowanym do trudnych klimatycznie warunków, np. afrykańskim, nie byłoby jakimś rozwiązaniem – mówi dr Polak.

Widzenie przyszłości

MARIUSZ GOGÓŁ

Terapie oparte na modyfikacjach genetycznych mogą doprowadzić do przełomu w leczeniu kilku chorób wywołujących ślepotę.

TECHNIKA CRISPR-Cas9, KTÓRA w ciągu ostatniej dekady doprowadziła do rewolucji w genetyce (a jej twórczyniom przyniosła w 2020 r. Nagrodę Nobla w dziedzinie chemii), coraz częściej stosowana jest w eksperymentalnych terapiach. Przypomnijmy: chodzi o technikę edycji genów zwaną „molekularnymi nożyczkami”, którą zapożyczyliśmy od pewnych bakterii. Przechowują one w swoim genomie, w obrębie sekwencji zwanych CRISPR, swoistą bazę „portretów genetycznych” wirusów, które je atakują. Gdy dojdzie do infekcji, specjalne cząsteczki gRNA porównają materiał genetyczny intruza z informacjami zapisanymi w „bibliotece” CRISPR. Jeśli sekwencje będą się zgadzały, do gry wkroczą enzymy Cas, które potną intruza na kawałki.

CRISPR-Cas9 opiera się na podobnej maszynarii molekularnej: dzięki syntetyzowanemu w laboratoriach cząsteczkom gRNA można zlokalizować konkretny fragment łańcucha DNA w komórce – i odpowiednio nim manipulować.

Technika ta intensywnie wykorzystywana jest w opracowywaniu nowych terapii m.in. w okulistyce – już od kilku lat. W 2016 r. zespół badaczy z Cedars-Sinai Medical Center w Los Angeles skupił się na pewnej formie zwyrodnienia barwnikowego siatkówki, w którym dochodzi do zaniku komórek światłoczułych. Zmiany te wpływają na zwężenie pola widzenia, które postępuje wraz z wiekiem. U osób po 50.-60. roku życia może dojść do całkowitej utraty wzroku.

Choroba ma podłoże genetyczne i dziedziczona jest w sposób dominujący – do jej rozwoju wystarczy jedna kopia wadliwego genu, pochodząca od jednego z rodziców. Chodzi o gen zawierający przepis na rodopsynę – cząsteczkę odpowiedzialną w siatkówce na pochłanianie światła. Niekorzystna mutacja powoduje powstanie krótszej cząsteczki, niezdolnej do spełnia-

nia swojej funkcji. Mutacja odpowiada także za uruchamianie szlaków prowadzących do śmierci komórek siatkówki – co jest przyczyną postępującej ślepoty.

Badacze z Los Angeles pracowali na mysim modelu choroby, a ich zabiegi obliczone były na „wyciszenie” problematycznego genu. Zwierzętom wstrzyknięto pod siatkówkę cząsteczki zawierające całą maszynę „molekularnych nożyczek”. Następnie użyto pola elektrycznego, by skierować je do komórek budujących siatkówkę. Tam do gry wkroczyły białka i enzymy CRISPR-Cas9: rozpoznały wadliwą sekwencję DNA i ją rozcięły. W efekcie druga, w pełni funkcjonalna kopia genu przestała być zagłuszana. Terapia poprawiała myszom wzrok i zapobiegała zwyrodnieniu siatkówki.

Unowocześniona technika CRISPR-Cas9 (oparta na tzw. edytorach zasad) pozwala na zmianę nawet pojedynczej cegiełki DNA, bez konieczności rozcięcia całego łańcucha – co otwiera jesz-

cze większe możliwości manipulacji genami. Molekularne składniki potrzebne do tej operacji można dostarczyć do komórek np. wewnątrz specjalnie przygotowanych do tego celu wirusów. Takie podejście zastosowali w leczeniu ślepoty Lebera (prowadzącej do utraty wzroku już około 20. roku życia) naukowcy z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Irvine. Terapia, której także poddano myszy, dała obiecujące wyniki – a próby z udziałem ludzi już się rozpoczęły.

Podobny eksperyment (choć z wykorzystaniem innych wirusów) przeprowadzili naukowcy z University of Massachusetts Medical School, którzy wzięli na cel chorobę Battena. To rzadkie zaburzenie metaboliczne o podłożu genetycznym prowadzi do powstawania złogów pewnych związków uszkodzających wiele typów komórek – w tym neurony. U chorych w młodym wieku dochodzi do uszkodzenia siatkówki i zaniku nerwu wzrokowego, co prowadzi do ślepoty. Jeszcze w dzieciństwie mogą pojawiać się inne objawy, m.in. ośpienie i napady padaczkowe. Modyfikacja genetyczna doprowadziła u myszy do poprawy wzroku.

Na horyzoncie pojawiają się już dzisiaj także terapie innego typu, łączące genetykę z nanotechnologią. Polegają na wprowadzaniu do siatkówki nanoanten, zdolnych do rejestrowania szerszego zakresu fal świetlnych niż nasze własne komórki siatkówki. W ten sposób uzyskano już myszy zdolne do widzenia podczerwieni – a więc świetnie radzące sobie w nocy. ©

OGŁOSZENIE

Sąd Rejonowy dla Krakowa-Śródmieścia w Krakowie informuje, iż w dniu 8 marca 2021 roku w sprawie z wniosku Skarbu Państwa-Generalnego Dyrektora Dróg Krajowych i Autostrad, przy uczestnictwie r.pr. Marii Widłak – kuratora dla nieznanego wierzyciela, pod sygnaturą akt VI Ns 11/21/S wydano postanowienie o zezwoleniu na złożenie do depozytu sądowego kwoty 60 433,00 zł (sześćdziesiąt tysięcy czterysta trzydzieści trzy złote) z tytułu odszkodowania za nieruchomości stanowiącą działkę nr 198/3 (198/2) o pow. 0,1838 ha położoną w obr. 0006 Giebułtów, jedn. ewid. Książ Wielki, powiat miechowski, ustalonego na podstawie ostatecznej decyzji Wojewody Małopolskiego znak: WS-II. 7570.5.622.2019.JB z dnia 19 czerwca 2020 roku, co do której to nieruchomości brak jest danych o osobach, którym przysługiwałoby prawo własności, a która na podstawie decyzji Wojewody Małopolskiego nr 39/2019 z dnia 30 września 2019 roku znak: WI-XI.7820.1.87.2018.HD z dniem 7 grudnia 2020 roku przeszła na rzecz Skarbu Państwa.

Uprawnionymi do odbioru depozytu są osoby legitymujące się dokumentem świadczącym, że na dzień ostateczności decyzji o przejęciu nieruchomości na rzecz Skarbu Państwa, tj. 7 grudnia 2020 r., posiadały tytuł prawny do przedmiotowej nieruchomości albo są spadkobiercami Kazimierza Huma, s. Andrzeja i Wiktorii. Sąd wzywa wierzyciela do odbioru z depozytu sądowego przedmiotu świadczenia.

PUCZ ZA WENECKIM LUSTREM

SHOSHANA ZUBOFF, PSYCHOŁOŻKA SPOŁECZNA:

Oni właśnie tak zarabiają pieniądze. Mówią nam:
„Kłóćcie się, nienawidźcie się! Co tak słabo!
Mocniej, bo nikt nie usłyszy!”. Oto fundament ich finansowej potęgi.

RAFAŁ WOŚ: Walka o dominację w cyfrowym świecie weszła na nowy poziom. Facebook i Twitter wyłączyły konto – wciąż jeszcze wtedy urzędującemu – prezydentowi USA, a Google poszedł na wojnę z rządem Australii, bo nie spodobały im się plany tamtejszych władz.

SHOSHANA ZUBOFF: Z Trumpem czy władzami Australii można się zgadzać albo nie. Ale jednak są lub były to rządy dysponujące demokratycznym mandatem wyborców. A jaki mandat mają Facebook, Google albo Apple, żeby dyktować swoje warunki demokracjom? Kto dał Zuckerbergowi z Facebooka czy Cookowi z Apple'a takie prawo?

Oni twierdzą, że są u siebie. Ich aplikacja, ich wyszukiwarka, więc mogą z nimi robić, co im się podoba.

Dobre sobie. Najpierw zabrali nasze dane, nie pytając nikogo o zdanie. A potem dorobili się na obracaniu tymi danymi wielkich fortun. I dziś sprawują absolutną kontrolę nad czymś, co jest w tej chwili krytyczną infrastrukturą informacyjną współczesnego świata.

Co Pani ma na myśli?

Choćby systemy operacyjne iOS oraz Android dla urządzeń mobilnych.

Albo cała aplikacja Facebooka czy maszyna wyszukiwająca Google'a. To powinny być dobra wspólne, bo ich status bierze się z posiadania naszych wspólnych danych. A nie – prywatne wehikuły służące do akumulacji władzy przez kilka korporacji.

No ale technologie należą do Google'a, Apple'a, Facebooka czy Amazona. Czyli do GAFA.

Nie dajmy się zagađać specjalistyczną nowomową. Cyberprzestrzeń to nic szczególnego. To maszyny, przewody, trochę minerałów, algorytmy, ludzie. I, oczywiście, kapitał.

Nie ma żadnego powodu, by traktować akurat ten rynek jako inaczej. I wyjmować go z ogólnie obowiązujących norm demokratycznego społeczeństwa. Jak długo będziemy się godzić z tym, że tzw. cyberprzestrzeń powstała w wyniku wielkiego skoku – czyli uwłaszczeniu się cyfrowego kartelu GAFA – na naszych danych? Na całej tej „nadwyżce behawioralnej”, bez której te wszystkie systemy operacyjne, aplikacje i wyszukiwarki byłyby bezwartościowe.

Kiedy to się właściwie wydarzyło?

Da się tu wskazać dość precyzyjne ramy czasowe. Dwadzieścia lat temu pękła tzw. bańka dot-comów...

Przypomnijmy, że to był moment, gdy na giełdach całego świata nagle skończyła się euforia inwestorów dotycząca potencjału tkwiącego w pierwszych firmach z branży technologii internetowej. Inwestorom przestała wystarczać mglista obietnica przyszłych zysków. Zaczęli się domagać konkretnych: „Na czym będziemy zarabiać? I ile?”.

Firmy takie jak Google były wówczas o włos od zniknięcia w mrokach historii. Ale około 2000 r. – Google wyszedł z pomysłem, żeby pompować zyski reklamowe, wykorzystując ekskluzywny dostęp do danych na temat użytkowników jego wyszukiwarki. W połączeniu z istniejącymi już wtedy możliwościami analitycznymi komputerów można było w ten sposób precyzyjnie przewidywać, które reklamy mają największe szanse na wyświetlenie u użytkownika. W ten sposób Google zaczął coś, co ja nazywam przechwyconiem „nadwyżki behawioralnej”. Czyli – krótko mówiąc – danych na temat tego, co robimy w sieci. Wokół tej nadwyżki zaczęli budować nowe, niezwykle agresywne formy zarabiania pieniędzy. Tak powstał mechanizm akumulacji wiedzy o nas. A co za tym idzie, także władzy. Na początku działało się to w zupełnym sekrecie. Dopiero w roku 2004





SHOSHANA ZUBOFF (ur. 1951) jest emerytowaną profesorką Uniwersytetu Harvarda. Przez cztery dekady swojej naukowej kariery badała związki psychologii społecznej i filozofii z rozwojem technologii, internetu oraz sztucznej inteligencji. Jej najważniejsza książka „Wiek kapitalizmu inwigilacji. Walka o przyszłość kapitalizmu na nowej granicy władzy” ukazała się w przekładzie Alicji Unterschuettz w wydawnictwie Zysk i S-ka.

Google – wchodząc na giełdę – musiał podzielić się ze światem paroma informacjami. Np. tym, że w latach 2000–2004 ich „renta ze zgarnięcia naszej nadwyżki behawioralnej” sięgnęła w tym okresie... uważa pan?

Tak, uważam.

...3500 proc. O tyle wzrosły dochody reklamowe Google’a w tym pionierskim okresie. To była żyła złota. Model ten wyszedł z Google’a razem z Sheryl Sandberg, która w 2007 r. przeniosła się na kierownicze stanowiska do Facebooka. W ten sposób, niczym drapieżnik, który nie napotyka na żadnych naturalnych wrogów, ten model łupieżczego działania stał się drogowskazem dla reszty rynku.

Jaki to model?

Bardzo prosty. Wręcz prostacki. Bierz dane, handluj nimi, wyciskaj, ile się tylko da. Jak cię złapią – mów, że to nie twoja ręka. Korzystaj z braku świadomości po stronie użytkowników. Jak się zorientują, to utrudniaj, jak tylko możesz, ignoruj wszystkich, którzy próbują się opierać tak długo, jak tylko się da. I cały czas stawiaj wszystkich przed pozornym wyborem: albo dacie nam to, czego chcemy, albo nie możecie korzystać z naszych zabawek. Jednocześnie kształtuj rynek tak, żeby od twoich zabawek w zasadzie nie było ucieczki. I żeby prawdziwy wybór brzmiał: albo dajesz nam to, czego chcemy, albo jesteś wykluczony. Z komunikacji, ze zdobywania informacji, ze wspólnoty i co tu dużo mówić... z życia.

Albo jesteś u nas, albo nie ma cię wcale.

No właśnie. Oczywiście, dziś już nie jest tak, że tylko GAFA korzysta z tego systemu. Dziś zgarnianie i handel naszymi danymi, preferencjami czy doświadczeniami obecne są w każdej dziedzinie życia. W ubezpieczeniach, finansach, ochronie zdrowia, edukacji, handlu nieruchomościami, w polityce.

Jakiś przykład?

Jednym z moich ulubionych – i najbardziej przewrotnych – przykładów takiego działania jest Ford Motor Company. Sto lat temu kapitaliści w stylu Henry’ego Forda odkrywali, jak wielkie zyski leżą w masowej produkcji, która – ze względu na skalę – umożliwia wytwarzanie przedmiotów po cenie dostępnej

→ dla masowego odbiorcy. Ford rozumiał, że masowa produkcja była rezultatem – a nie przyczyną – nowej epoki popytu w bogacącym się amerykańskim społeczeństwie. Korzystne było to, że podaż i popyt szły u Forda razem – jak doskonale się uzupełniający bliźniacy. A klienci i pracownicy byli w tym modelu połączeni w cyklu produkcji i sprzedaży, który godził ze sobą towary po przystępnej cenie z dobrymi płacami, które pozwalały na nabycie tych towarów.

Gdyby Henry Ford dożył dzisiejszego dnia, to mógłby się nieźle zdziwić, słuchając swojego odległego następcy Jima Hacketta, który kierował firmą w latach 2017–2020. Otóż receptą Hacketta na spadek sprzedaży Forda było to, żeby jego firma stała się... kolejnym Googlem i Facebookiem. Zgodnie z tą wizją Ford powinien był dać sobie spokój z robieniem aut, a zacząć monetyzować strumienie danych. Dokładnie według tego samego modelu, co Google: zasysać dane od milionów ludzi, którzy na całym świecie jeżdżą fordami. Kiedy już klienci zostaną wynalezieni na nowo jako źródło danych, trzeba – to ciągle argumentacja Hacketta – sprząć te przekazywane w czasie rzeczywistym dane z danymi finansowymi zassanymi skądinąd. W ten sposób firma wie, co ludzie robią, gdzie pracują, z kim się spotykają, gdzie mieszkają. Jeśli tymi danymi odpowiednio obrócić, Ford nie będzie już potrzebował tych wszystkich inżynierów, fabryk, sprzedawców i salonów. Zostaną mu dane. I zyski. Ford stanie się Googlem. Panem na danych.

Ale wielu przedsiębiorców już to robi. Tak działają producenci inteligentnych domów. Temu służą inwestycje w inteligentne miasta.

Tak jest. To właśnie staram się w moich tekstach i wystąpieniach tłumaczyć. Że nie chodzi tylko o sympatię czy antypatię do tego czy innego superbogatego giganta z Doliny Krzemowej. Chodzi o zupełnie nowy system, który nam zafundowali. Żyjemy już w kapitalizmie nadzoru.

Dlaczego „kapitalizm nadzoru”?

To nie jest ani publicystyczna przesada. Tylko dokładny opis rzeczywistości, w której żyjemy ja, pan i ci, którzy naszą rozmowę czytają. Kapitalizm nadzoru jest jak weneckie lustro. Firmy wiedzą wszystko o swoich odbiorcach. Ale odbiorcy nie wiedzą prawie nic o obserwują-

cych. To, o co teraz toczy się gra, to stworzenie dominacji na miarę XXI w. O końcu demokracji wiele się ostatnio mówi. Ale szukanie jej przyczyn odbywa się nie tam, gdzie trzeba. Trwa tropienie faszyzmu czy populizmu.

To gdzie szukać?

Nowy system opresji nie przypomina tego starego – XX-wiecznego. Kapitalizm inwigilacji nie potrzebuje żołnierzy ani siania terroru. Nowi władcy nie przychodzą z karabinem. Oni przynoszą ci cappuccino. Takie, jak lubisz, i wydawało ci się, że tylko ty wiesz, jakie lubisz najbardziej. A może jest tak, że ty lubisz to cappuccino, bo oni ci zabrali cały wybór? Ten system rządzi mięciutko poprzez subtelne mechanizmy kontroli naszych poczynań. Poprzez manipulowanie podprogowe, komunikację dopasowaną do wiedzy o naszych psychologicznych preferencjach, zawężanie naszego pola wyboru albo nagradzanie czy karanie zachowań, by osiągnąć cele zgodne z życzeniami manipulującego. Gdyby choć część z tych posunięć stosowały rządy – ależ byłby dyml!

I słusznie.

Pewnie, że słusznie. Dawne reżimy próbowały narzucić swoją wizję świata. Taka była ich eschatologia: nasz ład zapewni wam zbawienie na ziemi. Nowi władcy nie próbują narzucić żadnej obowiązującej zasady. Nie interesuje ich też w żaden sposób zbawienie czyjejkolwiek duszy – tu na ziemi, czy też w jakimkolwiek innym świecie. Nie oferują też żadnej wyrazistej ideologii, z którą można by podjąć otwartą rozmowę. Ich interesuje tylko czysty i niczym niezmacony zysk. To rynkowy projekt, który w oparciu o cyfrowe narzędzia tworzy unikalny w historii poziom dominacji. Oni nie operują środkami bezpośredniego przymusu. Ich przymus jest ukryty za zasłoną modyfikacji zachowań. Ale to jest pucz!

Ale przecież pucz to zamach stanu. Niezgodne z porządkiem konstytucyjnym, często z użyciem siły przejęcie władzy politycznej. A tutaj?

Dokładnie to się teraz dzieje. Tylko nie w formie wojskowego czy pałacowego przewrotu. Lecz właśnie poprzez pucz – poznawczy.

Pucz poznawczy? Co to znaczy?

Ten pucz polegał na przejęciu i ugruntowaniu władzy przez cyfrowy kartel. Pierwszym etapem był szybki wzrost nierówności poznawczych. Albo – nazywając to samo innymi słowami – „wzrost nierówności wiedzy”. Chodzi o przepaść pomiędzy tym, co wiedzą obywatele, a tym, co wiedzą o obywatelach firmy z cyfrowego kartelu. To już się stało. Już sobie wzięli te dane.

Czyli ten etap puczu się powiodł?

Bez wątplenia. Teraz przeżywamy etap drugi. Nazywa się poznawczym chaosem. W pandemii jego wymiar stał się zabójczy.

Dlaczego?

Pokażę to na przykładzie. W październiku 2020 r. powstało badanie, które próbowało oszacować, jakiego odsetka zgonów z powodu COVID-19 można było uniknąć. Na tamtym etapie ogólna liczba ofiar koronawirusa sięgała 217 tys. Autorzy badania, o którym mówię, twierdzili, że jakieś 140-200 tys. spośród tych 217 tys. zgonów można było uniknąć.

Jak?

Autorzy badania wskazali na kilka zasadniczych powodów takiego stanu rzeczy. Wśród nich znajdujemy np. odrzucenie przez wielu ludzi dystansu społecznego, sprzeciw wobec noszenia masek czy wreszcie polityzację – a co za tym idzie polaryzację – informacji na temat koronawirusa. Zwróćmy uwagę, że każda z tych przyczyn jest w dużym stopniu spowodowana właśnie panującym chaosem poznawczym. Nośnikiem tego chaosu były zaś właśnie platformy, o których tutaj mówimy: z Facebookiem czy Googlem na czele. Tylko że – oczywiście – oni nigdy nie czują się winni.

Wiadomo. Winny był Trump i jego otoczenie.

Badacze z Uniwersytetu Cornella twierdzą, że jakieś 40 proc. covidowej dezinformacji to efekt działania prawicy – w tym tej okółotrupowskiej sieci influencerów i innych multiplikatorów. Stawianie tu kropki jest oczywiście bardzo wygodne i oznacza, że Facebookowi i innym znów się udaje umknąć odpowiedzialności. Choć przecież nie jest żadną tajemnicą, że to właśnie ich algorytmy są jak pompa zasysająca dezinformację i rozprzestrzeniająca ją na wszystkie możliwe strony. To nie jest efekt uboczny ich

działania. Oni tak zarabiają pieniądze. Przecież mówimy teraz o fundamencie ich potęgi. Oni nam mówią: kłóćcie się, nienawidźcie się! Co tak słabo?! Mocniej, bo nikt nie usłyszy! Dla nich to oznacza więcej ekstrakcji danych, które mogą potem z zyskiem sprzedać. W ten sposób poznawczy chaos zastępuje normalną komunikację. Ten chaos wszedł w miejsce zajmowane kiedyś przez opinię publiczną. Zastąpił komunikację ułożoną według ucierających się reguł społecznego współżycia. Macie w Polsce ostrą polaryzację polityczną, zdaje się.

Owszem, coraz ostrzejszą.

Nie stało się tak przypadkiem. Politycy, komentatorzy czy blogerzy nie stali się nagle bardziej agresywni. Firmy tak to po ustawiały, bo jest dla nich dobre.

Ale dlaczego?

Teraz zamiast przestrzeni publicznej mamy ich przestrzeń prywatną. Google czy Facebook często mówią, że tak wygląda wolność słowa. Bzdura – to jest tylko ich sprywatyzowana wolność słowa. Która nie ma nic wspólnego z tym, co orzekł na początku XX wieku amerykański Sąd Najwyższy, że chodzi o wolny i uczciwy rynek wymiany idei. Dziś mamy przestrzeń, która jest zorganizowana wokół ekonomicznych interesów i imperatywów w warunkach kapitalizmu inwigilacji. Covid stworzył tło, na którym te imperatywy i mechanizmy stały się zabójcze. Były zresztą niebezpieczne już wcześniej, ale na mniejszą skalę. Teraz faktycznie mordują. Facebook jest współczesnym polem śmierci dla prawdy. Najdosłowniej ociekającym krwią. A teraz nadchodzi etap trzeci.

Czyli co?

Teraz GAFA jest w fazie ustanawiania poznawczej dominacji. Te wydarzenia, o których mówiliśmy na początku naszej rozmowy – odcięcie prezydenta USA czy wojna Google'a z rządem Australii – są paroksyzmem tego procesu. Takim momentem był też kwiecień ubiegłego roku, gdy Apple odmówił współpracy z Komisją Europejską w sprawie wspólnych unijnych rozwiązań wykorzystujących lokalizację użytkowników telefonów do ochrony przed rozprzestrzenianiem koronawirusa. Szef Apple'a Tim Cook po prostu powiedział „nie”. Więcej

Nowi władcy nie przychodzą z karabinem. Oni przynoszą ci cappuccino. Takie, jak lubisz.

Ale może je lubisz takie, bo odebrali ci wybór?

– cyfrowy kartel wykorzystał swoją PR-owską potęgę do przedstawienia unijnych planów jako „zamachu na prywatność” i chęć rządów do stworzenia „nowego wielkiego brata”. Chodziło im o to, by utrzymać *status quo*, w którym Apple, Facebook i Google faktycznie mają monopol na bycie wielkim bratem. Konkurencja ze strony demokratycznych rządów na jakimkolwiek polu nie jest przez nich mile widziana.

Da się coś zrobić?

Wreszcie powstała świadomość zagrożenia. Narracja, w myśl której cyfrowy ekosystem zamieszkują „technologiczne równiachy” i nieszkodliwi marzyciele, których jedynym celem jest tworzenie innowacji i rozwoju, mocno się chwieje. To ważne, bo odbiera Zuckerbergowi i innym moralne alibi do robienia tego, co robią. Coraz więcej ludzi zdaje sobie sprawę, że to, co pokazuje im Google, i miejsca, do których prowadzi ich Facebook, to jest fałsz i szkodliwa fikcja.

Co dalej?

Dalej musi pójść wysiłek regulacyjny. Państwa muszą przystąpić do kontraktaku. Z nadzieją patrzę na to, co się dzieje w Europie. Na wysiłki Komisji Europejskiej.

A Ameryka?

Z Ameryką jest ten problem, że kolejne rządy: czy to Obamy, czy też Trumpa, nie chciały – z różnych przyczyn – iść na wojnę z cyfrowym kartelem.

Sądząc po poparciu, jakiego prezydentowi Bidenowi udzieliła Dolina Krzemowa, oraz po wielu osobistych związkach pomiędzy technologicznym establishmentem a nową administracją, nie ma co liczyć na zmianę w tej kwestii.

Niestety, podzielał pańską opinię. Kojarzy pan Erica Schmidta?

Były dyrektor wykonawczy Google'a w latach 2001-11 i sto któryś najbogatszy człowiek świata.

A jednocześnie człowiek, który swego czasu wprowadził programowanie wielkiej polityki z danych zwykłych ludzi, pomagając w ten sposób prezydentowi Obamie w uzyskaniu elekcji. Tenże Schmidt powiedział ostatnio, że próba regulacji działania sektora big tech będzie zniechęcała do innowacyjności. Zapamiętajmy ten argument, bo przy jego pomocy cyfrowy kartel będzie się bronił przed jakąkolwiek próbą ograniczenia ich potęgi.

Na szczęście nie jesteśmy politykami i możemy pokusić się o projektowanie rozwiązań w oderwaniu od ograniczeń. Co trzeba zrobić?

Trzeba – po pierwsze – zabezpieczyć prawa obywateli i instytucji publicznych. Proces darmowego wysysania z nas naszej „poznawczej nadwyżki” musi być przerwany. Po drugie, trzeba minimalizować szkody, które już się dokonały. Po trzecie – następne generacje muszą dostać bardziej sprawiedliwą cyberprzestrzeń niż dzisiejsza. Po czwarte, musi być jasne, że cyfrowy kartel i w ogóle prywatne firmy technologiczne nie tworzą innowacji same z siebie. Tylko korzystają z infrastruktury, którą dają im państwa. W związku z tym argument „to jest moja platforma” albo „to jest moja wyszukiwarka” nie może i nie powinien mieć zastosowania. Po piąte wreszcie, nie można wierzyć cyfrowemu kartelowi na słowo. Powiedzą wszystko, co tylko chcemy usłyszeć. Kiedyś Eric Schmidt na wszelkie sposoby zapewniał, że Google poważnie traktuje naszą prywatność. I w pewnym momencie powiedział, że oni nie sprzedają danych ludzi. Zaczęłam się zastanawiać, czy może się przesłyszałam. Ale nie. On tak powiedział. Choć przecież cały ich model opiera się właśnie na sprzedawaniu danych ludzi.

A co z argumentem, że nie wolno stawiać na drodze nowoczesności?

Odpowiadam na to: demokracja musi rządzić. A zbieranie danych o naszych zachowaniach w sieci i poza nią musi być poddane zasadom demokratycznej kontroli. To nie jest argumentacja antycyfrowa. To jest pozytywna procyfrowa argumentacja, która ma nam pomóc wyjść z klatki, w której zostaliśmy zamknięci.

© Rozmawiał RAFAŁ WOŚ

HANNA

Krall: Na niby



JEST SPORO ŚMIERCI, DUŻO ANIOŁÓW i diabłów. Śmierć najczęściej jest biała, ale bywa w kolorach. Twarz ma pomalowaną, chyba że nie ma twarzy, tylko wyszczerzoną w grymasie trupa czaszkę. Bywa kobietą w jedwabiach i koronkach, ale i kukłą, szmacianą lalką.

Diabły są natrętne. Biegają po ulicach, chwytają przechodniów za ręce, nie chcą puścić, trzeba się wykupić pieniędzmi albo smakołykiem. Nawet Jezusowi przeszkadzają – nie chcą, żeby się ze swoją Matką spotkał. Na szczęście anioły stawiają czoło diabłom i dobro zwycięża – w każdym razie na Sycylii.

W Hiszpanii – o dziwo – diabły czynią dobro, chcą oczyścić dzieci z grzechu pierworodnego. Dzieci leżą na ziemi, na czymś białym, a diabły nad nimi tańczą i skaczą, wypłaszając złe moce.

W Ligurii w trumnie leży pan Jezus. Jest drewniana lalką ze śladami ran na stopach i w cierniowej koronie. Trumna przypomina kołyskę i ma długie uchwyty z czterech stron. Jak deski, na których dawno temu niesiono w Tykocinie żydowskie zwłoki. Tylko że tamte, tykocińskie, były zwyczajne, nieosłonięte, złączone jak tratwy (wiem, jakie były, bo mi je narysował w liście tykocinianin Abram Kapica). W Ligurii trumna jest wyłożona prześcieradłem z haftem richelieu. Lekka musi być, bo niosą ją dziewczynki uroczyscie ubrane, w białych koronkowych rękawiczkach.

Znowu procesja, znowu dziewczynki, trumna i pan Jezus. Jedna z dziewcząt przemyka oczy, druga coś jej szepcze, chyba zwraca uwagę, może każe oczy otworzyć.

Hiszpania. Ukrzyżowanie. Mężczyźni przebrani za Rzymian z włóczniami w rękach śmieją się szyderczo, kobiety płaczą.

Meksyk. Zaduszki. Chłopiec niesie lalkę w fioletowej sukni, z trupa czaszką zamiast twarzy. Na procesję idzie? Może sprzedaje lalkę-śmierć? Chłopiec jest smutny.

Jeszcze Meksyk, jeszcze śmierć, tym razem na niebie-sko. W czarnych koronkach, w koralach i kapeluszu. Śmierć wykwinna.

Cmentarz. Dużo kwiatów, same pomarańczowe i żółte. Ich zapach przyciąga dusze zmarłych.

Portugalia. Krzyż, chłopcy, dziewczyny, wszystkim jest bardzo wesoło.

W Hiszpanii smutek. Dziewczynka powstrzymuje się od łez.

Kościół pod wezwaniem Białej Gołębiczy, La Blanca Paloma – kobiety w długich sukniach, z falbanami, wszędzie ten sam wzór na tkaninie, małe, okrągłe kółeczka. Lunares, księżyc.

Bilbao. Mężczyźni w białych długich płaszczach i wysokich szpiczastych kapturach z otworami na oczy. Pokutnicy. Nie wiadomo, kim są ani jakie były ich grzechy.

Galicja hiszpańska, miasteczko As Neves, dzień świętej Marty. Dzięczynna procesja otwartych trumien. Jest sześć trumien, w pięciu leżą ludzie, którzy otarli się o śmierć, szósta trumna jest pusta. Święta Marta przywraca życie, dziękują jej każdego roku, zawsze w lipcu, od trzystu lat. Jedna z wskrzeszonych kobiet nosi okulary od słońca, na rękach ma srebrne bransolety. Jest upał, ktoś chłodzi ją dużym, białym wachlarzem.

Święta Marta to jedna z sióstr, do których z wizytą przyszedł Jezus. Która krzątała się koło kolacji.

Jest patronką gospodyń domowych, a także hotelarzy i kucharzy, w każdym razie w Hiszpanii.

Rytuał jako teatr. Nie ma podziału na aktorów i publiczność. Wszyscy mogą grać i wszyscy mogą być widzami. Razem się cieszą, smucą, boją się i walczą ze strachem.

Teatr, który obłaskawia śmierć. Tę na niby.

Poetka Franciszka Arnsztajnowa nałożyła najlepszą suknię, przypięła order i powiedziała – Strzelajcie. *Schiessen Sie.*

Aktor Grodzicki, skazany na rozstrzelanie, miał prośbę do komendanta Legionów. Chciał wydać rozkaz plutonowi egzekucyjnemu. Komendant wyraził zgodę,

TYGODNIK
POWSZECHNY

Wolność, równość, siostrzeństwo!

Wydanie specjalne „Moc kobiet” dostępne jako e-book
na powszech.net/emockobiet



Grodzicki powiedział – „Gotuj broń”, „Cel, pal!” i po salwie osunął się do grobu.

Teatr, który uwzniośla śmierć. Tę naprawdę.

Przez całą pandemię przeglądał zdjęcia. Robił je przez dwadzieścia parę lat, z tysięcy wybrał sto pięćdziesiąt. Album nazwał „Passion Play”. Dwa rzeczowniki. Różnie można je tłumaczyć. Pasja to męka albo namiętność. Play to sztuka, zabawa albo gra.

Nie wydziwia, nie podgląda, właściwie jest jednym z nich, tyle że z aparatem. Śmieje się z nimi, smuci się i z nimi się boi.

Za ich przykładem stworzył sobie własny rytuał. W Zadzuszki zapala świecę – na stole, przed zdjęciem ojca. Na lewa mu wino do kieliszka i ustawia talerz z ulubioną potrawą – makaronem w sosie pomidorowym.

Zdjęcia Fredka nie ma na stole.

Fredk to jego starszy brat.

Starszy?

Młodszy przecież, pięcioletni.

Tak się złożyło, że żaden diabeł nad nim nie zatańczył i nie odegnał złych duchów. Żadna święta go nie wskrzesiła.

Nie wiadomo dokładnie, co się stało, bo ojca nie było przy Fredku.

Ojciec cofał się na wschód ze swoim oddziałem, a kiedy wrócił, w domu nie było żony ani syna.

Ojciec położył się i zasnął.

Podobno spał dwa tygodnie. Pewnie dłużej by spał, ale go obudzili. Dogonił oddział i doszedł do Berlina.

Fredk miałby osiemdziesiąt pięć lat. Ma pięć, bo umarli się nie starzeją.

Nie jest dybukiem. Nie krzyczy, nie śmieje się i nie płacze.

Po prostu – jest i jest.

W weneckiej kawiarni na placu Świętego Marka zobaczył stolik. W jasnym metalicznym blacie odbijało się niebo i stolik był błękitny.

Wyjął aparat i zauważył napis dookoła blatu.

Był to fragment wiersza.

Pomyślał o zbiegu okoliczności, bo tłumaczył kiedyś na szwedzki wiersze ze „Strof weneckich” (dostał nawet od autora list z podziękowaniem).

Tekst na stoliku był o potrzebie zapominania i biegł jednym ciągiem, bez podziału na wersy:

...It's just that in order to forget one life, a person needs to live at least one other life...

Zapomnieć życie?

Żeby się na inne otworzyć?

Dziwny pomysł, pomyślał, chociaż nie wypada sprzeczać się z kimś takim jak Josif Brodski. W dodatku w Weneccji.

©

Julian Birbrajer, „Passion Play”,
Sztokholm 2020

TYGODNIK
POWSZECHNY

Podkast
Powszechny

Zapraszamy do słuchania autorskich cyklów podkastów „Tygodnika Powszechnego”

Własny pokój

rozmowy Katarzyny Kubisiowskiej
o kobiecej niezależności

#DOM

rozmowy Krzysztofa Storego
o małej ojczyźnie

Miesiąc w nauce

z autorskim przeglądem newsów
naukowych Łukasza Lamży

Punkt zwrotny

Katarzyna Kubisiowska i jej goście

Opowieści z Izraela

korespondencje
Karoliny Przewrockiej-Aderet

Sztuka powszechnie nieznana

Magdalena Łanuszka odkrywa dla nas
na nowo średniowieczne dzieła

weź, słuchaj!

Więcej na powszech.net/podkast



SALES||manago
marketing automation



„NASZ NAJWIEKSZY SKLEP”

Książki, których szukasz,
czekają na Ciebie
w jednym miejscu.

allegro

FESTIWAL CONRADA 18-24.10.2021

GOŚCIE:
VALERIA LUISELLI
GEORGE SAUNDERS

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**DODATEK
SPECJALNY**
„TP” 18/2021



**natura
przyszłości**

Festiwal Conrada, 18 – 24 października 2021



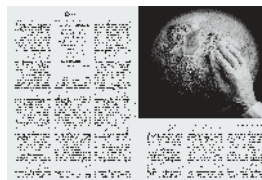
GRZEGORZ JANKOWICZ

Hasło tegorocznej edycji Festiwalu Conrada – „Natura przyszłości” – zawiera dwuznaczność, która zakreśliła horyzont naszych październikowych rozważań o świecie percypowanym za pośrednictwem literatury. Wywodzący się z języka łacińskiego rzeczownik „natura” ma kilka sensów. Dosłownie oznacza narodziny. W codziennej komunikacji używamy go na określenie środowiska przyrodniczego. Czasem oznacza również istotę, sedno rzeczy, osoby lub zjawiska. Za jego pomocą można też zwrócić uwagę na dominującą cechę czegoś, a nawet na układ czy strukturę jakiegoś obiektu, także abstrakcyjnego. Wszystkie te znaczenia bierzemy pod uwagę. Z zaproszonymi pisarkami i pisarzami spróbujemy wyobrazić sobie kształt przyszłości, tej najbliższej oraz tej odległej. Poza tym będziemy się zastanawiać, jakim zmianom ulegnie środowisko naturalne. Wreszcie – zajmujemy się metamorfozami rozmaitych zjawisk społecznych, wybierając te spośród nich, które zdaniem naszych gości odegrają kluczową rolę w formowaniu przyszłości naszej planety i zamieszkujących ją istot.

Stworzenie obrazu potencjalnej przyszłości nie jest jedynym celem, jaki sobie postawiliśmy. Nie chodzi tylko o pracę wyobraźni, ale również – a nawet przede wszystkim – o interwencję, która pozwoli zatrzymać procesy destrukcyjne, zarówno lokalne, jak i globalne. Niby zdajemy sobie sprawę z powagi sytuacji, niby wiemy, że gwałtowne zmiany klimatyczne, postępująca degradacja przyrody, niewydolność systemów społecznych czy nierówności ekonomiczne są faktem, a jednak nadal nie podejmujemy wystarczających działań zapobiegawczych, nadal zwlekamy z radykalnymi decyzjami, założywszy, że wciąż mamy czas, by powstrzymać katastrofę. Prawda, z którą musimy się błyskawicznie skonfrontować i z której musimy wyciągnąć wszystkie wnioski, jest taka, że nie mamy ani chwili do stracenia.

No dobrze, zapyta ktoś, dlaczego zatem namawiacie do czytania literatury, skoro do załatwienia mamy pilniejsze sprawy? Odpowiedź jest prosta: namawiamy do czytania i do myślenia o świecie za pomocą literatury właśnie dlatego, że dzięki niej możemy lepiej współdziałać w celu rozwiązywania problemów, które ściągaliśmy na nasz glob. Specjaliści porównują skalę niszczycielskiego wpływu człowieka na świat do uderzenia asteroidy, które położyło kres epoce dinozaurów sześćdziesiąt sześć milionów lat temu. Rozmiar wyzwania jest potężny. Jedyny sposób, by ocalić przyszłość, to współpraca. Do tego między innymi może nam się przydać literatura, która w swych najlepszych przejawach daje szansę nie tylko na zrozumienie, ale również na porozumienie. Potrzebujemy nowych opowieści, które uwolnią nas od starych, współodpowiedzialnych za kryzys, schematów myślowych. Potrzebujemy literatury, by pojąć sens zmian, ośwoić się z ich koniecznością, a także pomóc – z pełnym zaangażowaniem – w ich jak najszybszym przeprowadzeniu. ©P

W NUMERZE



77

MICHAŁ PAWEŁ MARKOWSKI
Przyszłość ziemi



81

TOMASZ PINDEŁ
Tłumacz tych,
którzy nie mają słów



85

GRZEGORZ JANKOWICZ
Mistrz brzuchomówstwa

REDAKCJA Grzegorz Jankowicz
PROJEKT GRAFICZNY Marek Zalejski
TP TYPOGRAFIA Andrzej Leśniak
FOTOEDYCJA Grażyna Makara
KOREKTA Katarzyna Szkaradnik,
Grzegorz Bogdał
OKŁADKA Hakobo / Marek Zalejski

Organizatorzy:



kbf:



www.conradfestival.com

Zespół Festiwalu Conrada:
Dyrektor artystyczny
– Michał Paweł Markowski
Dyrektor programowy
– Grzegorz Jankowicz
Dyrektorka wykonawcza
– Urszula Chwalba

Partner strategiczny
Festiwalu Conrada:

allegro

Dofinansowano ze środków
Ministerstwa Kultury,
Dziedzictwa Narodowego
i Sportu pochodzących
z Funduszu Promocji Kultury



Ministerstwo
Kultury
Dziedzictwa
Narodowego
i Sportu

Przyszłość ziemi

MICHAŁ PAWEŁ MARKOWSKI

Jeśli naprawdę chcemy zatroszczyć się o Ziemię, powinniśmy poznać źródło metafor, za pomocą których myślimy o sobie i świecie. Uświadomimy sobie wtedy, że Ziemia to ziemia – kruche i przemijające miejsce, w którym żyjemy wraz z innymi istnieniami, miejsce, o które trzeba nam stale dbać.

Człowiek stał się człowiekiem, gdy zaczął myśleć abstrakcyjnie, czyli używać rozumu teoretycznego poza kontekstem bezpośredniego działania. Wynalazł język, żeby powiedzieć coś, czego nie można wskazać. Wynalazł i zaczął udoskonalać narzędzia, których można używać wielokrotnie. Zaczął przedstawiać sobie rzeczywistość inną niż ta, którą widział. Tym samym uświadomił sobie, że jest jedynie drobiną myślącej materii zawieszoną między dwiema otchłaniami, których poznać nie potrafi: przeszłością i przyszłością.

Jak to się wszystko zaczęło? Jak się skończy? Co było przed i co będzie po? Przed czym i po czym? Skoro świat powstał, to znaczy, że ktoś go musiał stworzyć, bo nic nie powstaje samo z siebie i każdy zegar ma swojego zegarmistrza. Ale jeśli świat istnieje, to znaczy też, że może przestać istnieć, bo nic nie istnieje wiecznie. Chyba że jest taki poziom rzeczywistości, na którym i przeszłość, i przyszłość łączą się ze sobą, a czas przestaje już biec z nieskończoności w nieskończoność.

Religia, której zwykle przypisujemy kontakt z nieskończonością, raczej zabiega o usunięcie jej skandalicznej nieokreśloności. Jeśli Bóg stworzył świat, to znaczy, że i przeszłość, i przyszłość świata, jego czas i przestrzeń, w stwórcy znajdują swój początek i koniec („Jam jest Alfa i Omega” – mówi Bóg w Apokalipsie). Jeśli więc, jak głoszą Pisma, Bóg umiłował sobie człowieka i postawił go w centrum stworzonego świata, to znaczy, że przyszłość dla rodzaju ludzkiego nie jest groźna, chyba że człowiek od Boga się odwróci i zniweczy przymierze zaufania. Religia reguluje otchłan czasu, nadaje jej wyobrażalny kształt, tamuje przerażenie nieobjętością przyszłości. Tam, gdzie

nauka stawia jedynie hipotezy na temat początku i końca czasu, religia daje odpowiedź solidniejszego typu. Kto wierzy, że przyszłość jest nieodmiennie pod ochroną Boga, ten może śmiało twierdzić, że każdy wysiłek człowieka, by ulepszyć życie na Ziemi, musi spełznąć na niczym, a więc nie warto nawet się starać.

Człowiek religijny, konsekwentnie oddając panowanie nad przyszłością Bogu, sam pozbawia się wpływu nie tylko na przyszłość, ale i na teraźniejszość. I odwrotnie – kto po ludzku troszczy się o przyszłość naszego rodzaju, ten wie, że zdany jest na robotę znużoną, ale własną.

Wykorzenienie i nowoczesność

W 1949 r. Albert Camus zapoczątkował u Gallimarda nową serię wydawniczą, zatytułowaną „Nadzieja”, publikacją niewielkiego tomu pod tytułem „L'Enracinement” („Zakorzenienie”). Autorka, Simone Weil, zmarła sześć lat wcześniej z przemęczenia i wygłodzenia, a książka, podobnie jak większość jej prac, wydana została z rękopisu. Gruntownie wykształcona absolwentka najbardziej elitarnej francuskiej uczelni, École Normale (gdzie była jedyną kobietą przyjętą w roku 1917), następnie nauczycielka we francuskim liceum, które opuściła, by pracować w fabryce (gdzie podupadła znacznie na zdrowiu), Weil była jedną z najzacieklejszych krytyczek nowoczesnego ucisku społecznego w wielu postaciach. Uczestniczyła w ruchu oporu w czasie wojny, walczyła o lepszą sytuację robotników francuskich, krytykowała francuski kolonializm w Afryce i Indochinach, występowała przeciwko współczesnej biurokracji i przywilejom klasowemu, ostrzegała przed sowieckim i nazistowskim totalitaryzmem, szukała śladów przemocy w kulturze i życiu codziennym.

Porzuciwszy Marksa, Żydówka Weil zwróciła się do Chrystusa (podobno pod wpływem recytacji wiersza angielskiego poety George'a Herberta), wierząc, że prawdziwa rewolucja społeczna powinna być buntem słabych przeciwko silnym, upokorzonych przeciwko upokarzającym, wykorzenionych przeciwko wykorzeniającym. O wykorzenieniu pisała tak: „Wykorzenienie jest bez wątpienia najgroźniejszą chorobą społeczeństw ludzkich, ponieważ pleni się samo z siebie. Istoty naprawdę wykorzenione mają przed sobą jedynie dwie możliwości: albo popadają w stan bezwładu duchowego równoznaczny prawie ze śmiercią (...), albo rozwijają intensywną działalność zmierzającą zawsze do wykorzenienia, często przy pomocy najgwałtowniejszych metod, tych, którzy nie są jeszcze wykorzenieni lub są nimi tylko częściowo” (przeł. Andrzej Wielowieyski).

Świat, postulowała Weil, potrzebuje „przeobrażenia”, czyli zakorzenienia robotników w ich własnym świecie, z którego wykorzenili ich prywatni właściciele środków produkcji. Nie można jednak tego zrobić środkami politycznymi, bo kiedy robotnicy „dokonują gwałtownego wysiłku w kierunku wyzwolenia, wpadają w rojenia apokaliptyczne albo szukają kompensacji w imperializmie robotniczym, do którego nie należy chyba zachęcać, podobnie jak do imperializmu narodowego”. Wykorzenienie według Weil jest głównym nowoczesnym doświadczeniem egzystencjalnym: człowiek wykorzeniony z przeszłości, z teraźniejszości, z przyszłości – cierpi. Jedyny sposób na powtórne zakorzenienie stanowi rewolucja moralna i religijna, która powinna ominąć dwie najgroźniejsze pułapki nowoczesności zastawione przez Kapitał i Naród.

→ Wykorzenienie to potężna metafora, jak każda zresztą, która odsyła do zerwania naturalnego kont(r)aktu. Nie wymyśliła jej Weil, która jedynie podsumowała bolączki kultury nowoczesnej, cierpiącej – od czasów rewolucji przemysłowej – na zanik naturalnych związków ze światem. Konsekwencją wykorzenienia (Heidegger nazywał je „zapomnieniem bycia”) jest – według nowoczesnych – podporządkowanie sobie ziemi jako obiektu eksploatacji i w konsekwencji duchowe oraz fizyczne samobójstwo. Fabryka, miasto i maszyna zburzyły mit symbiotycznej relacji człowieka z przyrodą. Akumulacja kapitału pozbawiła większość osób dostępu do efektów ich pracy. Eksploatacja kolonii przez imperia przyczyniła się do wykarczowania rodzimych tradycji i do degradacji ekosystemów. Postępująca globalizacja wywabiła białe – niezaludnione – plamy z mapy świata i zamalowała je od nowa na białą. Gdy Ziemia stała się światem, obrona przed jego zawrotną i alienującą ekspansją przybrała formę powrotu do ziemi, która w epoce modernizacji zyskała nowe znaczenia. Do ziemi powraca się z miasta, do ziemi powraca się ze świata, do ziemi powraca się z duchowego i fizycznego wygnania, ale do ziemi powraca się także z zapętlenia w abstrakcji.

Powrót do ziemi stał się lekarstwem na powszechną dewaluację lokalności. Globalność niejako wymusza dematerializację: komunikacja z drugim zakątkiem globu dokonuje się dzięki pokonaniu empirycznych ograniczeń. Ale globalność wymusza także denaturalizację: maszyny komunikacyjne nie są żywymi organizmami, lecz sztucznymi urządzeniami. Globalizacja – tryumfalny marsz człowieka po ziemi – jest powszechną ewakuacją z ludzkich ograniczeń. Nic dziwnego, że stała się hasłem przewodnim modernizacji: człowiek nowoczesny nie chce pamiętać o swojej tymczasowości i wznosi zapory przeciwko przemijaniu. Równocześnie jednak upraszcza sobie znacznie swoje kosmiczne współrzędne.

Ale gdzie jest grunt?

Pradawny świat wyobraźni był jasno podzielony, oddany odmiennym mocom i bóstwom. Pod ziemią czyhały chtoniczne siły mroku i śmierci. Ziemią opiekowały się telluryczne siły przyrody. Nad ziemią wznosiły się niedosiężne siły uroczyste. Choć dawni bogowie odeszli już na zawsze i nie ma już z nami – nawet

■ Globalność niejako wymusza dematerializację: komunikacja z drugim zakątkiem globu dokonuje się dzięki pokonaniu empirycznych ograniczeń. Ale globalność wymusza także denaturalizację: maszyny komunikacyjne nie są żywymi organizmami, lecz sztucznymi urządzeniami.

w najbardziej konserwatywnych tekstach – Hadesa, Okeanosa czy Jupitera, to jednak podziemie, ziemia i niebo nie przestały być trójpółką ludzkiej wyobraźni. Chrześcijaństwo chętnie skorzystało z tego symbolicznego wzorca i – wprowadzając mocny akcent moralny – natychmiast umieściło w podziemiu piekło, a nad ziemią nowy raj, samą ziemię traktując jako linę zawieszoną nad dwiema otchłaniami: dobrą i złą.

Z kosmicznego punktu widzenia człowiek jest człowiekiem nie tylko dlatego, że chodzi po ziemi, ale także dlatego, że ziemia, po której chodzi, ma nad sobą i pod sobą niezgłębioną przestrzeń. Jednych ta niezmierność nad głową przerażała (Pascal), innym (Kant) dawała poczucie ładu. Kosmos może być kryjówką dla Boga, który wymknął się człowiekowi, ale może też być sprawnie działającym mechanizmem. Wnętrze ziemi nie budzi już takich emocji. Gdy przyjąć za XVIII-wiecznymi filozofami, że wzniosłość jest odczuciem nieprzystawalności pojęć do „rzeczy”, które je przerastają swoim ogromem, podziemie daje się łatwo objąć rozumem. Jeśli myśl nie może dojść do ładu z tym, czego nie umie objąć, to jasne jest, że odkrycie nieskończoności wszechświata było intelektualnie ponętniejsze niż rozpoznanie wewnętrznej budowy Ziemi. Rzecz jednak w tym, że niebo nad nami niemal nigdy nie „mętnieje”, podczas gdy ziemia bardzo często traci swoją nieprzejrzystość.

Weźmy taki cytat: „Bo przecież idę po ulicy Corrientes w Buenos Aires, zjadł-

szy przed chwilą kolację w restauracji Sorrento. A jednocześnie jestem tam, na pełnym, pełnym, pełnym i wzburzonym morzu! Miotany w przestrzeniach miotających... Jestem na Corrientes, a jednocześnie jestem w najczarniejszych, międzygwiazdnych otchłaniach – sam w przestrzeni! Jestem po niezłej kolacji i jestem rzucony w nieskończoność, jak krzyk...”. To Gombrowicz, odnajdujący się bez zachaczenia w kosmosie, choć spacerujący po ulicy argentyńskiego miasta. Ale i to Gombrowicz, w rozmowie z Boyem, na statku: „Podszedłem. – Pan Żeleński? – Tak. – Czy pan pozwoli?... Chciałbym kilka słów... Choć nie mam zaszczytu... – Boy nudził się prawdopodobnie. Wskazał mi krzesło. – Proszę. – Usiadłem i nie wiedziałem, co powiedzieć. W końcu powiedziałem: – Widzi pan, ja jestem taki pasażer, co to siedzi na krześle; krzesło stoi na pace; paka leży na workach; worki na wozie; wóz na statku; statek na wodzie. Ale gdzie jest grunt i jaki jest ten grunt, nie wiadomo”.

Gombrowicz miał silne poczucie zięjącej otchłani otwierającej się co rusz pod ziemią. Nie wymyślił tego sam: utrata gruntu, zapasć ziemi to doświadczenie nowoczesne, towarzyszące – jak to sformułowali pierwsi romantycy niemieccy – odejściu bogów. Niebo tym bardziej pustoszeje w doświadczeniu nowoczesnym, im bardziej zapada się ziemia, im bardziej nie stanowi już podstawy, która by nas solidnie trzymała. Wiedział o tym doskonale Dostojewski, który bez ustanku oskarżał zachodnią cywilizację poświeceniową o „utrata gleby” i domagał się porzucenia pustych rozumowań, które nas od ziemi odciągają (nauka, uczyniwszy ze świata przedmiot, oddala się odeń), i nawoływał do powrotu do ziemi. Z tego powodu uwielbił rosyjski lud, który z ziemią miał mieć bezpośredni kontakt, a przez owo zakorzenienie w ziemi – łatwe doświadczenie do Boga.

Dostojewski pojawia się tu jako rzecznik poglądu, który – także dzięki Simone Weil – istotnie zaważył na XX wieku: że mianowicie świadomość jest grzechem pierwotnym zachodniej cywilizacji. A skoro tak, to trzeba wziąć z nią rozbrat i rzucić się w ramiona – świeckiego lub religijnego – nieświadomego (ziemia jest właśnie takim rezerwuarem nieświadomości), albowiem tylko poprzez życie nieracjonalizowane człowiek może dotknąć absolutu, który na zawsze utracili zachodni mędrkowie. Tak samo



będzie – *nomen omen* – rozumował Cioran. Skoro świadomość jest grzechem, to otwarcie na życie afektywne pozwoli człowiekowi otworzyć okno na transcendencję. Wściekły człowiek łatwiej znajdzie Boga niż człowiek letni, ostudzony przez logikę, a tym samym łatwiej odzyska utracony grunt. Bliżej będzie ziemi.

Początek sporu

Tu wypada zająć się krótko źródłami poglądu o grzesznej naturze świadomości, ponieważ dzięki temu lepiej zrozumimy związek ziemi (i Ziemi) z przeznaczeniem, czyli przyszłością człowieka. Chodzi oczywiście o opowieść o raju włożoną do Księgi Rodzaju; opowieść, która łączy dwie różne opowieści o stworzeniu człowieka i do dziś – w tej lub innej postaci – panuje nad zachodnią wyobraźnią.

Najpierw Bóg stworzył mężczyznę oraz kobietę na swój obraz i dał im powstałą uprzednio ziemię w panowanie. „Rośnijcie i mnożcie się, i napęlniajcie ziemię, a czyńcie ją sobie poddaną” (wszystkie cytaty z przekładu Wujka). Ale niemal natychmiast redaktor zreflektował się, że potrzebna była dodatkowa narracja, i wprowadził drugi początek. Człowiek nie jest już stworzony „na podobieństwo Boga” – to bowiem zakładałoby jego niematerialność – lecz ulepiony jest z pyłu ziemskiego, z ułotnej materii. Jako taki, na razie sam, Adam zostaje umieszczony w specjalnie zasadzonym dla niego „ogrodzie w Edenie”, by „go uprawiał i strzegł go” (przed czym lub przed kim, nie wiadomo, skoro nikogo innego na ziemi nie było).

Bóg przyprowadza do tego ogrodu zwierzęta, żeby człowiek nadał im imiona

i w ten sposób nad nimi zapanował. Daje mu do pomocy kobietę, ta zaś zjada owoc z zakazanego drzewa, gdyż wąż przekonuje ją, że nie ma związku między zjedzeniem owocu z drzewa poznania a śmiercią (jak sugeruje Bóg), ponieważ drzewo życia i śmierci jest czymś innym niż drzewo dobrego i złego. Potwierdza to sam Bóg, wściekły na Adama i Ewę nie dlatego, że zjedli owoc z drzewa życia i śmierci (bo nie zjedli), ale dlatego, że zjadłszy z drzewa poznania, zrozumieli, że są tylko ludźmi, i teraz będą chcieli dostąpić nieśmiertelności, odgadli bowiem, że ziemskie życie wcale nie jest takie dobre, drażni je niedoskonałość. Nie mogąc dopuścić do tego, by człowiek stał się „jak my” (ta liczba mnoga od zawsze frustruje komentatorów), Bóg wygania Adama i Ewę z ogrodu Eden, który Wujek →

→ i inni tłumacze idący za Wulgatą, nazwali „miejszem rozkoszy”.

Trudno tę narrację pojąć komuś, kto ma wyobrażenie Boga chcącego dla człowieka jak najlepiej. Owszem, Adam i Ewa złamali zakaz, ale dzięki temu uzyskali świadomość, że są ludźmi („być człowiekiem” znaczy: wstydzić się), to zaś uczyniło ich „równymi bogom”. Nie dlatego, że byli nieśmiertelni, ale dlatego, że wyszli z niezawinionej nieświadomości (tak wiele stuleci później Kant zdefiniuje oświecenie), a w rezultacie zdobyli wiedzę o tym, co dobre, a co złe. Dlaczego Bogu miałyby się to nie spodobać, wytlumaczyć można jedynie tak, że stwórcy zależało na ludzkiej głupocie, która nie pyta o to, czy ludzkie życie ma sens, która nie wpadnie na to, że wyeliminowanie bezsensu ludzkiego życia powinno się dokonać już na samym początku. Gdyby się to jednak stało, gdyby człowiek – rozumiawszy, że życie jest więcej warte niż śmierć – chciał się stać nieśmiertelny, Bóg straciłby rację istnienia, bo był wieczny traci wyższość nad bytem przemijającym, gdy ten ostatni przestaje przemijać.

Tu zaczynają się spierać dwie niewspółmierne narracje: boska i ludzka.

Rozkosz, czyli głupota

Jakie wnioski wynikają z tego sporu? Pierwszy: głupota to rozkosz i odwrotnie – rozkosz to niedostatek świadomości. Wulgata tłumaczy hebrajską nazwę własną „Eden” jako „rozkosz” i wszyscy pierwsi nowożytni tłumacze Biblii szli za jej lekcją, utożsamiając ogród (*paradisus*) z „rajem rozkoszy”. W raju człowiek nie ma świadomości, nie wie, kim jest, nie wie, że różni się od Boga, nie wie, że jest człowiekiem – i dopiero akt refleksji pozwala mu to wszystko zobaczyć. Na to jednak Bóg pozwolić nie może, więc wygania człowieka z „raju”, „miejsca rozkoszy”, *de loco voluptatis*. Jeśli człowiek staje się człowiekiem dzięki refleksyjności, to znaczy, że marzenie o raju jest marzeniem o rozkosznej głupocie.

I tu pojawia się ziemia. Człowiek stał się świadomy, ziemię opanowało cierpienie. „Przeklęta będzie ziemia w dziele twoim; w pracach jeść z niej będziesz”. „I usunął go Pan Bóg z raju rozkoszy, żeby uprawiał ziemię, z której został wzięty”. Okazuje się – to wniosek drugi – że praca hańbi, hańby zrozumienia nędznej kondycji ludzkiej. Powrót do ziemi oznacza tylko jedno:

■ Do ziemi powraca się z miasta, do ziemi powraca się ze świata, do ziemi powraca się z duchowego i fizycznego wygnania, ale do ziemi powraca się także z zapętlenia w abstrakcji.

■ Człowiek religijny, konsekwentnie oddając panowanie nad przyszłością Bogu, sam pozbawia się wpływu nie tylko na przyszłość, ale i na teraźniejszość. I odwrotnie – kto po ludzku troszczy się o przyszłość naszego rodzaju, ten wie, że zdany jest na robotę zmuszoną, ale własną.

„w pocie oblicza twego będziesz pożywał chleba, aż się wrócisz do ziemi, z którejś wzięty”. Uprawianie ziemi to znak ludzkiej skończoności. Powrót do niej to śmierć, co oddał dokładnie Reymont w „Chłopach”, gdy kazał staremu Borynie umrzeć na polu, nie w domu.

Z drugiej strony nie może nas dziwić, że robotnik – menedżer materii – jest po stronie raczej prarodzców niż Boga. Ten ostatni w epoce nowoczesnej zajął miejsce właściciela fabryki, co tylko podkreśla ścisłe związki religii i kapitalizmu. Jeśli akumulacja kapitału dokonuje się kosztem pracy fizycznej, to znaczy, że kapitalista próbuje wymknąć się skończoności ludzkiej egzystencji, zamykając ją w beznadziejnym trudzie roboty, od którego sam stroni. Rozumiał to ksiądz Tischner, który walczył uparcie o robotniczą samoświadomość, nie chcąc jednak przyjąć do wiadomości, że to właśnie samoświadomość stała się przyczyną wygnania z raju, do którego wstępu broni bramkarz z pałką.

Kopniak aksjologiczny

Trzeba tu sporej ostrożności, bo potoczna wersja biblijnego mitu o początkach ludzkości różni się znacznie od wersji, którą właśnie zrekonstruowałem. Brzmi ona tak: człowiek został wygnany z raju, bo zgrzeszył niesubordynacją, bo złamał zakaz boży, bo uległ podszeptom zła (wąż jako szatan). To jednak narracja boska, nie ludzka. Prawdę mówiąc, wąż jest sprzymierzeńcem człowieka: pozwala mu zrozumieć, że człowieczeństwo zaczyna się od aksjologicznego kopniaka, od aktu świadomości („otworzą się oczy wasze i będziecie jako bogowie, znając [!] dobre i złe”). Jeśli więc człowiek wygnany został z raju, to stało się to z jego winy, za którą powinniśmy wszyscy – tak brzmi główny morał tej baśni – pokutować. Ludzka skończoność jest winą samego człowieka, jeśli więc człowiek chce tę skończoność pokonać, to musi swoją winę uznać i starać się, w skrusze, „wrócić do raju”, do czasu sprzed wszelkiego czasu, a tym samym do władania ziemią.

W tym właśnie rzecz. Powrót do raju, zakładany przez większość zbawczych narracji, nie jest powrotem do ziemi, bo człowiek może wrócić do ziemi jedynie, uznawszy swoją skończoność. Powrót do raju, w którym rozkosz główna to rozkosz panowania nad wszelkim stworzeniem, to powrót do panowania nad Ziemią (dużą literą), albowiem misję panowania nad Ziemią Bóg powierzył człowiekowi przed jego upadkiem, czyli zanim zyskał on świadomość własnej skończoności. Jaki z tego wniosek? Ano taki, że marzenie o raju jest nieodłączne od marzenia o globalnym opanowaniu Ziemi przez człowieka. Obydwa zaś rozmiągają się z faktycznością ludzkiej skończoności.

Kto myśli o raju jako remedium na zniszczenie Ziemi, gruntuje się myli, gdyż to właśnie wyjście z „miejsca rozkoszy” umożliwiło człowiekowi uznanie swojej skończoności, przed którym raj tak stanowczo się wzbraniał. Tylko poza rajem, poza panowaniem nad Ziemią, człowiek jest człowiekiem, a Ziemia ziemią, nie zaś jego poddaną. Tym, co ich oboje – człowieka i ziemię – łączy, jest skończoność. Inaczej jeszcze: epoka „po ziemi” to epoka negacji ludzkiej skończoności dokonywanej nieustannie przez samego człowieka, któremu nie w smak własna przemijalność.

© MICHAŁ PAWEŁ MARKOWSKI



DIEGO BERRUECOS

VALERIA LUISELLI

(ur. 1983) – meksykańska pisarka mieszkająca w Stanach Zjednoczonych. Uczy kreatywnego pisanie, współpracuje z wieloma galeriami sztuki, stworzyła też libretta dla New York City Ballet. Jej zbiory esejów i powieści były nagradzane i tłumaczone na wiele języków. Pracowała jako wolontariuszka w amerykańskich sądach, gdzie pomagała migrantom, głównie dzieciom. W Polsce ukazały się jej dwie powieści: „Nieważcy” i „Historia moich zębów”. Niebawem wydawnictwo Pauza opublikuje „Archiwum zagubionych dzieci”.

Tłumacząc tych, którzy nie mają słów

TOMASZ PINDEL

Valeria Luiselli zaczęła od opowieści o życiu na styku języków, kultur i tradycji. Ale jej rzeczywistym powołaniem jest literatura opowiadająca o tych, którzy nie mają głosu, a którzy według niej są przyszłością obu Ameryk.



→ **T**o miała być książka o doświadczeniu Meksyku, próba odnalezienia się w rzeczywistości meksykańskiej stolicy – tak po latach Valeria Luiselli wspominała projekt debiutanckiego tomu. Chodziło o potrzebę oswojenia miasta. Krótko po osiągnięciu pełnoletności pisarka po raz pierwszy tak naprawdę zamieszkała w swoim kraju. Dotychczasowe życie wiodła bowiem – jako córka dyplomaty – w odległych zakątkach świata: w RPA, Korei Południowej, Indiach. Językiem domowym był hiszpański, ale w szkole i z rówieśnikami porozumiewała się po angielsku. Meksyku doświadczała na odległość i poprzez lektury, teraz miała się w nim wreszcie zanurzyć.

Pielgrzymka do grobu ulubionego pisarza

Tyle że wyszło zupełnie inaczej. „Papeles falsos” („Falszywe papiery”, 2010, na angielski przetłumaczone jako „Sidewalks”; wątek angielsko-hiszpańskiego galimatiasu z tytułami jeszcze powróci) to książka tak kosmopolityczna jak biografia autorki. Owszem, znajdziemy tu rozdział o doświadczeniu miasta Meksyk i o poczuciu zagubienia, ale to tylko jeden z tekstów w całym zbiorze tych – jak nazwała je autorka – bildungsesejów. Na plan pierwszy wysuwa się Wenecja, choć zdaniem Luiselli pisanie kolejnej opowieści o tym mieście przypomina dolewanie szklanki wody do oceanu.

Podróż do Wenecji ma jednak określony cel: spotkanie z duchem Josifa Brodskiego. Otwierająca tom scena poszukiwania grobu poety na cmentarzu San Michele daje nam wyobrażenie o metodzie pisarki: anegdota o błakaniu się po nekropolii zarysowana jest dowcipnie i lekko (narratorka przygląda się kobiecie, która pielgrzymuje do „konkurencyjnego” grobu Ezry Pounda i podkrađa czekoladki z nagrobka Brodskiego), ale nie brak literacko-intelektualnych odniesień (tu Chesterton, tam Bergson – wyłania się z tego lista lektur ambitnej czytelniczki) ani błyskotliwych obserwacji (np. tej o uderzającym podobieństwie między szukaniem czyjegoś miejsca pochówku na nieznanym cmentarzu a wypatrywaniem w tłumie osoby, z którą się umówiliśmy).

Oczytana, uważna, skłonna do refleksji, ale powściągliwa w słowach – taka jawi nam się Luiselli i pewnie to właśnie ujęło Ceasa Nootebooma, który po-

przedził niderlandzkie wydanie „Papeles falsos” bardzo ciepłą przedmową. To książka podróżnicza w formie zbioru esejów – opisuje ją niderlandzki prozaik – całość utrzymana w tonie filozoficzno-flanerskim. Istotą tego tomu jest przechadzanie się, jego metodą zaś – obserwacja, która determinuje formę książki: Luiselli prezentuje nam notatki, nie wdaje się w analizy, tylko rzuca szybkie myśli.

W trzecim szkicu, poświęconym prze-wagom jazdy na rowerze nad innymi formami pokonywania przestrzeni, autorka stawia tezę, że różnica między lataniem samolotem, chodzeniem pieszo i jazdą na rowerze jest taka jak między patrzeniem przez teleskop, przez mikroskop i przez obiektyw kamery filmowej. W obserwacji nie chodzi jednak tylko o patrzenie, ale także o nawiązywanie kontaktu z ludźmi, a to jest możliwe dzięki językowi. Wątek poruszania się w języku, którego do końca nie znamy, to zapewne echo powrotu autorki do Meksyku. Jak opowiadała w wywiadach, wejście w codzienną mowę meksykańskiej ulicy okazało się dla niej sporym wyzwaniem. Być może stąd fascynacja Brodskim, poetą rozpiętym między rosyjskim a angielskim.

Mistyfikacja cenniejsza niż prawda

Rok po debiucie Luiselli ogłosiła pierwszą powieść: w 2011 r. ukazał się „Nieważcy” („Ingrávidos”, w wersji angielskiej „Faces in the Crowd”), polska edycja pojawiła się cztery lata później, w przekładzie Katarzyny Okrasko i nakładem W.A.B. Debiutancki zbiór esejoreportaży i powieść to książki pod pewnymi względami zupełnie odmienne, pod innymi zaś – wyraźnie spokrewnione. Podobna jest tu fragmentaryczność. Tekst powieści tworzą krótkie ustępy, stopniowo układające się w logiczną całość; na plan pierwszy wybijają się znów poeci, a także autotematyczna refleksja nad pisaniem.

Gdyby podjąć próbę streszczenia – trudna sztuka! – można by „Nieważkich” opisać tak: to historia spisywana przez kobietę, która opowiada o okresie, kiedy mieszkała w amerykańskim mieście (w domyśle: Nowym Jorku) i pracowała w małym, ambitnym wydawnictwie, wyszukując ciekawych pisarzy latynoskich. Oszustwem przekonała swojego szefa do publikacji wierszy Gilberta Owena (1904–1952), meksykańskiego poety, który znalazł się w amerykańskiej metro-

polii mniej więcej w tym samym czasie co Federico García Lorca. Bohaterka fabrykuje przekłady Owena, rzekomo autorstwa Louisa Zukofsky’ego. Robi się szum, potem sprawa wychodzi na jaw, acz paradoksalnie – a może wcale nie – cel zostaje osiągnięty: publiczność zaczyna się interesować latynoskim twórcą.

Na fabularną oś nanizane są jeszcze inne wątki. Owen wysuwa się na plan pierwszy, ale istotne okazują się również spisywane przez narratorkę wspomnienia. Kobieta mieszka teraz w Meksyku, a na tekst zerka jej przez ramię mąż, który pyta o prawdziwość przedstawianych zdarzeń, więc przy okazji śledzimy relację pary i jej życie rodzinne. W początkowych partiach „Nieważkich” pojawia się wzmianka o Robercie Bolaño i jego wpływie na literacką obecność Latynosów w Stanach, utrzymana w lekko ironicznym tonie (ironia nie jest wymierzona w pisarza, tylko w propagatorów jego kultu).

Na dobrą sprawę jest to nieco bolańowska powieść: środowisko poetów, pisarzy i ich przyległości, czytających, gadających i wchodzących ze sobą w interakcje. Pomysłowe, literackie i metaliterackie; na podstawie tych dwóch pierwszych książek można było uznać, że Luiselli zmierza w rejony artystowskie. Ale wtedy pisarka zrobiła zwrot.

Powieść w fabryce

„Historia moich zębów” („La historia de mis dientes”, 2013; w tym akurat przypadku nie ma żadnych komplikacji z wersjami tytułu; po polsku wydana w 2017 r., nakładem W.A.B. i w moim przekładzie) na pierwszy rzut oka sprawia wrażenie literackiego żartu. Mamy tu utrzymaną w surrealistno-humorystycznym tonie relację niejakiego Gustava Sáncheza Sáncheza, który opowiada o swoim poplątanym życiu oraz zawodzie: organizuje aukcje, na których sprzedaje tak dziwne artefakty jak zęby znanych postaci, np. Platona, Virginii Woolf, Borgesa czy Enriquego Vili-Matasa. Tekst usiany jest literackimi żarcikami i aluzjami, dla polskiego czytelnika nie zawsze czytelnymi, bo oprócz klasyków pojawiają się tu pisarze współcześni, często w Polsce nieznani. Nie zmienia to jednak faktu, że powiastkę tę daje się czytać jako coś w rodzaju literackiego *capriccio*.

Dopiero posłowie autorki rzuca na całość inne światło. Luiselli została zapro-

szona do współpracy przy okazji wystawy organizowanej na przedmieściach stolicy Meksyku w galerii prowadzonej przez firmę Jumex, potentata na rynku soków i napojów owocowych (butelki z ich logo można znaleźć w każdym sklepie i sklepiku w tym kraju). Nie miała jednak ochoty angażować się w sztapowe działania, toteż współpraca przybrała specyficzny charakter. Luiselli pisała anonimowo powieść w odcinkach – czyli właśnie historię o licytatorze zębów – którą czytano zatrudnionym w rozlewni soków, naśladując praktyki sprzed wielu dekad, kiedy to w kubańskich fabrykach tytoniu zatrudniano lektora, by czytał pracownikom i pracownikom teksty literackie.

Robotnicy z rozlewni nie tylko wysłuchiwali kolejnych rozdziałów napisanych przez Luiselli, ale także dyskutowali na ich temat, wyrażali opinie, często bardzo krytyczne. Nagrania z dyskusji przekazywano autorce, ta zaś brała je pod uwagę podczas pracy nad kolejnym odcinkiem. Tak, to jest literacka zabawa, ale z mocno społecznym wydźwiękiem. Rzecz zupełnie odmienna od dwóch poprzednich tytułów, i znowu: czytana w trakcie premiery jawiła się jako ciekawy eksperyment; czytana teraz – okazuje się logicznym etapem prowadzącym do następnych dwóch tytułów.

Czterdzieści pytań, od których zależy wszystko

Latem 2014 r. amerykańskie media żyły jednym tematem: tysiące dzieci z Ameryki Środkowej szturmowały południową granicę USA. Oczywiście napływ nielegalnych imigrantów to nic nowego, ale tym razem było ich naprawdę dużo, na dodatek właśnie dzieci i niepełnoletnie młodzieży. Luiselli wraz z mężem, córką i pasierbem wybrała się w tamtym czasie na wakacje do południowych regionów USA. Stopniowo wiadomości o nieletnich migrantach pochłaniały jej uwagę. Jej – Meksykanki w trakcie oczekiwania na zieloną kartę, osoby na tle tych tysięcy *indocumentados* uprzywilejowanej, ale także doznającej w nowym kraju poczucia obcości. Media donosiły o maszerujących dzieciach, jakby to była klęska żywiołowa, jakaś plaga, istny szturm; drażniące brzmiało w tym kontekście słowo *alien* używane na określenie przybyszów.

To doświadczenie skłoniło pisarkę do działania: zgłosiła się na wolontariat do nowojorskiego sądu. Ona i jej siostrzenica

■ Luiselli zaczęła pracować jako wolontariuszka w nowojorskim sądzie. Pomagała nieletnim migrantom, tłumacząc dla nich kwestionariusz złożony z czterdziestu pytań. Od odpowiedzi udzielonych na te pytania zależy los każdego nielegalnego przybysza.

zaczęły pracować jako tłumaczki pomagające migrantom. Nielegalnie przybyłe na teren Stanów dzieci muszą odpowiedzieć na liczący czterdzieści pytań kwestionariusz, który następnie analizowany jest przez prawników. Na tej podstawie decyduje się o dalszym postępowaniu: deportować od razu czy zaoferować azyl. Nawet jeśli pojawi się wstępna zgoda, trzeba znaleźć prawnika, który zechce się zająć sprawą. Nielegalnym imigrantom nie przysługuje przecież adwokat z urzędu.

To doświadczenie stało się podstawą dwóch następnych książek Luiselli, książek siostrzanych, ale nie bliźniaczych. Najpierw był esej napisany po angielsku, który został przetłumaczony na hiszpański i rozbudowany przez samą autorkę – ukazał się jako „Los niños perdidos” („Zaginione dzieci”, 2016), potem zaś te dopisane fragmenty przełożono na angielski i całość opublikowano w Stanach jako „Tell Me How It Ends: An Essay in Forty Questions” („Powiedz mi, jak to się kończy. Esaj w czterdziestu pytaniach”, 2017), z przedmową Jona Lee Andersona.

Kanwą esaju są pytania z formularza, które autorka musi przełożyć i objaśnić młodym (czasem bardzo młodym) uciekinierom z Salwadoru, Hondurasu czy Gwatemali. Przy okazji Luiselli opowiada o przyczynach oraz przebiegu masowej i ciągłej migracji Latynosów: nie powoduje nimi chęć lepszego życia czy wiara w ekonomiczny *American dream* – oni wiedzą, że życie w Stanach będzie ciężkie, a po drodze czeka ich piekło. Niemniej pozostanie w kraju, w którym wszechwładne gangi wyciągają swoje macki już po najmłodszych, nie wchodzi w grę. To poruszająca

opowieść, ale podana bez cienia sentymentalizmu. Dodatkowa gra na emocjach nie jest potrzebna. Wystarczą fakty.

Książka wykracza poza ramy dokumentu o katastrofie humanitarnej. Pisarka rozmawia z dziećmi, które uciekły z domu, bo groziła im śmierć, które przemierzyły tysiące kilometrów na dachu pociągu, przeszły przez pustynię, padły ofiarą napadów, kradzieży, porwań, gwałtów, a na amerykańskiej ziemi doświadczyły różnych form przemocy ze strony ochotniczych patroli i służb mundurowych. To tym przybyszom musi objaśnić suche pytania z formularza. Jej esej jest także traktatem o komunikacji między różnymi ludźmi i różnymi światami. Dzieci mają swoje historie, ale nie mają słów, by je opowiedzieć – zauważa pisarka. Po powrocie do domu Luiselli słyszy pytanie córki, która chce wiedzieć, jak kończą się historie relacjonowane przez młodych uchodźców.

„Tell Me How It Ends” łączy w sobie regularny reportaż z esejem stawiającym nie tylko doraźne pytania. Na końcu czytelnik dostaje informację, która może budzić wątpliwość. Uczniowie zakładają małą, ale prężnie działającą organizację broniącą migrantów. Pojawia się także nieoczywista deklaracja przynależności Luiselli do tego właśnie kraju, do Stanów Zjednoczonych Ameryki: „A kiedy już się tu znajdziesz – pisze autorka – będziesz gotowy oddać wszystko albo prawie wszystko, żeby zostać i zagrać swoją rolę w tym wielkim teatrze przynależności. W Stanach Zjednoczonych »zostać« jest celem samym w sobie, nie środkiem: »zostać« to założycielski mit tego społeczeństwa”.

Krucjata dziecięca

Niewiele ponad sto stron – bo tyle liczy „Tell Me How It Ends” – to dla Luiselli, jak się okazuje, za mało, by zmierzyć się z tak trudnym tematem. „Archiwum zagubionych dzieci” („Lost Children Archive”, 2019; tym razem napisane całkowicie po angielsku, po hiszpańsku wydane jako „Desierto sonoro”; a w Polsce ukaże się w tym roku, nakładem Pauzy i w przekładzie Jerzego Kozłowskiego) to rodzaj wariacji na temat wcześniejszego esaju, tyle że napisanych z wielkim literackim rozmachem.

Oś wydarzeń jest w zasadzie taka sama: narratorka wraz z mężem, dziesięcioletnim pasierbem i pięcioletnią córką jadą →

→ do Arizony. Ją pochłania temat imigranczej odysei nieletnich Latynosów, on zaś pracuje nad dokumentem dźwiękowym o pierwszych mieszkańcach, Apaczach. Wiele się dzieje podczas tej podróży między jej uczestnikami. Związek przechodzi poważny kryzys, dzieci starają się ogarnąć obsesje dorosłych (w pewnym momencie dziesięciolatek przejmując narrację), wszystko zmierza ku dramatycznemu przesileniu. Jednocześnie Luiselli nie spuszcza z oka centralnego tematu migrantów.

Gdybym miał podać wzór na tę powieść (ośmielałam się, bo sama autorka proponuje matematyczne równanie opisujące „Historię moich zębów” w posłowie do tejże), to powiedziałbym, że „Archiwum zagubionych dzieci” równa się „Nieważcy” plus „Tell Me How It Ends” przemnożone przez trudny do określenia czynnik literackiej wartości dodanej. Główny trzon narracji pisarka uzupełnia np. o serię elegii poświęconych wędrującym dzieciom; elegii, w których rzeczywistość migrantów nałożona zostaje na siatkę literackich aluzji (np. do „Krucjaty dziecięcej” Marcela Schwoba czy też

■ Krótko po osiągnięciu pełnoletności pisarka po raz pierwszy tak naprawdę zamieszkała w swoim kraju. Dotychczasowe życie wiodła bowiem – jako córka dyplomaty – w odległych zakątkach świata: w RPA, Korei Południowej, Indiach.

„Bram raju” Jerzego Andrzejewskiego; te drugie Luiselli zna dzięki przekładowi wielkiego meksykańskiego pisarza i tłumacza Sergia Pitola).

Dostajemy też spis zawartości pudeł wiezionych przez rodzinę w bagażniku – układający się w rodzaj mapy inspiracji i wskazówek – a także materiał zdjęciowy. Są akty zgonu uchodźców (najczęściej śmierć z przegrzania), są notatki i cytaty,

wreszcie kapitalne anegdoty, jak choćby ta o mężczyźnie, który oferował latynoskim nieletnim migrantom kursy łaciny i klasycznego metrum, a także zaangażował ich w projekt zbiorowego tłumaczenia na angielski „Don Kichota”, w którym tytułowy bohater nie jest rycerzem, tylko grupą dzieci wędrujących przez pustynię.

Ta powieść każe spojrzeć na pisarstwo Luiselli jako na zaskakująco spójną całość. Jest tak, jakby pisarka najpierw przygotowała sobie literackie instrumentarium, a następnie użyła go do przeprowadzania wiwisekcji na pulsującej rzeczywistości. Od wyniku tego zabiegu – w przeświadczeniu Luiselli – zależy przyszły kształt relacji między Ameryką a krajami Południa. © TOMASZ PINDEL

Na Festiwalu Conrada z pisarką będziemy rozmawiać m.in. o wpływie literatury na relacje między krajami hiszpańskojęzycznymi a USA, a także o losie migrantów, którzy uciekają z ogarniętych przemocą miast Ameryki Południowej. Spotkanie poprowadzi Tomasz Pindel.

Conrad 2021: instrukcja obsługi

TEGOROCZNĄ PRZYGODĘ

festiwalową rozpoczynamy publikacją niniejszego numeru „Magazynu Conrad”, w którym prezentujemy hasło, ideę przewodnią oraz dwóch wybranych gości październikowej edycji. Z powodu niepewnej sytuacji pandemicznej podjęliśmy decyzję, że wydarzenia z programu głównego Festiwalu Conrada odbędą się w internecie w dniach 18–24 października. Zdalna formuła wydaje się rozwiązaniem najbardziej adekwatnym do warunków panujących nie tylko w Polsce, ale też w różnych częściach świata, z których pochodzą nasi goście. Cały program

główny opublikujemy już w czerwcu. Jak co roku przygotowaliśmy dla Państwa również wydarzenia towarzyszące, które ułożymy w kilka pasm, m.in. pasmo branżowe (Kongres Książki), pasmo dla dzieci, Word2Picture i pasmo filmowe. Jeśli sytuacja pandemiczna na to pozwoli, wybrane spotkania z programu towarzyszącego – o którego szczegółach będziemy informować od lipca do października – odbędą się w trybie stacjonarnym z udziałem publiczności. Ale to nie wszystko. Od maja do grudnia, raz w miesiącu (w ostatni czwartek), będziemy Państwu prezentować rozmowy online z wybitnymi pisarkami i pisarzami z całego świata. Za pośrednictwem tego cyklu wydarzeń dodatkowych chcemy umieścić

tegoroczne idee festiwalowe w aktualnych i ważnych dla nas wszystkich kontekstach społecznych. Horyzont tych dyskusji – które poprowadzi dyrektor programowy Festiwalu Conrada Grzegorz Jankowicz – wyznaczy temat edycji 2021, czyli „Natura przyszłości”, w ich centrum zaś znajdzie się twórczość poszczególnych gości.

Zacznijmy od spotkania z **JONATHANEM LEAREM**, amerykańskim filozofem i psychoanalitykiem, z którym porozmawiamy o nadziei radykalnej – o tym, jak żyć i działać w świecie ogarniętym totalnym kryzysem. Gościem drugiego spotkania będzie indyjska pisarka **ARUNDHATI ROY**, laureatka Nagrody Bookera za powieść „Bóg rzeczy matych”, aktywistka, z którą porozmawiamy o sytuacji w Indiach – o tym, jak przemiany

społeczne i kulturowe dokonujące się w jej kraju wpłyną na sytuację geopolityczną świata. Następnymi gośćmi będziemy sukcesywnie zapowiadali w kolejnych miesiącach. Wydarzenia z programu głównego i z cyklu dodatkowego będą dostępne na stronach facebookowych Festiwalu Conrada oraz „Tygodnika Powszechnego”, na kanale YouTube Krakowskiego Biura Festiwalowego i na platformie Play Kraków. Partnerami cyklu comiesięcznego są serwis Lubimyczytać.pl oraz Wydawnictwo Karakter, w którym na początku 2022 r. ukaże się książka zbierająca wszystkie rozmowy uzupełnione o materiały dodatkowe. Zapraszamy Was serdecznie do udziału w tegorocznych wydarzeniach i zachęcamy do lektury książek naszych gości. ©



GEORGE SAUNDERS

(ur. 1958) – amerykański autor opowiadań, eseista i nowelista. Z wykształcenia geofizyk. Jego teksty regularnie ukazują się w „The New Yorker”, „Harper’s” czy „The Guardian”. W 2017 r. jego powieść „Lincoln w Bardo” została wyróżniona Międzynarodową Nagrodą Bookera. Uznawany za jednego z najwybitniejszych twórców współczesnych.

Mistrz brzuchomówstwa

GRZEGORZ JANKOWICZ

**Według Saundersa literatura nie jest wcale zamiast życia,
nie odróżnia się od niego, lecz sprawia,
że to my stajemy się pod jej wpływem inni.**



→ **W** krótkim eseju pt. „Mr. Vonnegut in Sumatra” („Pan Vonnegut na Sumatrze”) z wydanej w 2007 r. książki „The Braindead Megaphone” („Tępy megafon”) George Saunders opisuje swoje pierwsze doznania lekture. Czytać zaczął późno, w zasadzie dopiero po studiach. W wieku dwudziestu trzech lat słowo „literatura” kojarzyło mu się z czymś, co nie ma nic wspólnego z codziennym doświadczeniem. Za wybitne uważał te dzieła, które sprawiały mu lekturowe trudności. Im bardziej nierozumiała powieść, im bardziej hermetyczny wiersz, tym wyższa ranga utworu i tym lepszy pisarz. Literatura jawiła się Saundersowi jako radykalna alternatywa dla rzeczywistości, zwłaszcza że w jego przypadku horyzont życia wyznaczały wówczas dopiero co ukończone studia geofizyczne i praca w specjalistycznym zespole, który stacjonował na Sumatrze.

Czarna skrzynia

Każde cztery tygodnie z sześciu przyszyły prozaik spędzał na indonezyjskiej wyspie, w sercu jej gęstej dżungli, gdzie po wykonaniu obowiązków mógł się wyłącznie nudzić. Żeby przeciwdziałać postępującemu otępieniu umysłu, z krótkich wypadów do Singapuru zaczął przywozić różne książki. Celował w arcydzieła, czyli – wedle jego ówczesnej definicji – wyrafinowane językowo kolumbryny opowiadające o świecie, z którym nie miał żadnych związków. Niespodziewany zwrot nastąpił wtedy, gdy w singapurskiej księgarni trafił na „Rzeźnię numer pięć” Kurta Vonneguta. Wiedział jedynie, że ta wydana w 1969 r. powieść należała do antywojennej klasyki, a zatem – jak sądził – musiała być wybitna, czyli... trudna.

Już lektura pierwszego rozdziału wprawiła Saundersa w osłupienie. Vonnegut w tyleż niezobowiązujący, ile przejmujący sposób relacjonował problemy, które towarzyszyły mu podczas pracy nad książką. Swobodnie wplatał w tkanę powieści wątki niezwiązane – przynajmniej na pozór – z głównym tematem. Na dodatek posługiwał się potoczną angielszczyzną. Jego krótkie i proste zdania nie stawiały żadnego oporu. Lektura przypominała udział w zwykłej rozmowie o codziennych sprawach.

A jednak „Rzeźnia...” opowiada o wojennym koszmarze: bombardowaniu

Drezna, którego zjednoczone siły brytyjskie i amerykańskie dokonały w połowie lutego 1945 r., wskutek czego zrównały z ziemią miasto i zabiły – wedle różnych źródeł – od kilkudziesięciu do kilkuset tysięcy osób. Dzięki Vonnegutowi Saunders uświadomił sobie, że literatura, niezależnie od wagi tematu, może odnosić się do doświadczeń czytelnika, a dzięki temu – oddziaływać na niego w bardziej bezpośredni sposób. Nie jest wcale zamiast życia, nie odróżnia się od niego, lecz sprawia, że to my stajemy się pod jej wpływem inni.

Świadectwa żarliwej wiary w transformacyjną moc literatury pojawiają się w wielu tekstach i wywiadach Saundersa. Pisarz z przekonaniem głosi swoje credo, opisując dzieło literackie jako czarną skrzynię (*black box*), do której wchodzimy podczas lektury. Pomieszczenie to przypomina komorę sensoryczną, która pobudza wszystkie zmysły, co ma wpływ na nasz sposób odczuwania, przeżywania, myślenia i w ostateczności również działania. Po odłożeniu książki na półkę wszystko się zmienia, a przynajmniej powinno, nie ma bowiem gwarancji, że między danym dziełem i konkretnym czytelnikiem dojdzie do pożądanego „spięcia”.

Odkrycie, którego Saunders dokonał w sumatrańskiej dżungli, pozornie banalne, pozwoliło mu stworzyć jeden z najoryginalniejszych projektów literackich ostatnich kilkudziesięciu lat, na który składają się cztery tomy opowiadań, dwa zbiory esejów, nowela, książka dla dzieci, garść reportaży oraz powieść. Używam słowa „projekt”, gdyż dla amerykańskiego prozaika pisanie jest aktywnością wieloetapową i polega na odkrywaniu tego, co inaczej pozostałoby niedostępne. Saunders uważa, że gotowa opowieść znajduje się w jego nieświadomości, z której zostaje wydobyta, ale w niekompletnej postaci. Jakby autor dostał wybrakowane puzzle i musiał uzupełnić układankę, nie znając wzoru, który wszelako cały czas nosi w sobie.

Ile trwa taki proces? Raz kilka dni lub tygodni, innym razem miesiące, a nawet lata. Opowiadanie „Dziewczęta Semplici (dziennik)” ze zbioru „10 grudnia” (wyd. oryginalne 2013, wyd. polskie 2016, tłum. Michał Kłobukowski) powstawało kilkanaście lat. Pisarz mozolnie dodawał kolejne części, by następnie niektóre z nich usunąć lub zmienić ich pozycję. Koń-

cowy efekt wydaje się dziełem kogoś, kto tworzy ze zwinnością prestidigitatora.

W prozie Saundersa ważne jest wszystko: i sposób, w jaki opowiada się daną historię, i jej temat. Ale po wejściu do czarnej skrzyni tekstu w pierwszej kolejności oddziałuje na nas Saundersowy język. Pisarz ma nadzwyczajny dar mieszania ze sobą różnych rejestrów mowy i naśladowania głosów. Jest niczym brzuchomówca, który kreuje oszałamiającą iluzję polifoniczności. Jego utwory przypominają gwarne bar, którego bywalcy cały czas prowadzą mniej lub bardziej zobowiązujące rozmowy pełne ironii i humoru, nieustannie się przy tym przekomarzając i przekrzykując. Jednak czytelnik nie czuje się zagubiony. Może na początku, przez chwilę. Ale po kilku akapitach, w najgorszym wypadku po paru stronach, okazuje się, że opowieść prowadzona jest w niezwykle konsekwentny, choć zaskakujący sposób, że poszczególne głosy wcale sobie nie przeszkadzają, lecz łączą się jak szczęśliwie sparowane puzzle. Nabieramy pewności, że wszystko zmierza w określonym kierunku. Potrafimy wskazać stawkę prowadzonej przez autora gry, nie wiemy jednak – i to do samego końca – jaki będzie jej wynik.

Praca to nie wszystko

Saunders często opowiada o licznych zawodach, które wykonywał w swoim życiu. Tworzenie literatury zajął się, jak wspominałem, stosunkowo późno. Zanim zaczął uczęszczać na kurs kreatywnego pisania organizowany przez Syracuse University, zanim w 1996 r. zatrudnił się na tej uczelni jako wykładowca, jego „kariera” rozwijała się w dość burzliwy i chaotyczny sposób. Na Sumatrze prowadził badania wstrząsów sejsmicznych. W USA pracował w firmie farmaceutycznej i w korporacji zajmującej się inżynierią środowiskową. Zdarzało mu się dorabiać jako portier, dekarz, sprzedawca i pracownik rzeźni. Wszystkie te doświadczenia miały wpływ na jego literaturę, ze wszystkich do dziś czerpie inspirację, stanowią ważne zaplecze jego działalności artystycznej. Przesadą byłoby stwierdzenie, że bez nich nigdy nie zostałby pisarzem, ale trudno polemizować z opinią, że bez nich nigdy nie zostałby takim pisarzem.

Bohaterowie Saundersa wywodzą się najczęściej z amerykańskiej klasy pracującej. To mieszkańcy mniejszych (rza-



ESCHCOLLECTION / GETTY IMAGES

dziej większych) miast, w których wiodą przyziemną egzystencję. Jedni sumiennie wykonują powierzone im obowiązki, nie kwestionując poleceń i ukrywając głęboką frustrację (lub w ogóle sobie jej nie uświadamiając), drudzy wypadają z systemu na skutek jakiejś „awarii”, ale poza granicami instytucji czują się jeszcze bardziej zagubieni. Są i tacy, którzy próbują system ograć, ale zazwyczaj im się to nie udaje, a nawet jeśli zyskują chwilową przewagę nad instytucjonalnymi maszynami, które wcześniej miały ich umysły oraz ciała, to i tak wolność dostępna

jest im niemal wyłącznie przez samo-unicestwienie.

Autor nigdy nie pozwala, by postaci te stały się nam – czytelnikom – obojętne. Konsekwentnie przedstawia destrukcję, którą na nasze życie sprowadza korporacyjny i kognitywny kapitalizm. Zawsze stoi po stronie jednostki – nawet wtedy, gdy jej działania powiększają skalę zniszczeń – jako winnego wskazując system. Interesują go mechanizmy perswazyjne, które oddziałują na naszą świadomość i kształtują ją zgodnie z oczekiwaniami rynku.

W tym kontekście znamieny jest tytuł jego trzeciego (wydanego w 2006 r.) zbioru opowiadań: „In Persuasion Nation” („Naród urobiony”; dosłownie: „W perswazji naród”, naród w stanie perswazyjnego wzmożenia, opętany ideą perswazji i przez nią zniewolony). Według Saundersa jednostka, grupa zawodowa, wreszcie społeczeństwo podlegają procesom urabiania we wszystkich znaczeniach tego słowa: wmawia się nam różne rzeczy, stymulując oczekiwania i pragnienia, zachęca się nas do podejmowania określonych aktywności, ➔

→ przekonując, że przyniosą coś dobrego, choć ich skutki często bywają negatywne dla naszego życia lub kondycji planety, podlega się nas do nienawiści wobec określonych ludzi, przedstawiając ich jako wyznawców abstrakcyjnej, ale zagrażającej nam siły, etc. Jesteśmy traktowani jak masa plastyczna, z której każdego dnia lepi się proste kształty zaprojektowane przez algorytmy. Dramat polega na tym, że niektórym te kształty się podobają, a przynajmniej zmuszeni są tak mówić.

Zbiór otwiera opowiadanie pt. „I CAN SPEAKTM” („POTRAFIĘ MÓWIĆTM”). To list niejakiego Ricka Sminksa, przedstawiciela działu serwisowego firmy KidLuv, która oferuje wyjątkowe urządzenie do porozumiewania się z niemowlakami. Po założeniu dziecku specjalnej „maski” można odbierać od niego pełnozadaniowe komunikaty. Adresatką jest jedna z klientek, Ruth Faniglia, która postanowiła zwrócić urządzenie. Oczekiwała, że instrument będzie tłumaczył gaworzenie dziecka na zrozumiałe dla niej zdania. W rzeczywistości jednak rejestrował jej słowa, przetwarzał je, a następnie konstruował sygnały językowe, które symulowały właściwą komunikację. Rick próbuje przekonać Ruth, by nie rezygnowała z oferty KidLuv, dając jej do zrozumienia, że – by tak rzec – wylewa dziecko z kąpielą, a jego naraża na utratę premii.

Firma kieruje się systemowym założeniem, zgodnie z którym to, co niezrozumiałe, jest groźne, bo nie można z tego zrobić użytku. Gaworzenie dziecka jawi się jako bezsensowne. Percypowane przez rodziców zbyt długo może doprowadzić do sytuacji, w której ich wytresowane umysły przestaną działać według programu wtłaczanego przez marketingową perswazję. Należy zatem przesłonić kłopotliwy element rzeczywistości. Służy do tego urządzenie I CAN SPEAKTM, które tworzy rodzaj językowego bąbla, narcystycznego lustra akustycznego: rodzic wypowiada zdania, które mają dla niego określoną wartość, a następnie odbiera od dziecka te same słowa w lekko przetworzonej formie. Daje mu to złudzenie porozumienia z niemowlakiem, choć tak naprawdę cały czas rozmawia z samym sobą. Klientka nie dała się nabrać – przynajmniej jeszcze nie – ale proces pozorowanej komunikacji obserwujemy na przykładzie pracownika KidLuv, który zachwala kolejne – udoskonalone – modele

■ Saunders ma nadzwyczajny dar mieszania ze sobą różnych rejestrów mowy i naśladowania głosów. Jest niczym brzuchomówca, który kreuje oszałamiającą iluzję polifoniczności.

urządzenia. To on jest bezradnym dzieckiem, które cały czas pilnie wsłuchuje się w „korporacyjny megafon” i powtarza nadawane przez niego treści.

W tytułowym esej z książki „Tępy megafon” Saunders przedstawia prostą i sugestywną analizę modelu publicznej komunikacji: kto ma megafon, ten jest słyszany i słuchany. Nie dlatego, że ma coś ważnego do powiedzenia, lecz dlatego, że dysponuje głośnym medium. Jeśli chcemy przeżyć, musimy odłączyć się od megafonu. Problem w tym, że życie bez megafonu wydaje nam się niemożliwe („jeśli nie ma mnie u źródeł komunikacji, to znaczy, że nie istnieje”).

Kryzys życzliwości

Widać wyraźnie, że Saunders nie poprzestaje na krytyce, lecz stara się również wskazywać środki zaradcze. Wszehobecna u niego ironia służy jako nośnik refleksji etycznej, nienachalnej i wiarygodnej, bo podejmowanej przez kogoś, kto na własnej skórze doświadczył wyniszczającego wpływu korporacyjnego kapitalizmu, a walkę z nim prowadzi za pomocą eksperymentalnej prozy, w której nic nie jest oczywiste, w której każde zdanie pobudza do myślenia i zmiany.

Pierwszą książkę – wydany w 1996 r. zbiór opowiadań „CivilWarLand in Bad Decline” („Ziemia Wojny Secesyjnej w sromotnym upadku”) – Saunders napisał jako pracownik amerykańskiej firmy. Przez jakiś czas – jak zauważa Kasia Boddy – stosował tzw. strategię peruki. Tym mianem francuski historyk Michel de Certeau, który zajmował się analizą naszych codziennych praktyk, określił działania polegające na wykorzystywaniu zasobów zatrudniającej nas instytucji do prywatnych celów. Saundersowi zdarzało się pisać w firmowej toalecie, ukradkiem poprawiać opowiadania podczas

firmowych zebrań i drukować je później na firmowej drukarce. Wykradał chwile i wydrapywał sobie odrobinę wolnej przestrzeni. Był to rodzaj ucieczki. Co prawda cały czas znajdował się w biurze, obok koleżanek i kolegów, ale mentalnie był gdzie indziej, co miało zbawienno wpływ na jego zmysły i psychikę, a poprzez jego literaturę – na zmysły i psychikę innych, czyli czytelników.

Na długiej liście destrukcyjnych skutków kapitalizmu znajduje się m.in. paraliż emocjonalny. Saunders poświęca temu zagadnieniu dużo uwagi, wręcz obsesyjnie powracając do niego w opowiadaniach i esejach. Urobienie społeczeństwa polega również na tym, że jednostki zostają ograbione ze zmysłowości i nie mają dostępu do swoich uczuć. Emocjonalne ograniczenia – nabyte, a nie naturalne – odcinają nas od zewnętrznego świata. Według Saundersa przechwycenie przez system naszych zmysłów skutkuje blokadą mentalną, uwięzieniem empatii i biernością w obliczu cierpienia innych.

W 2013 r. pisarz wygłosił mowę skierowaną do absolwentów kursu kreatywnego pisania organizowanego przez Syracuse University (została wydana pt. „Congratulations, by the way”, czyli „A tak w ogóle, to gratulacje”). Wyznał w niej, że odczuwa głęboki żal na wspomnienie wszystkich sytuacji, w których zachował się wobec innych nieżyczliwie. Życzliwość (*kindness*) jest dla niego jedną z największych wartości i środkiem zaradczym. Już w esej o Vonnegucie pisał, że dzięki literaturze autor „Rzeźni numer pięć” zdołał się uporać z traumatycznym doświadczeniem wojny, do której doprowadził społeczny kryzys wrażliwości i życzliwości. Potrzebujemy opowieści, potrzebujemy tych czarnych skrzyń, by zmienić swój sposób odczuwania, myślenia i działania, by odnieść się do innych empatycznie i okazać im życzliwość (to ona jest celem, to dzięki niej może dojść do przekształcenia relacji społecznych). Jakkolwiek górnolotnie i naiwnie to brzmi, literatura Saundersa zasilana jest energią płynącą z tego elementarnego przeświadczenia.

Wydany w 2000 r. zbiór „Pastoralia” („Sielanki”) zamyka opowiadanie zatytułowane „The Falls” („Wodospady”), w którym poznajemy skompresowaną do kilku kluczowych informacji historię dwóch mężczyzn. Obaj mieszkają w niewielkiej miejscowości w pobliżu rzeki Taga-

nac (nazwa brzmi znajomo, ale Saunders nie dookreśla geograficznych koordynat, więc pozostają nam domysły). Morse ma rodzinę, z którą mieszka w małym, wynajętym domu. Prowadzi senny żywot, tak nudny, że mimo przeszło czterdziestu lat na karku wciąż zdarza mu się rozpamiętywać wydarzenia z czasów szkoły. Ma poczucie życiowej porażki. Aldo Cummings jest nieco młodszy, wciąż mieszka z matką, nie pracuje i uważa się za pisarza, a swoje artystyczne powołanie manifestuje ekscentrycznym zachowaniem.

W tej samej chwili z różnych miejsc obaj dostrzegają na rzece czołno, w którym znajdują się dwie dziewczynki, siostry, za małe, by poradzić sobie z niestęrową pirogą, znoszoną przez rwący prąd w stronę tytułowych wodospadów. Uratowanie dzieci graniczy z niemożliwością, gdyż nurt jest naprawdę niespokojny, a umiejętności pływackie bohaterów marne. Próba dopłynięcia do czołna musiałaby się zakończyć śmiercią ratownika. Ale innej pomocy nie sposób zorganizować (za mało czasu), a w środku są dzieci! Czy można stać i patrzeć, jak płyną na zatratę? Cummings nie jest w stanie ruszyć z miejsca. Morse wskakuje do wody.

Literacka empatia

Na początku Saunders posługiwał się wyłącznie narracją pierwszoosobową. Jego wczesne opowiadania to bez wyjątku monologi, dzięki którym zyskujemy dostęp do – storpedowanej przez środki masowego przekazu – świadomości bohaterów. Z czasem jednak pisarz zaczął stosować chwyt, który krytycy nazywają trzecioosobowym bruchomówstwem. Polega on na takim prowadzeniu narracji, by możliwe było „przełączanie się” między umysłami poszczególnych postaci. One same odnoszą się do siebie wyłącznie z wnętrza własnych świadomości, oglądają świat i innych przez filtry zanieczyszczone stereotypami i uprzedzeniami. Czytelnik natomiast może się do każdej z tych postaci zbliżyć, może poznać jej motywacje, usłyszeć jej wewnętrzny głos, zorientować się w jej odczuciach, zrozumieć, dlaczego zachowuje się w taki, a nie inny sposób.

Marie, bohaterka opowiadania „Szczeniak” z tomu „10 grudnia”, wybiera się samochodem z dwójką dzieci do gospodarstwa leżącego w samym sercu Midwestu. Po drodze mijają pola kukurydzy, które kojarzą się jej z nawiedzonym domem

■ Pisarz przekonuje, że potrzebujemy opowieści, by zmienić swój sposób odczuwania, myślenia i działania, by odnieść się do innych empatycznie i okazać im życzliwość.

(Saundersowi wystarczy jedno zdanie, by zaprezentować kształt świadomościowej bańki, w której zanurzona jest postać: z jednej strony stereotypowy obraz Midwestu jako najbardziej zacofanego regionu USA, z drugiej – kukurydziarń jako scenografia horroru spod znaku Stephena Kinga). Jadą po szczeniaka, którego chce oddać jakaś rodzina mieszkająca na tych terenach.

Na miejscu zastają pogrążoną w skrajnej nędzy grupę ludzi, brudny dom i przywiązane do drzewa niepełnosprawne dziecko. Marie jest wstrząśnięta. Postanawia, że nie weźmie psa, bo nie chce mieć z tym wszystkim nic wspólnego. Po powrocie do miasta zamierza skontaktować się z opieką społeczną, by zrobić tu porządek. Bohaterka nie wie tego, co wie czytelnik: zgodnie z panującym na farmie zwyczajem nadmiarowe zwierzę to kłopot, bo nie ma pieniędzy na jego wyżywienie. Szczenięta się topi. Tym razem jednak rodzina z Midwestu postanowiła postąpić inaczej. Matka dała ogłoszenie, że pieska można kupić. Gdy Marie poinformowała ją, że rezygnuje, chciała go oddać za darmo, byle ocalić. Pomiędzy światami, które w tym opowiadaniu na chwilę się ze sobą stykają, stoi niewidzialny, ale nieprzepuszczalny mur.

W najradkalniejszy sposób ten odwieczny temat nieudanego spotkania między istnieniami przedstawia Saunders w swojej jedynej – jak na razie – powieści, zatytułowanej „Lincoln w Bardo” (wyd. oryginalne 2017, wyd. polskie 2018, przeł. Michał Kłobukowski). Jej kanwą jest przedwczesna śmierć Williama Wallace’a Lincolna (przyczyną był najpewniej dur brzuszny), dwunastoletniego syna prezydenta USA. Jest drugi rok wojny secesyjnej, waży się losy Stanów Zjednoczonych Ameryki, napięcia społeczne są większe niż kiedykolwiek, a Abraham Lincoln oplakuje śmierć dziecka. Nie

może się z nią pogodzić, dlatego raz po raz wraca na cmentarz i bierze ciało zmarłego w objęcia.

Ile w tym prawdy historycznej (o wizytach w cmentarnej krypcie donosiła ówczesna prasa), ile zmyślenia, nie jest wcale ważne. Istotny jest sposób, w jaki Saunders o tym wszystkim opowiada. Bruchomówstwo, tym razem pierwszoosobowe, staje się w tej powieści podstawową zasadą konstrukcyjną. Narracja prowadzona jest przez uzupełniające się „głosy”, które należą do dusz przebywających w tytułowym Bardo (to pojęcie z tybetańskiego buddyzmu, które oznacza stan pomiędzy śmiercią a powtórным wcieleniem). Poza tym dostajemy wypisy z prawdziwych i fikcyjnych źródeł historycznych, za pomocą których autor rekonstruuje wydarzenia z 1862 r. Dusze nie mogą pogodzić się z własną śmiercią (dlatego tkwią w Bardo), przekonują się nawzajem, że są tylko chore i niebawem powrócą do domu. Lincoln nie może pogodzić się z utratą dziecka, nie potrafi rozpocząć żałoby, jest sparaliżowany bólem. A chwila zmusza go do działania. Podzielony naród, którego część wciąż upiera się przy niewolniczym wyzysku bezbronnych, potrzebuje przewodnika. Kontynuować wojnę czy ją zakończyć? Znieść niewolnictwo od razu czy jeszcze zaczekać? Na te pytania musi odpowiedzieć powieściowy prezydent.

Lekcję Saundersa już znamy. Choć lubię niemal wszystkie jego książki, muszę przyznać, że w żadnym innym jego dziele lekcja ta nie została zainscenizowana w równie poruszający i przekonujący sposób. Doświadczenie utraty rozciąga duszę Lincolna, sprawia, że staje się ona bardziej pojemna, dzięki czemu prezydent może poczuć cierpienie innych i podjąć decyzje, które położą temu cierpieniu kres. A co z nami? Co my możemy/powinniśmy zrobić? W tym wszystkim chodzi chyba o to, by nasza „dusza” – odmieniona lekturą Saundersowego arcydzieła – już nigdy się nie skurczyła, a nasze otwarte oczy nie tylko patrzyły, ale też widziały. ©© GRZEGORZ JANKOWICZ

Na Festiwalu Conrada będziemy rozmawiać z pisarzem o krytycznym potencjale literatury oraz sposobach walki z destrukcyjnymi mechanizmami społecznymi i politycznymi. Spotkanie poprowadzi Grzegorz Jankowicz.

ŻYCIE PEŁNĄ GĘBĄ

Prawo do sielanki,
któremu hołduje Robert Makłowicz,
jest czymś niezwykle rzadkim
w polskiej kulturze.
Jak nikt podważa on przekonanie,
że przeznaczeniem inteligenta jest
tylko cierpka zaduma.

SEBASTIAN SMOLIŃSKI



BOGDAN KRĘŻEL / FORUM

■ **25 marca 2020 r.** pandemia koronawirusa zaczyna być w Polsce trochę bardziej znośna: Robert Makłowicz zamieszcza na autorskim kanale na YouTube pierwszy film. Czyta fragment własnej książki „Café Museum”, siedząc wygodnie w wiśniowym fotelu. Na stoliku – bukiet tulipanów i smukła szklanka z piwem.

Makłowicz jest zawsze w ruchu. Często maszeruje swobodnym krokiem w kierunku kamery, zaczynając gawędę, w której historia przenika się z ciekawostkami o jedzeniu i lokalnej geografii. Nawet jeśli po prostu stoi – przy jednej z kuchennek polowych, które zjawiają się w nieoczekiwanych momentach, niczym pomocne skrzaty – gestykulacja i żywiołowy temperament przenikają całe jego ciało.

Nie za bardzo potrafi usiedzieć w jednym miejscu, krząta się między piekarnikiem a patelnią, zaciska pięści w ekscytacji, musi wszystkiego dotknąć i spróbować. Jako kucharz jest niepozornym generałem, zwierzchnikiem jednoosobowego wojska, w którym obowiązuje reżim przyjemności. Jak to się stało, że blisko 60-letnia była gwiazda telewizji publicznej przeżywa właśnie drugą młodość, docierając do setek tysięcy Polaków i skutecznie, choć bez wysiłku, unikając etykietyki dziadka?

Wspaniała izolacja

■ **11 kwietnia 2020 r.** Makłowicz umila Wielkanoc sobie i nam: piecze strudel z twarogiem. Każdą z kilku warstw cieniutkiego ciasta smaruje roztopionym masłem. Po zawinięciu rolady twaróg wychodzi bokami – kucharz z satysfakcją obлизuje umoczone w nadzieniu palce. Na koniec nakłada na ciasto ostatnią porcję masła.

Kanał Makłowicza był na początku poradnikiem dla rodaków zamkniętych w czterech ścianach. Kucharz, jak zawsze praktyczny i zaradny, pokazywał, jakie pyszności można zrobić z resztek zachomikowanych na półkach. Mimo że nie wszystkie wyszperane przez niego specjały kojarzą się z wartością przeciętnej polskiej zamrażarki („Co ja miałem? No, miałem udziec jagnięcy”), myśl Makłowicza była bezpretensjonalna i budująca: wykorzystajmy przymusową izolację na dogadanie podniebieniom naszym i naszych bliskich.

Dbłość o kubki smakowe to stały element jego filozofii, coś, co nie zmieniło się od dekad. W tytułowym felietonie ze zbioru „Czy wierzyć platynowym blondynkom?”, napisanym w 1993 r., ówczesny krytyk kulinarny „Gazety Wyborczej” zawarł po wizycie w restauracji takie oto wyznanie: „Więcej zjeść już naprawdę nie mogłem. Spłukałem usta włoskim winem, było mi dobrze. W du-

chu gorąco modliłem się do bożka konsumpcji, by Lepper i Wrzodak nie wygrali wyborów”.

Umiar, rozsądek, jedzenie jako li tylko paliwo do działania – to nigdy nie były dla Makłowicza priorytety, choć na przestrzeni lat rozpasany łakomczuch ustąpił miejsca smakoszowi, który potrafi cieszyć się z małych rzeczy. W tym samym marcu 2020 r. towarzyszyliśmy mu, kiedy z kukurydzy w puszcze usmażył tajske placuszki. Kilka dni później upichcił spaghetti *aglio olio e peperoncino* – skromne, lecz smakowite danie z pikantnymi papryczkami i szczodrą porcją oliwy.

Pierwsze tygodnie Makłowicza w internecie to także czas wypróbowywania nowej formuły. Bliższe 20 lat pracy w TVP uformowało w nim profesjonalne nawyki, ale nie odebrało spontaniczności i zaraźliwej energii. YouTube to inna para kaloszy: pandemiczne nagrania z krępkim kucharzem mają luźniejszą formułę, brak w nich sztywnego formatu. Zdarza się, że druga kamera wejdzie w kadr, a sam Makłowicz nie jest pewien, w który obiektyw spojrzeć. Forma tych domowych nagrań bulgocze i pulsuje jak szykowana przez naszego bohatera grecka zupa cytrynowa.

C.K. Makłowicz

■ **12 czerwca 2020 r.** Makłowicz zabiera nas w podróż samochodem do Dalmacji. Widać wyraźnie, że pomimo obustrzeń i częściowo pozamykanych granic wyjazd daje mu zastrzyk nowej energii. Na miejscu, z lampką domowego czerwonego wina w ręce, zwraca się do widzów: „Dzięki wam mam już przeszło sto tysięcy subów”. Do Polski wróci kilka miesięcy później, wcześniej przyrządzi nad Adriatykiem m.in. ośmiornicę.

Makłowicz jest, owszem, obywatelem świata, ale świata specyficznego – takiego, który nie istnieje już od ponad wieku. Z deklarowanego wciąż przekonania jest C.K. Makłowiczem: dumnym mieszkańcem Austro-Węgier. Nie wiadomo, na ile poważnie brać jego wyznanie o tym, że jest monarchistą, ale opisując swoją rodzinę wspomina i o babci, która „po mieczu była Węgierką”, i o drugiej, która była „stuprocentową Ukrainką”. Dodajmy do tego korzenie polskie, ormiańskie i austriackie, a otrzymamy chodzącą reklamę Europy Środkowej i jej płynnej tożsamości, w której przenikają się tradycje, obrządk i języki.

W niedawnej rozmowie z Magdą Mołek kucharz fantazjował, ile „obywatelstw” zyskałby przy okazji ewentualnego paszportu od Franciszka Józefa (oprócz wspomnianych: „czeskie, słowackie, włoskie, rumuńskie, serbskie...”). W swoich książkach kulinarnych odwołuje się do marzenia o Europie, która nie ma granic innych niż te wyznaczone przez góry, rzeki i charakterystyczne mieszanki przypraw.



→ Nie tyle więc Polska od morza do morza, ile Mitteleuropa od Bałtyku po Śródziemnomorze. Makłowicz to na pierwszy rzut oka postać rodem z Sienkiewicza, skrzyżowanie małego rycerza, czyli Wołodyjowskiego, z dogadzającym sobie Zagłobą (ale bez cienia sarmackiej ignorancji i warcholstwa). Jeśli jednak spojrzeć na okładkę „C.K. kuchni” z 2015 r., to ujrzemy promieniejącego autora w mundurze austro-węgierskim i z kajzerką zamiast orderu, salutującego niczym wojak Szwajk na plakatach adaptacji powieści z lat 50.

W ostatnich miesiącach internauci robią z Makłowicza bohatera narodowego, maskotkę Polaków wyżymany przez pandemiczne smutki i nudę, ale on sam pewnie wzdygnąłby się na takie etniczne zaszufładowanie. Rozpięty między ongiś galicyjskim Krakowem a uroczym zakątkiem Chorwacji, zaczytany w prozie Josepha Rotha, jest przybyszem z odległych czasów, które w jego programach ożywają, spowite aurą nostalgii i bogatego dziedzictwa.

Filozofia sybaryty

■ **5 marca 2021 r.** wyraźnie podniekcytowany Makłowicz cieszy się, że zdążył na prom do Szwecji, gdzie zrealizuje kilka kolejnych odcinków programu. Wcześniej, po powrocie z Dalmacji, nie przestał wałęsać się po kraju. Odwiedził m.in. Mazowsze, Poznań, Beskid Wyspowy i Miłosław.

Makłowicz widzi w kajzerce nie tylko łącznik z wiekiem XIX, ale też najkrótszą definicję jedzenia jako niezbywalnej ludzkiej potrzeby i przyjemności. Na promie lub w hotelu, bez rynsztunku w postaci łyżek, garnków i luksusowych ingrediencji, rozkoszuje się samym dźwiękiem chrupiącego pieczywa, który zwiastuje czekającą za rogiem konsumpcję. Śniadania Makłowicza są wzorcowo wstrzemięźliwe (kawa, jedno jajko, tyci rogalik), ale pozostałe posiłki muszą już być na bogato, z dodatkami, bez liczenia kalorii i sprawdzania gramatury.

Nie wiem, czy Makłowicz jest dobrym kucharzem. Nie miałem szansy skosztować jego dań, a do filmów o gotowaniu podchodzę z pewnym sceptycyzmem. Wiem jedno: nikt w polskiej kulturze ostatnich dekad nie rozwinął pełniejszej i bardziej przekonującej filozofii sybaryty.

Ślady stylu życia, którego Makłowicz jest królem i mimowolnym propagato-



Hodowany przez wiele
sezonów brzuszek
**to dla kucharza
pieczęć wiarygodności:**
wszystko, co przyrządza
i o czym mówi, zostało przez
niego zjedzone.

rem, rozsiane są po jego twórczości literackiej, programach telewizyjnych i medialnych wypowiedziach. Dopiero zaskakująca kariera youtubera, rozwinięta w bardzo szczególnym klimacie politycznym i kulturowym, uczyniła z niego kogoś więcej niż zabawnego, gotującego na ekranie celebrytę. Makłowicz uśmierza nasze lęki i odpowiada na skrywane potrzeby. Wciela w życie hedonistyczny ideał, w którym uciechy ciała łączą się z intelektualną stymulacją; smakowym uniesieniem towarzyszy radość z czasu spędzonego z bliskimi. Jest to rzecz nie do podrobienia – etyczne i egzystencjalne stanowisko, którego nie da się przekonywać udawać przed kamerą.

Dopowiedzmy, że prawo do sielanki, któremu hołduje Makłowicz, jest czymś niezwykle rzadkim w polskiej kulturze. Ślady takiego myślenia znajdziemy we fraszkach Kochanowskiego (z silnym komponentem wanitatywnym) i pismach Reja, we fragmentach komedii Fredry i polskim kinie przedwojennym. Choć w filozofii sybaryty nie chodzi o to, by usunąć z pola widzenia doświadczenia tragiczne i rozdzierające, to tym, którzy chcą czuć się dobrze, często zarzuca się eskapizm – brak woli, by dźwigać na własnych barkach ciężary doczesności. Wyjątkowość Makłowicza jako figury pandemicznego ukojenia zawiera się w tym, że swoim życiem w mediach społecznych podważa forsowane przez polskich inteligentów przekonanie, że przeznacze-

niem refleksyjnego człowieka jest ciągła cierpka zaduma i pochylanie się nad problemami ludzkości.

Na antypodach światopoglądu kucharza znajduje się np. Krzysztof Zanussi, moralista i krytyk współczesności, który także rozkręca w lockdownie własnego wideobloga. Zapytany w jednym z ostatnich wywiadów o to, co dzisiaj czyta i ogląda, reżyser odpowiada: „Nic, co mieści się w terminie »eskapizm«. Dzisiaj nie warto uciekać, lepiej drążyć w głąb. Sięgam na przykład po filmy Bergmana”. Nie sugeruję, że Makłowicz zaszachowałby repertuar Zanussiego Emirem Kusturicą i Jiřím Menzlem, ale mam wrażenie, że zamiast marszczyć brwi podczas seansu „Siódmej pieczęci”, otworzyłby kolejną butelkę wina i sprawdził, jak tam ma się zachód słońca w Dalmacji.

Pielęgowanemu przez polski rząd nacjonalizmowi Makłowicz przeciwstawia miłość do innych kultur. Modzie na radykalną ascezę i opresyjne normy zdrowego życia – rozsądną rozrzutność i konsumpcję bez wyrzutów sumienia. Przypominający koalę i dobrodusznego, ciągle je na naszych oczach łapczywie, bez zachowania *decorum*, z satysfakcją wygłodniałego urwisa.

Hodowany przez wiele sezonów brzuszek, zaokrąglający jego posturę i nadający jej rys hobbita, to zarazem dla kucharza pieczęć wiarygodności: wszystko, co przyrządza i o czym mówi, zostało przez niego zjedzone. Nie jest przy tym samolubny. W jednym z chorwackich odcinków woła do stołu kamerzystę („Andrzejku, odłóż kamerę, błagam, jemy, jemy!”) – owoce morza najlepiej smakują z przyjaciółmi.

Emfazy i zdrobnienia

■ **16 kwietnia 2021 r.** ma premierę ostatni jak dotąd film na kanale Makłowicza: „W drodze na Podlasie”. W Mościbrodach zwiedzamy XIX-wieczny dworek, przyrządzamy sznycle z indyka i próbujemy lokalnych wędlin. Pod koniec odcinka trafiamy na Górę Grabarkę, na której kucharz wygłasza apoteozę wieloetnicznej i wielowyznaniowej dawnej Rzeczypospolitej. Subskrybują go już 342 tysiące użytkowników YouTube’a.

Fenomen Makłowicza i jego tzw. me- miczny potencjał – łatwość, z jaką internauci produkują obrazkowe żarty z jego

osobą i montują filmiki celebrujące wypowiedzi kucharza – wiąże się nie tylko z jego słabością do wygodnego życia. Pojdźcie do języka i specyficzny warsztat mówcy, jakim może poszczycić się Makłowicz, czynią z niego markę niemożliwą do naśladowania.

Krakowianin mocno wierzy w deklinację i piękną polszczyznę, choć, jeśli przyłożyć do niego standardy profesora Miodka, stanowczo nadużywa zdrobnień. Doprawia potrawy „dla smaczku”, zachwyca się „kindziuczkami”, a na śniadanie czeka na niego „croissancik” – i akcentuje wyrazy z niespotykaną emfazą. Jest w tej skali mini głębokie uczucie do świata ożywionego i nieożywionego (w jednym z epizodów głaszcze kierownicę samochodu ze słowami: „Alfunia się nie psuje – jedzie”). Nawet najbardziej niepozorna przydrożna knajpka, wegetująca w lodówce pasta curry lub kawałek pora może Makłowicza zachwycić i dać mu asumpt do kwiecistej wypowiedzi.

Fraza kucharza łączy też słowa archaiczne z nowszymi, kolokwialne z wysublimowanymi, zdania wielokrotnie złożone i inwersje z celnymi, lakonicznymi stwierdzeniami. Dość powiedzieć, że kultowy komentarz o francuskim buldogu Louisie, „Ależ on żre koperek”, trafił na koszulki. Nic dziwnego – można na nim ćwiczyć polską dykcję. Jako pierwszy obywatel Mitteleuropy Makłowicz wpłata w swoją mowę także zagraniczne słówka. Zagrzewające do podróży *also, avanti, en route* są na porządku dziennym; na Instagramie często gości serbskie *ajde!*

Winegret po polsku

■ 30 marca 2020 r. w odcinku „Arcyważna kanapka z jajkiem” Robert Makłowicz podkreśla: „Nie znoszę sałatki jarzynowej”.

Trwa moda na Makłowicza: mnożą się kampanie promocyjne, spotkania i rozmowy z jego udziałem. W sklepach pojawiły się gotowe dania z serii „Makłowicz Menu” (jak pogodzić to z bliskim mu, powolnym gotowaniem posiłków od zera?), w reklamach sieci Virgin Mobile siedzący w pozycji Buddy kucharz jawi się jako bożek #Goodyzmu – czyste dobro, które ma zachęcać do konsumowania usług.

Romans z wielkim kapitałem na razie mu nie szkodzi. Ma zresztą talent do



Jest emisariuszem południowego stylu życia,

w którym zawsze jest czas
na biesiadę, odpoczynek,
wyrzewanie się na słońcu
i wsłuchiwanie
w szum morza.

wychodzenia z niewygodnych sytuacji obronną ręką. Jakim cudem, pomimo mentalnego zanurzenia w przeszłości, słabości do monarchii i braku zaangażowania w politykę, Makłowicz stał się idolem nierzadko postępowej i lewicowej młodzieży?

Jak każda charyzmatyczna postać, Pan Robert z memów jest pełen sprzeczności. Widać to wyraźnie w dwóch kwestiach: jego stosunku do mięsa i braku kompleksów względem Zachodu. Zielona rewolucja i wielkomiejskie konwersje na kuchnię roślinną to jedno z najważniejszych zjawisk społecznych ostatnich lat, nierzadko o charakterze pokoleniowym. Walczący o przyszłość planety dwudziesto- i trzydziestolatkowie zamiast mięsa jedzą coraz częściej tofu, seitan i burgery z buraka. Wywołujący niechęć niektórych przedstawicieli prawicy „rowerzyści i wegetarianie” są postrzegani przez radykałów jako zdrajcy polskiego stylu życia.

Makłowicz, choć jest wszytkożerny i, wnosząc po jego programach, uwielbia mięso, nie pozostaje w tyle. To on poprowadził spotkanie z czołową polską propagatorką kuchni wegańskiej i twórczynią „Jadłonomii” Martą Dymek. Dopasowując się do rozmówczynie, Makłowicz tłumaczy, że jedzenie wołowiny to dla niego rzadkie święto, diagnozuje mylne utożsamianie mięsa z luksusem, wskazuje na w dużej mierze beznamiętną dietę polskich chłopów, od których większość z nas przecież pochodzi, i zaznacza, że

jeśli ktoś z gości jest wegetarianinem, wtedy całą kolację przygotowuje z roślin. Mało lub zbyt zachowawczo? I tak lepiej niż typowy wujek, który w trakcie świątecznego spotkania nie jest w stanie zrozumieć, jak dorosły człowiek może łykać rzęźuchę, zamiast posilać się pieczystym.

Oczywiście, Makłowicz też ma słabości: jego ulubione grzyby to arystokratyczne trufle. Jednocześnie pozbawiony w dużej mierze klasowych uprzedzeń kucharz jest ostatnią osobą, która wyśmiewałaby się z Polaków szykujących w majówkę grilla. Sybaryta zawsze powinien próbować zrozumieć drugiego sybarytę.

Jeśli chodzi o stosunek do „doganiań Europy”, to na obecnym etapie życia Makłowicz wybiera powolny spacer lub przejażdżkę na Bałkany. Jego programy kulinarne w TVP miały posmak potransformacyjnego przybliżania Polakom wielkiego świata i były realizowane, kiedy nie bez wysiłku wchodziliśmy do Unii Europejskiej. Makłowicz nie ma jednak obsesji na punkcie zachodnich standardów i obcy jest mu kulinarny perfekcjonizm.

Porównajmy personę kucharza z Magdą Gessler z „Kuchennych rewolucji”. Jej kariera telewizyjna polega na upominaniu i pouczeniu samozwańczych restauratorów, którzy nie dorastają do wyobrażonego poziomu: nie spełniają europejskich standardów. Jeśli Gessler jest jak upiór z Zachodu, który każe nam robić wszystko lepiej, szybciej i bardziej konkurencyjnie, to Makłowicz jest emisariuszem południowego stylu życia, w którym zawsze jest czas na biesiadę, odpoczynek, wyrzewanie się na słońcu i wsłuchiwanie w szum morza.

Obracanie pracy w zabawę to być może najbardziej podstępna zagrywka Makłowicza – mało kto może pozwolić sobie na pozdrawianie fanów z Dalmacji, mało kto ma w Chorwacji posiadłość z basenem i dostaje od sąsiadów tłoczoną przez nich oliwę. Nikt jednak nie wypomina Makłowiczowi przywilejów, uosabia on bowiem nie wybujałe aspiracje, ale upartą wiarę, że warto robić sobie dobrze.

W końcu, jak przekonuje w jednym z odcinków, jeśli nie macie składników na francuski sos *vinaigrette*, to zróbcie winegret po polsku, z musztardą sarepską, miodem lipowym i olejem rzepakowym. Życie bez snobizmu, zdaje się mówić Makłowicz – byleby ze smakiem.

© SEBASTIAN SMOLIŃSKI



MAREK LASZYK / REPORTER

Pharoah Sanders podczas Summer Jazz Festival Kraków, lipiec 2018 r.

Obietnica śpiewającego niedźwiedzia

KAJETAN PROCHYRA

W środku trzeciej fali pandemii ukazała się płyta, którą krytycy obwołali arcydziełem. „Promises” to spotkanie giganta jazzu Pharoah Sandersa, producenta muzyki elektronicznej Floating Points oraz London Symphony Orchestra.

SIEDEM DŹWIĘKÓW ZAWISA W POWIE-
trzu. Trudno zidentyfikować ich
brzmienie. Słychać klawesyn, organy
– a może preparowany fortepian albo
elektronikę. Na nagraniu brzmi jed-
nak wyraźnie tarcie filcu – odpuszcza-
nie prawego pedału instrumentu, któ-
re tłumi dźwięk. Pharoah bierze do ręki
saksofon. Czekaj. Płyną kolejne siedmio-
dźwiękowe frazy. Jesteśmy tuż przy sak-
sofoniście. Nagranie zapisano jego od-
dech, szmer powietrza ślizgającego się
po stroiku. Saksofon nawołuje, szuka,
rozpoznaje przestrzeń jak nietoperz.

W tle perliście brzmi pianino Fendera
i cała gęsta, a jednocześnie delikatna i pro-
sta faktura dźwięków. Po chwili dołą-
czają smyczki London Symphony Orche-

stra. Wciąż jednak jesteśmy w pudełku,
klitce, w której po ścianach rozchodzą
się dźwięki: zmieniają kolory, połyskują,
rozświetlają się i gasną. A może to halu-
cynacje? Prawdziwy jest na pewno San-
ders. Prawie można go dotknąć. Po kilku
minutach słyszymy też jego głos. „Gidi-
bidi-bidi-bam...” – podśpiewuje. Jazzowa
ikona: syn w trójcy pionierów uducho-
wionego, wolnego jazzu, której ojcem jest
John Coltrane, a duchem Albert Ayler.

Faraon

Sanders to jeden z ostatnich łączników
ze światem jazzu w jego najbardziej kre-
atywnym, a z pewnością najbardziej
magicznym okresie: muzyki powstałej
na fali społecznych przemian Ameryki

lat 60. – ruchów obrony praw człowieka,
walki z segregacją rasową – i wybijają-
cych się na niepodległość państw Afryki.
Jako Farrell Sanders wyjechał za muzyką
z rodzinnego Little Rock, w stosującym
rasistowskie prawa Jima Crowa stanie
Arkansas na południu USA. W Nowym
Jorku bezdomnego Sandersa przygarnął
pod swój dach i ubrał Sun Ra – słynny
ekscentryczny muzyk, który twierdził,
że na Ziemię przybył z Saturna. To wła-
śnie Ra nadał Sandersowi jego przydo-
mek: Pharoah.

Muzyczną bratnią duszę w Sandersie
rozpoznał szybko John Coltrane. 25-let-
niego Faraona słyszymy na późnych pły-
tach ikony jazzowego saksofonu – od
„Ascension” przez uchodzącą za konty-
nuację „A Love Supreme” „Meditations”
i „Kulu Sé Mama” – po kolejne, wyda-
wane już po śmierci Coltrane’a, nagrania
studyjne i koncertowe.

Wśród autorskich płyt Sandersa szcze-
gólnie ważne i porywające są te z prze-
łomu lat 60. i 70. – przepełnione poszu-
kiwaniem innej niż zachodnia duchow-
ności i muzyki. Albumy te zawierają
długie, wypełniające całe strony płyt wi-
nylowych kompozycje-rytuały, jak „The
Creator Has A Master Plan”, „Hum-Al-
lah-Hum-Allah-Hum-Allah” – modlitwa
o pokój, prowadzona przez jodlującego
wokalistę Leona Thomasa, czy utwór-al-
bum „Black Unity”. Muzyka ta jest afir-
macją życia, energii, pasji – spoiwem

między tym, co materialne, a tym, co duchowe. Śpiewne melodie i tętniący rytm przecinają się z natchnionymi, ekspresyjnymi, często pełnymi krzyku, solówkami saksofonu Faraona.

Ostatnią autorską płytę Pharoah Sanders nagrał 18 lat temu. Wciąż jednak koncertował. Kilkakrotnie można go było usłyszeć w Polsce. Osiem lat temu miałem okazję zobaczyć go w Warszawie i było to doświadczenie dość przykre. 72-letni wówczas artysta wchodził na scenę tylko po to, by zagrać kolejne solówki. Po ich zagraniu schodził za kulisy, odpoczywał, zostawiając publiczność pod opieką towarzyszących mu muzyków. Wydawało się wtedy, że czas twórczej aktywności legendarnego artysty dobiega właśnie końca.

Tylko nie techno-Einstein!

Tymczasem w Wielkiej Brytanii muzykę Sandersa w swoje wielogodzinne didżejskie sety wplatał gorliwie Floating Points, czyli Sam Shepherd – wychowany w Manchesterze syn wikarego, doktor epigenetyki oraz DJ i producent muzyki elektronicznej w jednej osobie. Jako dziecko śpiewał w chórze katedralnym w Manchesterze, potem uczył się gry na fortepianie. Jego nauczyciel podsunął mu wtedy pierwsze jazzowe nagrania. Trębacz Kenny Wheeler szybko złączył się w jego wyobraźni z muzyką Siergieja Rachmaninowa, a w pianiście Billu Evansie rozpoznał naturalnego sojusznika Claude'a Debussy'ego.

Jeszcze w szkole, jako DJ na imprezie w sali gimnastycznej, Shepherd postanowił połączyć muzykę house'owego duetu Basement Jaxx z nagraniami... Pharoah Sandersa. Jak później przyznał, nie spotkało się to z większym uznaniem kolegów z klasy. Pasja do jazzu pociągnęła za sobą nałóg kolekcjonera płyt winylowych. W czasie studiów oszczędzał pieniądze, by w wakacje wyjeżdżać do USA. Polował tam na czarne płyty. Dziś jego kolekcja liczy przeszło 10 tysięcy pozycji.

Z własnym płytowym debiutem Floating Points czekał do obrony doktoratu. Specjalizacją Shepherd'a jest epigenetyka, czyli relatywnie młoda dziedzina nauki, zajmująca się badaniem mechanizmów ekspresji genów: analizą, w jakich warunkach dany gen jest aktywny, a w jakich pozostaje bierny. Shepherd porównywał DNA osób, które nie odczuwają bólu, oraz tych, które są na niego szcze-

gólnie wrażliwe. W ten sposób chciał zidentyfikować „wyłącznik” bólu i poznać zasady jego funkcjonowania.

Po obronie doktoratu Shepherd zrezygnował jednak z kariery naukowej na dobre. Dlatego irytują go powracające wciąż pytania dziennikarzy o relacje między jego badaniami a muzyką. „Nie nazywajcie mnie techno-Einsteinem” – prosił, gdy jego debiut „Elaenia” obwołany został jedną z najciekawszych płyt 2015 r.

Za sprawą producenta z założonego przez Davida Byrne'a wydawnictwa Luaka Bop egzemplarz „Elaenii” trafił do odtwarzacza Pharoah Sandersa. Saksofonista wysłuchał nagrania w skupieniu. – Chciałbym kiedyś poznać tego chłopaka – zrecenzował ją lakonicznie. I tak się stało.

Obietnica

„Promises” to trwający 46 minut, dziewięćcioczęściowy utwór na saksofon, orkiestrę smyczkową, instrumenty klawiszowe i elektronikę. Kompozytorem dzieła jest Sam Shepherd. Gra także na fortepianie, klawesynie, czeleście, organach Hammonda i instrumentach elektronicznych. Większość materiału została nagrana już latem 2019 r. w Los Angeles. Do dialogu Floating Points – Pharoah Sanders dograna została następnie – już w reżimie sanitarnym, latem ubiegłego roku – partia smyczkowa w wykonaniu London Symphony Orchestra.

Zespół ten to marka sama w sobie. Orkiestrę prowadzili najwięksi dyrygenci naszych czasów, m.in. Claudio Abbado, Michael Tilson Thomas, Valery Gergiev czy Sir Simon Rattle. Obok repertuaru klasycznego LSO ma w swej dyskografii m.in. nagrania muzyki do „Gwiezdnych wojen” czy serii filmów o Harrym Potterze. W tym kontekście warto wspomnieć inną ich sesję nagraniową: w 1972 r. w studiu przy Abbey Road LSO zarejestrowała utwór „Skies of America” – kompozycję na orkiestrę i saksofon altowy autorstwa innego jazzowego giganta, Ornette'a Colemana.

Jednak „Promises” to w żadnym wypadku nie „trzeci nurt”, próbujący złączyć światy jazzu, filharmonii czy tym bardziej klubowego parkietu. Wyliczanie kolejnych „izmów”, które można by przypisać do tego albumu, wydaje się mało konstruktywne. To muzyczna medytacja z szeroką, wielobarwną paletą dźwięków i dwiema intrygującymi osobowościami:

bliskie, intymne spotkanie budowniczego muzycznych światów z człowiekiem, w którego brzmieniu słysząc pół wieku muzycznych i duchowych poszukiwań.

DJ i radiowy autorytet Gilles Peterson porównał odsłuch „Promises” z pierwszym zetknięciem z „Peace Piece” Billa Evansa, „Music for 18 musicians” Steve'a Reicha i „Are You Going with Me?” Pata Metheny'ego – kompozycjami, które otwierały przed słuchaczami nowe muzyczne nurty. Z „Promises” jest inaczej. To album sam w sobie: prawdopodobnie niemożliwa do powtórzenia na koncercie muzyczna instalacja, stworzona wokół i na miarę Pharoah Sandersa.

Falę uznania dla tego albumu porównałbym raczej do tej, która towarzyszyła kompaktowemu wydaniu „III Symfonii Pieśni Żałosnych” Henryka Mikołaja Góreckiego. Płyta ukazała się 15 lat po premierze dzieła, momentalnie stając się sprzedażowym hitem na skalę globalną. Dzieło – w domyśle – niszowe weszło do światowego kanonu muzyki XX wieku. Znalazło swój czas i swój nośnik – 54 minuty świetnie mieściły się na płycie CD, płynąc z zestawów stereo, wypełniając w latach 90. wnętrza milionów gospodarstw domowych i samochodów wszelkich marek.

Podobnie jest z „Promises”. To także muzyka wtapiająca się w przestrzeń. Nie jest agresywna. Seans z albumem na 45 minut pochłania medialny zgłęb i wypełnia pandemiczną ciszę zamkniętych w domach słuchaczy. Jest intymną podróżą na pograniczu tego, co nowe i retro, organiczne i wypreparowane, między jawą a snem. Autorzy albumu nie udzielają wywiadów – przynajmniej dopóki nie będą mogli zrobić tego wspólnie, w jednym miejscu. Pozostaje nam ich dialog, którego zapis zastąpił tradycyjne płytowe *liner notes*:

„– Sam: Spałeś? Przepraszam. – Pharoah: Nie, nie... Słuchałem... I śniłem... I słuchałem muzyki w mojej głowie... – Sam: Wow... Przepraszam. – Pharoah: Ludzie często myślą, że śpię, podczas gdy ja po prostu słucham muzyki w mojej głowie. Słucham cały czas... dźwięków dookoła. I gram w wyobraźni. A czasem śnię. – Sam: O czym śnisz? – Pharoah: Jestem na statku. Na oceanie. Wokół chodzą niedźwiedzie z cygarami i śpiewają »Mamy muzykę. Mamy to, czego szukasz«”.

I to może jest właśnie ta tytułowa, spełniona obietnica. ©

Wojna w wojnie

PAWEŁ PIENIAŻEK Z KABULU

Modnie ubranego i wygadanego chłopaka spotykam przy salonach gier wideo. Ma przeszkłone oczy, jakby za długo patrzył w ekran. Jak wielu, ucieka w świat, w którym może zapomnieć o wybuchach i biedzie.

LECIMY DUŻYM SAMOLETEM WOJSKOWYM. Najpierw nad morzem, potem nad wyspą. Na pokładzie są 52 osoby. Z Jasinem Hajdarem wcześniej ustalaliśmy na mapie miejsce docelowe. Gdy jesteśmy we właściwym punkcie, wyskakujemy z samolotu. Tniemy w dół z prędkością 230 kilometrów na godzinę. Otwierają się spadochrony i już wolniej zbliżamy się do ziemi. Jesteśmy w Fiskerhus, ale nie tym duńskim. To mała wioska ze skromnymi drewnianymi domkami i pomostami.

Wylądowały tam też inne osoby z przeciwnej drużyny. Musimy szybko zebrać ekwipunek, bo inaczej zginie. Hełmy, kamizelki kuloodporne, plecaki, apteczki, ale przede wszystkim broń i amunicja są tym, czego szukamy. Mamy karabiny. Na pomost wybiega jeden z przeciwników, strzelam do niego, trafia, ale to Hajdari go dobija, drugą osobę też. Zostają po nich skrzynki z zebranym ekwipunkiem. Jestem ranny, kucam i korzystam z zestawu pierwszej pomocy.

Niedaleko nas spada skrzynka zrzucona z samolotu. W niej można znaleźć najlepszy ekwipunek, więc zawsze biegnie do niej dużo ludzi. Łatwo przy niej zginąć, ale ryzykujemy. Niemal natychmiast trafiamy pod ciężki ostrzał. Jesteśmy ranni. Chowamy się w małej budce i szybko próbujemy podreperować nasze zdrowie. Chwilę czekamy. Hajdari mówi, żeby się wycofać. Wybiegamy za budkę, ukrywamy się za skałami i biegniemy na wzgórze. Znowu trafiamy na przeciwników. Tym razem mamy mniej szczęścia. Najpierw ginie Hajdari, potem ja.

W trakcie gry pytam, co słyszał. Hajdari odpowiada, że wczoraj był wybuch w Kabulu. Pod autobus, którym jechali pracownicy Ministerstwa Komunikacji i Technologii Informatycznych, podłożono bombę. Zginęło piętnaście osób.

Zmieniamy temat rozmowy i dalej gramy w „PlayerUnknown’s Battlegrounds”, powszechnie znane jako PUBG.

Poziom 47: noob

PUBG to jedna z najpopularniejszych gier na świecie; dostępna na komputery i konsole, ale najczęściej graczy pobrało ją na telefon. Mobilna wersja została ściągnięta ponad miliard razy od premiery w 2018 r. Prawdziwy boom przeżyła w pierwszych miesiącach pandemii. Należy do gatunku *battle royale*, który jest zainspirowany japońską powieścią z lat 90. i jej filmową adaptacją o tym samym tytule. Film stał się kultową pozycją, która zdobyła uznanie m.in. Quentin Tarantino. Inną inspiracją PUBG była młodzieżowa trylogia „Igrzyska śmierci” i jej ekranizacja.

Gracze – góra setka – spadają w wybrane przez siebie miejsca na wyspie. Sceneria wygląda jak po wybuchu bomby neutronowej. W opuszczonych domach leżą porzucone broń i ekwipunek. Najchętniej wybiera się duże miasta, gdzie od pierwszych sekund toczą się zacięte batalie między – zależnie od trybu – pojedynczymi graczami albo dwu- i czteroosobowymi drużynami. Inni decydują się na rozpoczęcie rozgrywki w bardziej odludnych miejscach, by spokojnie zebrać ekwipunek i dopiero wtedy przystąpić do walki. Nie da się jej uniknąć, bo mapa zmniejsza się co jakiś czas – pierścień zaciska się wokół pozostałych na niej uczestników. Ci, którzy znajdują się poza właściwą strefą rozgrywki, umierają. Obszar zmniejsza się aż do momentu, gdy zostanie przy życiu tylko jeden gracz lub jedna drużyna.

Za udane rozgrywki gracze zdobywają punkty doświadczenia, dzięki którym zdobywają kolejne poziomy. Gdy mówię 20-letniemu Emranowi Sultaniemu, że mam 47. poziom, by pokazać, że nie ma

do czynienia z żółtodziobem, słyszę w odpowiedzi: – O, jesteś noobem!

To pogardliwe określenie na początkującego gracza bez doświadczenia, czyli żółtodzioba.

Poziom 0: regulacje

W grudniu 2020 r. Afgański Organ Regulacyjny ds. Telekomunikacji (ATRA) ogłosił, że PUBG zostaje zabronione w Afganistanie. Na razie tylko teoretycznie, bo bez problemu grę można ściągnąć z internetu i za korzystanie z niej nie grożą żadne konsekwencje. Władze odgrażają się jednak, że za jakiś czas to się zmieni. Jak mówi rzecznik prasowy ATRA Said Szinwari, w 40-milionowym Afganistanie jest 300 tys. użytkowników PUBG. To dużo, biorąc pod uwagę, że nie każdy może sobie pozwolić na smartfona, a drogi internet nie jest w zasięgu każdego mieszkańca. Według różnych danych od 70 do 90 proc. Afgańczyków żyje poniżej progu ubóstwa.

Szinwari wymienia liczne powody, dla których PUBG jako pierwsza i do tej pory jedyna gra trafiła na listę zakazanych: – Jej największym problemem jest wojna. Wojna toczy się też w Afganistanie. Nie chcemy, by nasi nastolatki i młodzież mierzyli się z nią również w świecie wirtualnym. Musimy ich od tego odciągnąć.

Uważa, że gra promuje przemoc. Takie miało być też zdanie ekspertów z różnych



dziedzin, których ATRA poprosiła o opinię. Ponadto część uczonych muzułmańskich, zresztą nie tylko w Afganistanie, uznała, że PUBG obraża islam: w jednym z poprzednich sezonów gry pojawiła się skrzynia z przedmiotami, która przypominała sanktuarium al-Kaba w Mekce. W innym gracze modlili się do totemów, dzięki czemu mogli doznać uzdrowienia lub otrzymać przedmioty.

– Afgańczycy traktują religię poważnie, więc gdy uczeni to powiedzieli, musieliśmy przystąpić do działania – mówi Szinwari.

Skargi na grę mieli też zgłaszać użytkownicy mediów społecznościowych. Ich dzieci i zazwyczaj mężczyźni członkowie rodziny spędzają mnóstwo czasu grając, zamiast pracować czy uczyć się. Zdarzają się gracze wydający duże pieniądze na PUBG. Choć gra jest bezpłatna, to wykorzystuje system mikropłatności. Za prawdziwą walutę kupuje się tę wirtualną, choć nie daje to przewagi w rozgrywce. Ale dzięki niej można nabyć ładniejsze ubrania i ekwipunek, a także skórki na broń i pojazdy. Jak w życiu, fajniej się wygłąda.

Poziom 13: alternatywa

Z różnych powodów PUBG zostało zablokowane w wielu krajach, choćby w Chinach, Indiach, Iranie, Iraku, Nepalu czy Pakistanie. Ale firma Tencent, najwięk-

szy twórca gier wideo w Chinach, stara się iść na rękę władzom w tych państwach. Na przykład szykuje się do wypuszczenia specjalnej edycji w Indiach, spełniającej narzucone przez władze normy. W Chinach, które mają rozbudowaną politykę restrykcyjną w zakresie gier, już od jakiegoś czasu działa „Game for Peace”. To niemal klon PUBG, gdzie nie ma krwi, a zabity gracz nie ginie, tylko zostawia skrzynkę na ziemi, macha ręką i znika z planszy. ATRA chce, by „Game for Peace” było domyślną grą także w Afganistanie, a najlepiej, by powstała gra bliższa afgańskiej kulturze.

– Wespieramy twórców gier w Afganistanie, aby też to zrobili – mówi Szinwari. Gdy pytam, czy jest ich wielu, wzdycha: – Nie ma żadnej gry, która powstałaby w Afganistanie. Twórców gier też praktycznie nie ma.

Jego biuro znajduje się na 13. piętrze Ministerstwa Komunikacji i Technologii Informatycznych, gdzie co chwilę ktoś przychodzi z jakąś sprawą. Szinwari twierdzi, że ATRA nie jest przeciwnikiem gier w ogóle. Na dowód pokazuje swój telefon. Włącza „Tower Defense: Infinite War”, gdzie trzeba budować wieże zabijające hordy nacierających wrogów. Podtytuł „Nieskończona wojna” to niezbyt szczęśliwa nazwa w kraju, gdzie konflikt trwa od ponad czterech dekad: – Nie spędzam

dużo czasu nad tą grą. Robię to tylko stojąc w korkach. Zazwyczaj siedzę na Facebooku, bo jestem rzecznikiem prasowym i muszę odpowiadać na zapytania.

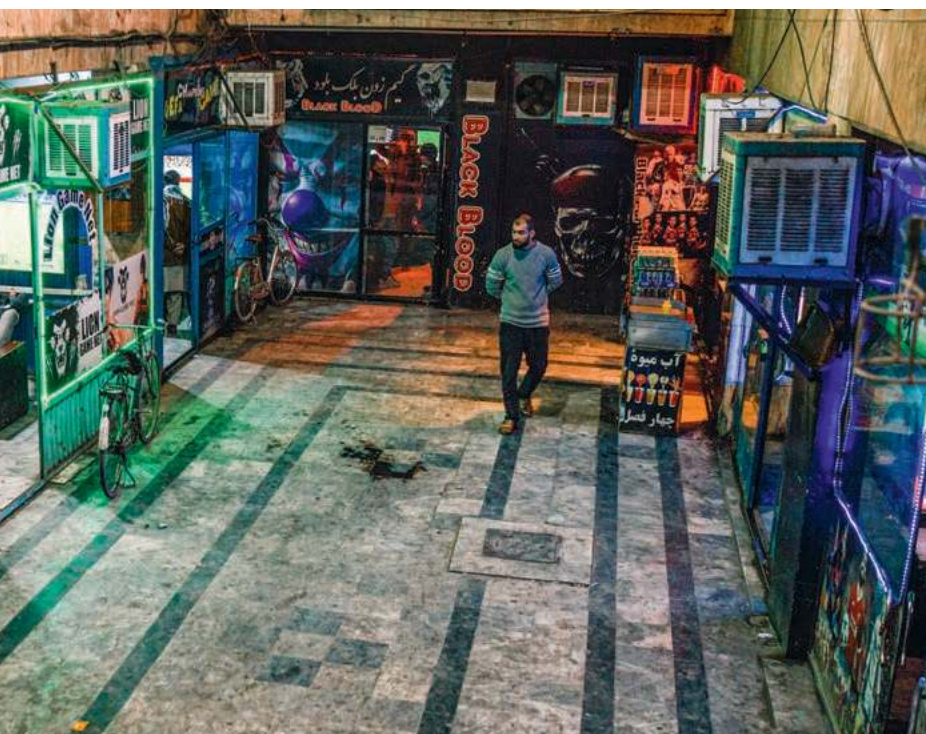
Poziom 58: eskapista

Emrana Sultaniego, modnie ubranego i wygadanego chłopaka, spotykam przy zagłębiu salonów gier wideo. Oczy mu się szklą, jakby za długo patrzył w ekran. Niedawno ukończył kurs języka angielskiego i w przyszłości chce zostać inżynierem. W PUBG gra od roku, czasem przez całą noc. Doił do 58. poziomu. Ma swoich ulubionych graczy i ogląda zapisy ich gier na YouTube. Czuję presję ze strony przyjaciół i kuzynów kupujących nowe rzeczy w tej darmowej grze. Jeśliby tego nie robił, odstawałby od reszty. W rywalizacji chodzi też o to, kto wygląda najbardziej oryginalnie. W ciągu roku wydał łącznie 2700 afgani, czyli niemal 140 zł. Dzięki wirtualnej walucie UC zdobył m.in. strój faraona, który lubi najbardziej.

Według Sultaniego przemoc w grze to nie problem, bo Afgańczycy częściej doświadczają jej na ulicach niż w PUBG. W ostatnich miesiącach w Kabulu znacząco obniżył się poziom bezpieczeństwa. Czasami kilka razy dziennie wybuchały bomby pułapki, dochodziło do zabójstw. Ofiarami padali dziennikarze, obrońcy praw człowieka, aktywiści i pracownicy administracji państwowej. Po raz kolejny w trakcie wojny mieszkańcy afgańskiej stolicy zaczęli poważnie obawiać się o swoje życie i zdrowie. W mieście, gdzie trudno o bezpieczną przestrzeń publiczną, jak choćby parki, a zła sytuacja ekonomiczna nie daje wielu nadziei na przyszłość, świat wirtualny oferuje... beztroskę.

– Władza powinna bronić nas i naszego kraju, a nie zabraniać gier. Podczas gry mogę się wyluzować, zapominam o wojnie i bombach. Skupiam się tylko na PUBG – mówi Sultani. Ma już za sobą jedną próbę wyjazdu do Europy. W drogę wyruszył w zeszłym roku, ale z powodu COVID-19 zamknięto granice i musiał zawrócić. Przez jakiś czas został w Iranie, gdzie pracował. Tam zarobił pieniądze, które teraz wydaje na PUBG. Następnie wrócił do Kabulu. W tym roku ponownie spróbuje udać się w drogę do Europy.

– Chcę opuścić Afganistan. To nie jest miejsce, w którym można się rozwijać, ➔



PAWEŁ PIENIAŻEK

Salon gier w Kabulu, marzec 2021 r.

→ szczególnie jeśli jest się młodym – wyznaje.

Poziom 62: uzależniony

Jasin Hajdari do Kabulu przeprowadził się rok temu. Do tego czasu mieszkał w Ghazni, oddalonym o 150 km na południowy wschód od stolicy. Przez dekadę sprzedawał tam komputery. Postanowił wyjechać ze względu na bezpieczeństwo. W prowincji nieustannie dochodzi do starć z talibami.

W Kabulu prowadzi sklep z telefonami komórkowymi i salon gier wideo z konsolami PlayStation. Salon to ciemne pomieszczenie, gdzie stoją sofy, fotele, na stolikach ustawione są konsole, a na ścianach wiszą telewizory. W środku kilku nastolatków. Jedni grają w „Call of Duty”, inni strzelają do wyskakujących zewsząd zombie. Te gry są znacznie brutalniejsze niż PUBG, ale nie zwracają uwagi afgańskich władz. Hajdari nie tyka żadnej z nich. Od półtora roku nie widzi świata poza PUBG. Nim otworzył salon, grał niemal bez przerwy z krótkimi przerwami na sen. Na PUBG wydał już niemal równowartość tysiąca dolarów.

– Te wydatki doceniają ludzie, którzy siedzą w PUBG naprawdę głęboko, są aktywni i chcą zdobywać wysokie poziomy – mówi Hajdari. – Chcę, by moje konto podobało się innym. By cieszyć się życiem, musimy spędzać je w trybie online. Jeśli miałbym pieniądze, siedziałbym w domu cały czas. Może do końca życia grałbym w PUBG i nie interesowałbym się tym, co się dzieje na zewnątrz. Nie chcę już patrzeć na niebezpieczeństwa i problemy społeczne.

Hajdari często włącza PUBG nie po to, by grać, ale by spędzać czas z przyjaciółmi. Tu czują się bezpieczni, mogą się spotkać, bo w rzeczywistości dzieli ich długa i niebezpieczna droga, której z powodu trwającej wojny nie byłoby w stanie przejechać. Co sądzi o zakazie PUBG w Afganistanie? Nie słyszał o nim. Dodaje jednak, że jeśli władze rzeczywiście wprowadzą blokadę, to znajdzie sposób, by ją obejść. Tak jak jego przyjaciele z Iranu, gdzie od dawna nie można grać w PUBG, a Hajdari do dzisiaj biega z nimi po wirtualnej wybiegu i strzela.

© PAWEŁ PIENIAŻEK
Współpraca ALISHER SHAHIR



Kadr z filmu „Minari”

Szmery w sercu

ANITA PIOTROWSKA

„Minari” składa się ze zdecydowanych smaków: kimchi, chili lub pieczonych kasztanów. Dlatego raz jest zabawny i sprośny, czasem na siłę wyciska łzy, a chwilami bywa słodko sentymentalny.

KIEDY PISZĘ TE SŁOWA, NIE WIADOMO jeszcze, ile z sześciu oscarowych nominacji przyniosło „Minari” złotą statuetkę. Trudno jednak zaprzeczyć, że „to film, jakiego właśnie dzisiaj potrzebujemy” – by zacytować jego amerykański plakat. Przede wszystkim to opowieść o plagach, które lubią spadać na nas seryjnie. To rzecz o podnoszeniu się i zaczynaniu wszystkiego od nowa. Film rozdierający i jednocześnie krzepiący, pocziwy i momentami bardzo niepocziwy, a na dodatek przypomnieć o życiu w rodzinie z serii „jak przetrwać ze sobą pod jednym dachem, kiedy i w środku, i na zewnątrz wali się świat”. Wreszcie, jest to opowieść o pracowitym sadzeniu, podlewaniu i czułym doglądaniu roślin, nie tylko dla działkowców.

Lee Isaac Chung stworzył obraz amerykański w formie i częściowo azjatycki w treści, skupiony na problemie asymilacji w obcym kraju. „Babcia śmierdzi Koreą!” – fuka w pewnym momencie kilkuletni wnuczek. Koreańska rodzina próbująca od lat szczęścia w USA właśnie ściągnęła do siebie starszą pa-

nią, by ta pomogła trochę przy dzieciach. W tym czasie ich rodzice próbują z różnym skutkiem spełniać swe amerykańskie marzenie – na razie „macając kurczaki” w przemysłowej wylegarni.

Chung, potomek imigrantów z Korei Południowej, przenosi nas w lata 80., kiedy dorastał na farmie gdzieś w Arkansas, w takim samym rozchwytanym domu na kółkach, jaki zamieszkuje rodzina z „Minari”. Stąd wie, że wystarczy podmuch tornado, by niepewny los bohaterów na obcej ziemi stał się jeszcze bardziej kruchy. Już migawki z codziennej pracy zarobkowej małżeństwa Yi nadają tej historii wyraźny rys brutalności.

Oto Monica (Han Ye-ri) i Jacob (świetny Steven Yeun, znany z „Płomieni” Lee Chang-donga) jako „doświadczeni sekserzy” wprawnymi ruchami selekcjonują kurczęta: samice do koszyka, samce do „utyliczacji”. I już wiadomo, że marzenie filmowego ojca o byciu farmerem na potrzeby koreańskiej diaspory napotka po drodze wiele przeszkód. Żeby nie trafić do metaforycznej spalarni, trzeba będzie się wykazać, prawdziwie i „po męsku”. A zanim rozkwit-

nie tu rajski ogród, w okolicy musi pojawić się niejeden wąż.

Biblijne metafory narzucają się zresztą parokrotnie. Wystawiany na kolejne próby Jacob budzi skojarzenia z Hiobem, jakkolwiek przy całej religijności bohaterów, ochoczo przystępujących do lokalnej wspólnoty kościelnej, nie o wiarę w Boga toczy się tu zasadnicza gra, lecz o wiarę we własne siły. Czy bohater psychicznie udźwignie swój codzienny krzyż – chorobę synka, problemy z wodą, rosnący kredyt w banku i jeszcze małżeński kryzys? Chung umie jednak rozbroić patos, również ten religijny. Choćby wtedy, gdy do akcji wkracza nawiedzony sąsiad Paul (w tej roli Will Patton), biały weteran z Korei, dosłowny naśladowca Chrystusa i egzorcysta w jednej osobie.

„Minari” to film zbudowany z dziecięcych powidoków, stąd jego ekscentryczność i naiwność. Okazuje się, że nawet mieszkanie w obskurnym domku mobilnym może sprawiać komuś frajdę. W oczach małego Davida przegląda się także osobliwa, irytująca zrazu postać babci (kapitałna Yuh-Jung Yoon), która stanowi zaprzeczenie babcinych cech: nie gotuje, nie piecze, nie przejmuje się, jest bezbożna i niepoprawna. Przywozi za to ze sobą utracone przez bohaterów domowe zapachy, w tym nasiona tytułowego zielska. Bo *minari*, dzika roślina, która płeni się bez ograniczeń, potrafi zapuścić korzenie wszędzie i przetrwać wszystko.

Lecz choć babcia jest tu niewątpliwie najbarwniejszą figurą, przebija z „Minari” też melancholijna przypowieść o męskości. Przede wszystkim o ambicjach, które mogą uskrzydlać, ale i zżerać od środka. Przyjęta w filmie optyka dziecięca sprawia, że nie mamy do czynienia z kolejną historią o niedolach emigracji, różnicach kulturowych bądź wzajemnych stereotypach, aczkolwiek i o tym na ekranie mowa. Również czas historyczny – epoka Reagana, masowy napływ imigrantów z Azji i coraz mniejsze perspektywy, by ciężką, uczciwą pracą wypracować swój sukces – zostaje potraktowany rozmytym konturem.

Chunga najbardziej interesuje mikrokosmos rodzinny, ów świat w pomniejszeniu, nad którym czuwa bóg rzeczy małych: delikatnych sadzonek, dojrzających w słońcu bakłażanów, chwilowych epifanii chmur. Jednak zmysłowej

przyjemności, która jest głównie udziałem dzieci, towarzyszy całkiem dorosły niepokój: czy goniąc za wyobrażonym szczęściem, nie roztrwonimy tego, co już mamy? Czy nie przegapi się po drodze jego drobnych śladów? Na dodatek najmłodszy bohater, czyli domyślny narrator filmu, cierpi na groźne szmery w sercu.

Jeśliby sięgnąć po przywiezione przez babcię koreańskie specjały, „Minari” składa się wyłącznie ze zdecydowanych smaków: kimchi, sproszkowanego chili lub dla odmiany pieczonych kasztanów. Dlatego raz jest zabawny i sprośny, czasem trochę za mocno chwyta za gardło i na siłę wyściska łyżę, a chwilami bywa słodko sentymentalny. Z tego wszystkiego reżyser zdołał utrzymać gładką mieszurę, oczywiście przyprawioną szczyptą azjatyckiego *minari*. Lecz amerykański film o przybyszach z Korei, mówiony w dwóch językach i sygnowany nazwiskiem Brada Pitta jako producenta wykonawczego, daleki jest od drapieżności i przewrotnego humoru „Parasite” Bong Joon-ho. Nie rości sobie prawa do ważkich społecznie diagnoz. Bardziej kojarzy się z japońskimi opowieściami rodzinnymi Hirokazu Kore-edy, w których domowe ciepło rodzi się czasem w zaskakujących okolicznościach i przybiera nieoczywiste kształty. Albo z familijnym „Kłamstewkiem” Lulu Wang, gdzie reżyserka w podobny sposób oswajała swoją podwójną tożsamość, w tym przypadku chińsko-amerykańską.

Równocześnie blisko filmowi Chunga do rdzennie amerykańskiego gatunku, jakim jest western. Rodzina z Dalekiego Wschodu pod wieloma względami przypomina (czy wręcz naśladuje) bohaterów Dzikiego Zachodu – niestrudzonych pionierów czyniących sobie ziemię poddaną. Nie przypadkiem też mały David parady w kowbojskich butach.

„Minari” to mały film o maksi sprawach, skrojony na ludzką miarę. Owszem, obficie leje na wszelkie rany i blizny swój ziołowy balsam, lecz jest także manifestem przynależności – do rodziny, Kościoła, mniejszości etnicznej, do wielonarodowego kraju. Takiej, która wymaga i daje siłę, ale nie ma w sobie nic plemiennego. ©

MINARI – reż. Lee Isaac Chung. Prod. USA 2020. Dystryb. Best Film. W kinach zaraz po otwarciu.

WARTO ZOBACZYĆ

1. Oratorium



Dokumentalny, reż. Alex Bayer, Jonathan Mann, Mary Anne Rothberg, USA 2020, nc+ go

Był Żydem, a następnie katolickim księdzem; był librynistą i librecistą Mozarta. W 1826 r. geniusz i awanturnik Lorenzo da Ponte zorganizował koncert w nowojorskiej katedrze św. Patryka, przybliżając lokalnym imigrantom dziedzictwo włoskiej opery. Po latach Martin Scorsese, zdeklarowany Italian American, obserwuje przygotowania do powtórnego wykonania oratorium.

2. David Byrne's American Utopia



Koncert, reż. Spike Lee, USA 2020, iTunes Store

Oto wydarzenie muzyczne, które stało się politycznym orędziem i ekstatyczną pochwałą bycia we wspólnocie. Byrne z towarzyszeniem 11 muzyków stworzył na Broadwayu wyjątkowy performans, w którym wszystko: teksty jego utworów i wypowiedzi, akustyczne brzmienia i porywające choreografie, tworzy „energetyczny” przekaz na temat wspólnego świata.

3. David Attenborough: Życie w kolorze



Serial dokumentalny, reż. Australia/Wielka Brytania 2021, odc. 1-3, Netflix

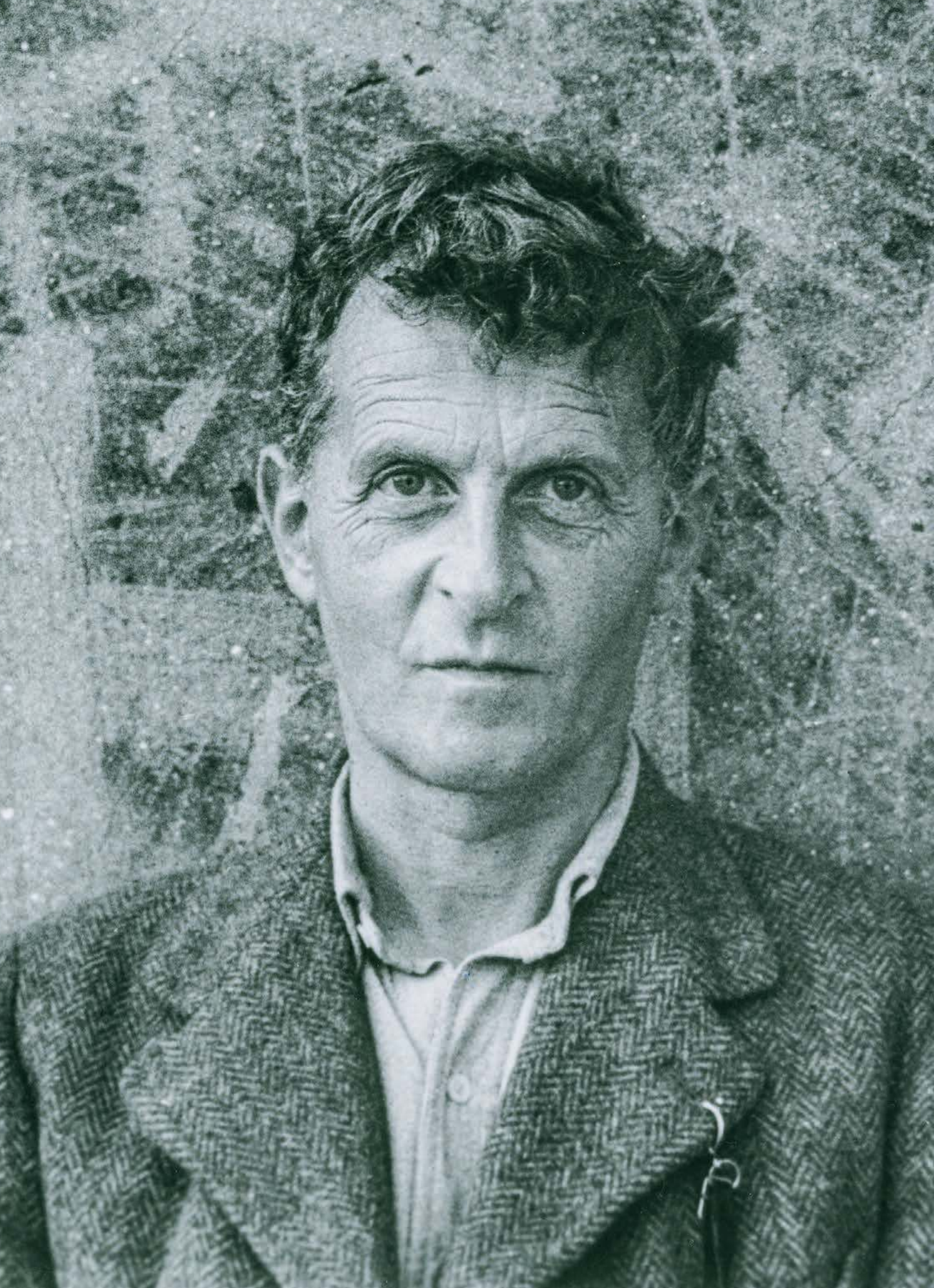
Ten człowiek (rocznik 1926) jest nie do zdarcia i z pewnością nie do zastąpienia. W kolejnej serii filmów pokazujących cuda natury analizuje sposoby wykorzystania koloru w świecie zwierząt. Z zastosowaniem najnowszych technologii obrazu film przenika niedostępne człowiekowi kody, służące przetrwaniu czy komunikacji.

4. Fargo 4



Serial, tw. Noah Hawley, USA 2020, HBO GO

Długo wyczekiwany sezon jednych z miejsc rozczarowuje, ale inni dają mu szansę i nie żałują. Wiadomo, że w stworzonym przez braci Coen królestwie absurdu wszystko, co najdziwniejsze, może się wydarzyć. Przez jedenaście odcinków śledzimy losy dwóch gangsterskich rodzin, choć tym razem jeszcze bardziej liczą się popkulturowe smaczki i porozumiewawcze mrugnięcia.



DESZCZ, MUZYKA, JĘZYK, ŻYCIE

Siedemdziesiąt lat temu zmarł jeden z największych filozofów XX wieku.
Najprawdziwszy miłośnik i poszukiwacz mądrości.

PIOTR SIKORA

POWIEDZ IM, ŻE ŻYCIE MIAŁEM WSPANIAŁE” – OSTATNIE SŁOWA Ludwiga Wittgensteina, wypowiedziane 28 kwietnia 1951 r., dzień przed śmiercią, przekazała jego przyjaciółom Joan Bevan, żona jego osobistego lekarza, Edwarda Bevana. To u nich w domu, w Cambridge, jeden z największych myślicieli XX wieku spędził ostatnie miesiące życia, umierając powoli na raka i pracując intensywnie nad filozoficznym poszukiwaniem pewności.

Gdy pod koniec tamtego kwietnia stało się jasne, że Wittgenstein odchodzi, państwo Bevan zawiadomili jego najbliższych przyjaciół, a ci postanowili przyjechać i spędzić z nim ostatnie chwile. Gdy przybyli, Ludwig był już nieprzytomny – byli przy nim, gdy umierał, kilka dni po swoich sześćdziesiątych drugich urodzinach.

Było czterech braci

Urodził się w Wiedniu, w jednej z najbogatszych rodzin cesarsko-królewskiego imperium, jako najmłodszy z ośmiorga rodzeństwa. Jego ojciec kontrolował produkcję niemal całej austriackiej stali, był jednocześnie wielkim mecenasem sztuki. W wiedeńskim pałacu Wittgensteinów bywali Brahms, Mahler, Strauss, Klimt. Rodzinna egzystencja młodego Ludwiga mogła wyglądać na wspaniałą. Chyba jednak taka nie była – trzech jego starszych braci popełniło samobójstwo, on sam także zmagął się z pokusą odebrania sobie życia.

Niektórzy twierdzą, że w rodzinie Wittgensteinów panowało ogromne napięcie pomiędzy uwielbieniem dla sztuki, zwłaszcza dla muzyki, a nastawieniem praktyczno-technicznym, którego wymagał od synów Karl Wittgenstein i że tego właśnie napięcia nie wytrzymali bracia Ludwiga. On sam

Słowa są czynami

w pewien sposób zdołał pogodzić te dwie strony, co widoczne jest i w jego biografii, i w myśli filozoficznej.

Słuchanie wielkich dzieł muzycznych było dla Ludwiga jedną z ważniejszych aktywności, określało postrzeganie świata. W jego notatkach znaleźć można sporo uwag inspirowanych muzyką, ale to, co w muzyce najważniejsze, wymykało się słowom. Kilka lat przed śmiercią, po raz kolejny odwołując się do publikacji „Dociekań filozoficznych”, stwierdził: „Nie jestem w stanie powiedzieć w swej książce, ile w moim życiu znaczyła muzyka. Jakże więc mogę żywić nadzieję, że zostanie zrozumiany”. Studiował jednak początkowo mechanikę (w Berlinie) i inżynierię lotniczą (w Manchesterze). Interesował się matematyką i wreszcie – mając dwadzieścia dwa lata – spotkał w Cambridge Bertranda Russella, który odkrył w nim geniusza filozofii.

Nigdy jednak nie przypominał typowego akademickiego filozofa swoich czasów, choć wykładał przez lata w Cambridge. Jak wspominali ci, z którymi współpracował i dyskutował, jego podejście przypominało raczej postawę artysty tworzącego dzieło, albo nawet proroka lub jasnowidza. Większość jego myśli – nawet dotyczących logiki – rodziła się w wewnętrznej walce pełnej emocjonalnego, wręcz egzystencjalnego napięcia.

„Jakże mogę być logikiem – pisał do Russella – gdy nie jestem jeszcze człowiekiem!”. Gdy już udało mu się zwerbalizować jakąś ideę, jego filozoficzne otoczenie przyjmowało ją najczęściej jako podstawę swego myślenia, nawet jeśli Wittgenstein nie przedstawiał żadnego uzasadnienia wysuwanej tezy, albo – to bardzo częsty przypadek – sam był ze swego pomysłu niezadowolony.

Niegodne publikacji

Niezadowolony był zaś często i z tego, jak rozumiano go w akademickich kręgach. Dystansował się od nich.



Ludwig Wittgenstein. Swansea, Walia, wrzesień 1947 r.

→ Tych, którzy rozwijali uniwersyteckie kariery publikując w branżowych czasopismach, nazywał „filozoficznymi dziennikarzami” i wyrażał nadzieję, że nie dane im będzie czytać jego własnych filozoficznych zapisków. Nadzieja ta okazała się płonna – współcześnie na pewno nikt nie jest w stanie przeczytać wszystkich artykułów popełnionych przez filozoficznych dziennikarzy na temat myśli Wittgensteina.

Paradoks tym większy, jeśli weźmiemy pod uwagę, że za życia opublikował dwa niezbyt długie teksty filozoficzne.

W 1921 r. – „Traktat logiczno-filozoficzny”.

W 1929 r. – w „Proceedings of the Aristotelian Society. Supplementary volume” artykuł na temat formy logicznej zdania. Tomy

*O ile się jest odważnym,
o tyle się wchodzi
w związek
z życiem i śmiercią*

uwag na temat języka, etyki, kolorów, rozumienia, pewności, religii, które do dzisiaj setki (a może już i tysiące) badaczy wertuje, analizuje i czyni podstawą swoich artykułów i dysertacji, to wszystko brudnopisy zapisków intelektualnych zmagani. Żadnego ich rezultatu Wittgenstein nie uznał za trafiający w sedno i gotowy do publikacji.

Paradoks będzie jeszcze większy, gdy weźmiemy pod uwagę sposób, w jaki część badaczy traktuje owe zapiski. Spotkałem kiedyś na poważnej naukowej konferencji człowieka, który badając pewien rękopis, odkrył, że pod istniejącym tekstem można zauważyć regularne wgłębienia – ślady liter narysowanych twardym ołówkiem. Uczony ów otrzymał grant na odcyfrowanie tego, co Wittgenstein napisał i potem zmaszał gumką. Inni badacze z zapartym tchem słuchali wykładu na temat tego odkrycia.

Trudno się dziwić badaczom średniego szczebla, skoro żona Moritza Schlicka, nieformalnego przywódcy Koła Wiedeńskiego (chyba najbardziej racjonalistycznej grupy filozofów w historii), tak opisywała zachowanie swego męża, gdy miał okazję spotkać się z Wittgensteinem: „Mogłam z zaciśnięciem obserwować jego pełną rewerencji postawę pielgrzyma; wrócił zafascynowany, mało mówił i czułam, że nie należy o nic pytać”.

Osobowość Wittgensteina nie działała chyba tylko na dzieci. Z posady nauczyciela w wiejskiej szkole – gdzie się zatrudnił, stwierdziwszy, że w „Traktacie” napisał wszystko, co w filozofii miał do powiedzenia – musiał zrezygnować z powodu nadużywania kar cielesnych. Gnębiło go z tego powodu poczucie winy. Dekadę później wrócił do owej wioski, by prosić byłych uczniów i uczennice o wybaczenie.

Barka patrolowa

Mierziła go burżuazyjna kultura jego czasów. Tuż przed wybuchem I wojny światowej rozdał odziedziczony, ogromny majątek – m.in. tworząc fundację pomagającą zdolnym pisa-

rom. Na życie zarabiał najpierw jako ogrodnik klasztorny, a później jako wiejski nauczyciel. Upodobanie do prostej pracy nie opuściło go przez całe życie. W czasie II wojny światowej, już w Anglii, zatrudnił się jako pracownik fizyczny w jednym ze szpitali.

Wciąż szukał fundamentalnego wglądu. Szukał i warunków, które pozwoliłyby mu na skupienie potrzebne do uzyskania poszukiwanej jasności myśli. Rok po spotkaniu z Russellem wyjechał z Cambridge do Skjolden w Norwegii, gdzie w małej chatce zawieszanej na urwisku nad fiordem mógł intensywnie myśleć.

Odkrył, że w poszukiwaniach pomagają mu sytuacje graniczne. Gdy wybuchła I wojna światowa, zgłosił się na ochotnika do armii i zrobił wszystko, by dostać się na front. Jako oficer CK dwa lata spędził na patrolowej barce, stacjonującej głównie w Krakowie, a pływającej po rzekach granicznych.

Podczas jednego z rejsów statek Wittgensteina zacumował pod Tarnowem. Ludwig zszedł na brzeg. Włócząc się po uliczkach małopolskiego miasteczka trafił na niewielką księgarnię. Kupił tam „Ewangelię w skrócie” Tolstoja. Z książką tą nie rozstawał się przez kilka lat, nazywano go nawet „ten z ewangelią”. Etyczno-religijna myśl dysydenta prawosławia stała się – obok dzieł Kierkegaarda czy Dostojewskiego – jedną z ważniejszych inspiracji poszukiwań zasymilowanego austriackiego Żyda, ochrzczonego w Kościele katolickim, z pasją wracającego przez całe życie do lektury Biblii, ale nigdy niezadomowionego w żadnej religijnej wspólnoty.

Odrzuć drabinę

Jego myślenie dzieli się w podręcznikach na dwa okresy. Pierwszy Wittgenstein, autor „Traktatu”, skonstruował koncepcję języka jako odzwierciedlenia rzeczywistości i wyzna-

czył granice tego, co można sensownie o świecie powiedzieć: język o faktach to język nauki. Drugi Wittgenstein, autor „Dociekań filozoficznych”, dostrzegł, że autor „Traktatu” przeoczył całe połacie

Ambicja zabija myśl

sensu wyrażań. Że językiem można się posługiwać na mnóstwo sposobów, że można wymyślać wciąż nowe i że sens ginie tylko tam, gdzie słowa zostają wyrwane z szerszego pojęciowego kontekstu – gdzie nie ma już żadnej formy życia, w którą nasze wypowiedzi byłyby wplecione.

Właśnie w tej perspektywie – filozofii języka – widział pracę Wittgensteina wielu filozofów. Ale on czuł się niezrozumiany, bo tak naprawdę chodziło mu o coś innego. Jak pisał do jednego z potencjalnych wydawców „Traktatu”: „książka ta ma sens etyczny”. Kluczowe jest jednak następne zdanie listu: „Moja praca składa się z dwóch części: z tego, co w niej napisałem, oraz z wszystkiego, czego nie napisałem. I właśnie ta druga część jest ważna”. W „Traktacie” na tę ważną część wskazują ostatnie tezy, które pierwsi komentatorzy tego dzieła chętnie by pominęli, na przykład: „Tezy moje wnoszą jasność przez to, że kto mnie rozumie, rozpoznaje w końcu jako niedorzeczne; gdy przez nie – po nich – wyjdzie ponad nie. (Musi niejako odrzucić drabinę, uprzednio się po niej wspiąwszy)”.

Zmiana, która zaszła w Wittgensteinie, tylko wtórnie dotyczyła języka. Zawsze chodziło mu o coś znacznie głębszego.

Już wczesne zapiski wskazują, że jednym z kluczowych pytań było pytanie o podmiot: kim/czym jestem tak naprawdę ja, który patrzę, poznaję, chcę? Utożsamiamy się potocznie, zauważa Wittgenstein, z ciałem, strumieniem myśli, poruszeń itp. Ale filozof odkrywa, że to wszystko, nazwane i opisane, staje się przedmiotem pośród przedmiotów, tracąc podmiotowy charakter – podmiot nie występuje „w księdze »Świat jaki zastałem«”.

Dla Wittgensteina filozofowanie jest „pracą nad samym sobą. Nad należytych pojmowaniem. Nad tym, jak postrzega się rzeczy. (I czego się od nich wymaga)”. Chodzi mu o rozwiązanie „zagadki życia”, czyli odnalezienie sensu. Młody Wittgenstein obserwuje świat i sensu w nim nie dostrzega. Dlatego myśli: „Sens świata musi leżeć poza nim”. By „tam” dotrzeć, konstruuje „drabinę”: koncepcję języka, która ma precyzyjnie określić granice tego, co wypowiadalne – tj. granice świata – i w ten sposób uwidocznić niewypowiadalny sens.

W tym czasie Wittgensteina mierzi zwykle życie, również estetyzujący, kulturalny Wiedeń. Dlatego z otwartymi rękami przyjmuje wybuch wojny – rzuca się w nią, by dojść do granicy świata i zajrzeć poza nią. Po wojnie próbuje wieść uczciwe życie nauczyciela – ale nie radzi sobie z edukacją zwykłych, niezbyt zdolnych dzieci.

Życiowe doświadczenia – w tym doświadczenie pedagogicznej porażki – otwierają mu jednak oczy. Zmianę, prawdziwe oświecenie, które do końca życia próbował opracować, wyraża tekst napisany w 1930 r.: „Mógłbym powiedzieć: gdyby to miejsce, do którego chcę dotrzeć, było osiągalne jedynie za pomocą drabiny, zrezygnowałbym z prób dotarcia tam. Ponieważ w miejscu, gdzie rzeczywiście muszę się znaleźć, muszę już właściwie być. To, co osiągalne za pomocą drabiny, nie interesuje mnie”.

Tylko życie

W późniejszych pismach Wittgensteina coraz więcej miejsca zajmują przykłady z życia codziennego, niemal banalne sytuacje. Robotnicy na budowie wykrzykujący „podaj płytę!”, szcztotka na kiju, wyraz twarzy przyjaciela. Natykamy się też na uwagi dotyczące działań matematycznych i – coraz to powracające – relacje z lektury wiersza czy słuchanej melodii. Miejscem, któremu Wittgenstein coraz uważniej się przygląda, które usiłuje jasno zobaczyć, jest tkanka codzienności. Chce znaleźć się (z pełną świadomością) tam, gdzie już – zawsze – jest.

Krytyka filozofów – z której Wittgenstein jest znany – jako ludzi oderwanych od życia, rozważających pozorne problemy, powstające gdy język „śwituje”, tj. używany jest bez związku z życiem, całą gestą pozajęzykowych działań, w której powstał – odnosi się z pewnością do akademickich, intelektualnych gier profesorów z Wiednia, Oxfordu czy Cambridge. Ale dotyczy ona także w jakimś stopniu młodzińskich prób samego Wittgensteina – gdy próbował zobaczyć sens świata wycofując się z niego, gdy myślał, że musi oddalić się, wspiąć wyżej.

Teraz Wittgenstein koncentruje swoje wysiłki na próbach zrozumienia funkcjonowania człowieka – jako podmiotu myślącego i chcącego – ujmowanego wewnątrz codziennych warunków życia. Kiedy rozważa naturę myślenia,

chcienia, wszelkich zjawisk psychicznych, nie chodzi mu o zagadnienia czysto techniczne.

Owszem, zastanawia się: na czym to polega – rozumieć zdanie? Czy to to samo, co rozumieć utwór muzyczny? Czym różnią się przypadkowe znaki od sensownego komunikatu? Albo: zestaw dźwięków od arcydzieła o głębokim przesłaniu? Lecz, wydaje się, gnębi go ten sam problem, który dręczył go za młodu – kim jestem „ja”, czym i czy różni się od przedmiotów takich jak stół, kamień lub drzewo. Staje przed zagadką życia – i chce uzyskać jasność.

Nieustannie krąży wokół religii. Czyta Biblię, zwłaszcza Nowy Testament. Dogmatyczna postać chrześcijaństwa,

*Wybijaj monetę
z każdego błędu*



Wiare utożsamioną ze światopoglądem uważał za przesadę. Prawdziwa wiara to zmiana (kierunku) całego życia, a doktrynalna warstwa religii to obrazy, których moc (i jedyny sens) polega na zdolności kształtowania życia. Niedługo przed śmiercią zwierzył się jednemu ze swoich przyjaciół: „To ciekawe, że choć wiem, że pozostało mi niewiele życia, to nie przylapuję się, bym myślał o »życiu przyszłym«. Interesuje mnie tylko to życie i to, co jeszcze mogę napisać”.

Rozróżnienie

Miał trudny charakter i skłonność do życia samotniczego. Zyskiwał jednak uczniów, którzy stawiali się jego przyjaciółmi. Biseksualny – trzykrotnie był w głębszych związkach z mężczyznami, zakochany był także dwa razy w kobietach. Tak jak nie był w stanie przynależeć do żadnej religijnej wspól-

*Dobre porównanie
odświeża umysł*



noty, nie mógł też za domować się w żadnym związku. Droga dla siebie najważniejszą – ku jasnemu rozróżnieniu pomiędzy snem złudzeń i jawą

prawdziwego poznania – umiał iść tylko samotnie. Rozmawiając, lecz głównie ze sobą, notując swe myśli. Jak i wtedy, dwa dni przed śmiercią, w przedostatnim dniu świadomości: „Ktoś, kto śniąc, mówi »Śnię«, nawet gdyby mówił na głos, nie ma racji w większym stopniu niż wtedy, gdyby we śnie powiedział »Pada deszcz«, wówczas kiedy faktycznie by padało. Nawet gdyby jego sen naprawdę był związany z szumem deszczu”. ©© PIOTR SIKORA

Korzystałem z: Ray Monk „Ludwig Wittgenstein. The Duty of Genius”, London 1990; Rush Rhees (ed.) „Recollections of Wittgenstein”, Oxford 1984; Wojciech Sady „Wprowadzenie” [w:] Ludwig Wittgenstein „Uwagi o religii i etyce”, Kraków 1995. Cytaty z Wittgensteina w polskim tłumaczeniu pochodzą z tego wydania oraz z „Tractatus logico-philosophicus” w przekładzie Bogusława Wolniewicza i „O pewności” w tłumaczeniu Małgorzaty i Wojciecha Sady.

Lektor:

Wenecja i duch Brodskiego



■ Adam Szczuciński
PARADISO
Wydawnictwo Próby,
Warszawa 2021, ss. 210.

„SPOTKANIE Z WENECJĄ ROZszerza i pogłębia nasz własny czas o czas schwycony, zapisany w jej kamieniach, i wytwarza poczucie przynależności do historii, która jest jej historią” – notuje Ewa Bieńkowska w pięknej książce „Co mówią kamienie Wenecji”. Wcześniej wspomina jednak o niebezpieczeństwie kiczu, które niesie „dramat miłosny, klasyczny dramat po-weneckiej, to znaczy spisywanej po powrocie stąd literatury”. Bo mowa przecież o całej bibliotece,

od „The Stones of Venice” Ruskina poczynając. Zdaniem Bieńkowskiej tego niebezpieczeństwa uniknął w „Znaku wodnym” Josif Brodski – piewca Wenecji pustawej, bez tłumów turystów, zalanej oczyszczającym zimowym światłem. I właśnie Brodskiego, weneccjanina z wyboru, wziął za przewodnika lekarz i pisarz Adam Szczuciński, choć sam nigdy go nie spotkał. Prochy rosyjskiego poety złożono na cmentarnej wyspie San Michele – tam też zaczyna

się i kończy cykl krótkich próz składających się na „Paradiso” (większość z nich ukazywała się w „Zeszytach Literackich”). Zwykle są to „prozy podróżne”, zapis miejsc odwiedzanych w Wenecji śladami mistrza, ale i własnych zachwytów czy skojarzeń podbudowanych innymi lekturami.

Trop Brodskiego pozwala czasem na odległe wyprawy w przestrzeni i czasie.

Do Wilna, które autor „Uranii” odwiedzał kilkakrotnie przed emigracją, zatrzymując się w mieszkaniu Ramūnasa Katiliusa przy ulicy Liejyklos. Do płonącego warszawskiego getta, które Brodski dostrzegł w XVIII-wiecznym obrazie Guariego „Pożar składu oliwy na San Marcuola”. Do utworów pisarzy, których cenił – jak oczywiście W.H. Auden, ale także na przykład Akutagawa Ryūnosuke. Wenecja wyobrażona – podobnie jak

wiersze Brodskiego – towarzyszy Szczucińskiemu stale: w podróży, we własnym domu, w czas zarazy. „Lubię patrzeć w południową stronę, ale dopiero gdy zamknę oczy, dostrzegam wysokie wieże i kopuły wystające z wody. Jest coś organicznego w tęsknocie za Wenecją, ta nostalgia jest jak wada wzroku, astygmatyzm”.

PS. Jeśli ktoś, kto czytał poprzedni odcinek tej rubryki, zdziwił się, że jego tytuł („Tryptyk”) nie ma nic wspólnego z zawartością – miał rację. Duch grasujący w redakcji podmienił bowiem tytuł właściwy, „Chłodny prysznic”, odnoszący się do zabiegu, jakiemu poddaje naszą narodową dumę amerykański historyk Brian Porter-Szűcs w książce „Całkiem zwyczajny kraj”. ©®

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących!

Rejestracja w internetowym kiosku Stowarzyszenia „De Facto” umożliwia bezpłatną lekturę „Tygodnika Powszechnego” osobom z orzeczeniem niepełnosprawności z tytułu wzroku.

Serdecznie prosimy Państwa o przekazanie tej informacji bliskim, przyjaciółom lub sąsiadom, którzy mogą być zainteresowani czytaniem naszego pisma w takiej formie.

Więcej informacji na
powszech.net/dostepny

DE
STOWARZYSZENIE
FACTO

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

PAWEŁ

Bravo:

Numer jeden



DWADZIEŚCIA CZTERY TYSIĄCE LUDZI I INSTYTUCJI umoczyło w pierwszej dekadzie stulecia mniej więcej paręnaście miliardów dolarów w piramidzie finansowej Berniego Madoffa. Jak przystało na „magię” finansów, nic w tamtym szwindlu

wszech czasów nie było ściśle policzalne, zera tańczą korowody, w szufladach podwójne dna fałdują się jak francuskie ciasto, fajansowe świnki-skarbonki ożywają i z kwikiem uciekają pod tapczan. Precyzyjny był tylko skutek procesu, gdy kryzys finansowy roku 2008 podciął całą konstrukcję: 150 lat odsiadki. Madoff nie dokończył jej, rozstając się z tym światem w zeszłym tygodniu.

Z tego też powodu tu i ówdzie w prasie przypomniano szczegóły, listę ofiar, a przede wszystkim historię ślepoty urzędów nadzoru. Raz po raz płynęły do nich donosy przytomnych analityków, którym nic nie zgadzało się nawet przy prostym sumowaniu operacji. Posyłały wtedy do Madoffa inspektorów, którzy zadawali, wedle jego słów, „pytania tak naiwne jak porucznik Columbo”. Jakże szybko wyparliśmy to z pamięci, chociaż minęło zaledwie 13 lat. Mamy skłonność zapominać, do jakiego stopnia nawet „rozsądnych” ludzi chciwość zamienia w idiotów, a „instytucje”, nawet prestiżowe i o ugruntowanej pozycji we wzorowych ustrojach, są osłoją oportunistów i rutyny.

A cóż mnie obchodzić cudze miliony? Podobna w pewnych aspektach historia zdarzyła się jednak niedawno w świecie bardzo mi bliskim. Zmarłego dopiero co Stevena Spurriera pewna część europejskich winiarzy też wołała szybko zapomnieć. Ten brytyjski kupiec i znawca win, prowadzący nieopodal kościoła Magdaleny w Paryżu piwniczkę, wymyślił, by z okazji dwustulecia USA zaprosić dziesiątkę uznanych krytyków francuskich na degustację w ciemno paru win z Kalifornii i paru wybitnych białych burgundów oraz bordoskich *grand crus*.

Niszowa zabawa skończyła się transatlantycką draką. Okazało się, że kalifornijskie wina zostały ocenione wyżej. Stawkę wśród czerwonych wygrał, o zgrozo, cabernet sauvignon z winnicy Stag Leap Cellar, który był jej pierwszym gotowym rocznikiem, bo zaczęła działać ledwie 6 lat wcześniej (jej właściciel, pan *nomen omen* Winiański, potomek chicagowskich Polaków, trudnił się uprawą winorośli w pierwszym pokoleniu). Amerykańska prasa szybko i radośnie rozdmuchała wiadomość. Francuska za to milczała uparcie parę miesięcy. Niektórzy jurorzy zażądali wycofania swoich nazwisk i podważali warunki oraz metodę obliczania punktacji.

Mieli swoje racje, poza urażoną dumą. 10 osób (fakt, że doświadczonych i cenionych w branży) nieco wyżej oceniło, subiektywnie przekładając impresje na cyferki, paręnaście butelek uznawanych za wybitne, ale dalekich od bycia próbą reprezentatywną. Punkty następnie zsumowano i wyciągnięto prostą średnią arytmetyczną. Pisanie na tej podstawie grubą czcionką „Kalifornia pobiła Francję” jest grubym nadużyciem. „Niektóre kalifornijskie wina okazały się równie złożone, zrównoważone i obiecujące, jak droższe i kultowe francuskie butelki” – tak ewentualnie można by napisać. Różnice w punktacji były dla pierwszych pozycji minimalne, pomijalne, całość układała się na językach i w mózgach jurorów w wyrównaną stawkę.

Bo taka jest i prawda w przypadku wielu innych ocen smaku: łatwo możemy odróżnić produkt masowy, przemysłowy, od wyrobów powstałych z troską, w małej skali czy np. owoców wyrosłych na szczególnie korzystnych siedliskach. Ale na tym jasne hierarchie się kończą. W tej pierwszej grupie pytanie o to, który produkt lepszy i jak to sprawdzić, jest źle postawione. Tu liczą się wyłącznie budżety reklamowe oraz gąże osób, które żyrują swoją twarzą produkty w sposób oczywisty nielicujące z ich znawstwem.

O degustacji zwanej *judgment of Paris* („sądem Parysa/Paryża”) pisano książki i kręcono filmy. Jej medialna kariera świadczy o tym, że reklamowa tresura umysłu daje o sobie niestety znać także w kategorii wyrafinowanych produktów. Tu również domagamy się rankingu, szeregowania rzeczy, choć ich wysoka jakość wynika wprost z miriadów cech niedających się dobrze ująć w tabelach. Hasło „numer jeden na rynku” jest równie proste jak piramida finansowa Madoffa i równie jak ono kuszące. ©P

Gdybym kiedyś miał taki nadmiar gotówki, żeby ktoś pokroju Madoffa chciał mnie doprosić do piramidy, nie musiałbym się bić z myślami, czy stać mnie na risotto, które lubię jeść, gdy jeszcze nie ma szparagów, a grzyby już się znudziły. W risotto al barolo tytułowe wino można zastąpić innym czerwonym o wyrazistej kwasowości i mocnych taninach, ale w wersji oryginalnej jest naprawdę szczególne. Rozsądnym kompromisem jest wzięcie zamiast barolo tańszego wina z tego samego szczepu – czyli nebbiolo – ale z szerszej apelacji Langhe. Procedura jest prosta, w porównaniu z uwodzieleńskim efektem. Dusimy na **dwóch łyżkach oliwy** drobno posiekaną **cebule** (albo – wolę ten wariant – małego **pora**), zwiększamy nieco ogień, dosypujemy **300-320 g odpowiedniego ryżu**, ostrożnie mieszamy i uważamy,

by nie przypalić, kiedy zaczną ładnie lśnić, wlewamy ok. **200 ml wina**, czekamy, aż odparuje, po czym zalewamy solidnym **bulionem wołowym**, dodajemy **liść laurowy**, gotujemy na średnim ogniu, co jakiś czas mieszając. Gdy ryż wypije płyn, dolewamy znowu, aż po ok. 18 minutach ryż powinien być miękki. Wyłączamy ogień, wkręcamy energicznym ruchem łyżkę **masta** i **parę garści parmezanu** – albo **kawałki młodego piemonckiego sera toma** (z grubsza podobny do tomme z francuskiej Sabaudii).



ADOBE STOCK

KOT W BUTACH DUCHA

Można się zastanawiać, po co rysiuwi cętki,
ale tylko dopóki nie zobaczy się go w krwistej jesiennej buczynie.
Zobaczy? Przecież wtedy jest niewidzialny.

ADAM ROBIŃSKI

KIEDY ZENEK PRZYŁOŻYŁ PALEC DO UST I KAZAŁ BYĆ CICHU, wiadomo było, że coś jest na rzeczy. Od rana przemierzaliśmy karpackie dolinki, wędrując przede wszystkim wzdłuż płynących ich dnami potoków. Było przedwiośnie, a odwilż ciągle jeszcze nie dała rady rozprawić się z poprzednią porą roku. Szło się ciężko, gumowce co rusz zapadały się w mokrym śniegu, miejscami sięgającym kolan. Naszym celem były siedliska bobrów. Sprawdzaliśmy ich stan i to, czy gryzonie przystąpiły już do wiosennych aktywności: wzmacniania tam i łatania żeremi, nadwyreżonych srogą karpacką zimą.

Było już popołudnie, gdy obeszlśmy długą na 800 metrów kaskadę rozlewisk sięgającą polsko-słowackiej granicy, a potem skierowaliśmy się w górę zarośniętego buczyną zbocza, w stronę biegnącego granią szlaku. Najpierw zobaczyliśmy gniazdo. Leżało w lysiej koronie wysokiego buka i z daleka wyglądało niepozornie jak kula jemioli. Potem zaczęło puchnąć w oczach. Zenek go nie znał. Zgadywał, że to myszół lub coś jeszcze większego. Okrążaliśmy drzewo w tę i z powrotem, zadzierając głowy i próbując cokolwiek podejrzeć. I właśnie wtedy usłyszałem tę niemą komendę, by zamrzeć w milczeniu.

Teraz patrzyliśmy już nie w niebo, ale pod nogi. W odległości paru metrów od pnia ciągnął się sznur wyraźnych, głębokich tropów. Były świeże, tak świeże, jak tylko mogą

być tropy, gdy w ich pobliżu nie widać już zwierzęcia. Dłgie na siedem, może osiem centymetrów, okrągłe, bez śladu pazurów. Widywałem już wcześniej tropy rysia, przede wszystkim w Bieszczadach i na Pogórzu Przemyskim, ale tym razem ostrożność Zenka sugerowała, że chodzi o coś więcej.

Taniec

Moje dalsze wspomnienia nie są szczególnie wyraźne. Pamiętam przede wszystkim skupienie na tym, by poruszać się tak bezszelestnie, jak tylko się dało. I frustrację, że w tym śniegu nie ma na to szans. To musiał być samiec, o tej porze roku samica prowadziła młode, więc tropów byłoby więcej. Pamiętam koncentrację na meandrujących, regularnych tropach i momenty, w których przystawaliśmy, by wydać z siebie, po trzy w serii, przypominające jęk dziecka zawołania. Chodziło o to, by ryś podejrzewał, że na terytorium wlaź mu konkurent. To wzbudziłoby jego ciekawość. Oczywiście wędrowały mi wtedy dookoła głowy i próbowały wylapać jakiś ruch. Ale on szedł w górę, w kierunku Słowacji, a jego ruchy wskazywały na to, że doskonale wie o ogonie. I wcale nie zamierza się pokazywać.

Kiedy na jego drodze pojawiało się przewrócone drzewo, ślady znikwały, by pojawić się przy jego drugim końcu. Podręcznikowy przykład gubienia pościgu przy wykorzystaniu



*Rys euroazjatycki, okolice miasta Abington
w hrabstwie Oxfordshire, luty 2017 r.*

dobrodziejstw starego lasu. Czasem zwierzę odbijało w bok i gdy wydawało się, że na dobre je zgubiliśmy, tropy wracały.

Zniknęły kilkanaście metrów przed granicą państwową. Po prostu nagle się urwały, jakby kot wyparował. Wydawało się to absurdalnym zwieńczeniem układu tanecznego, który odtwarzaliśmy od co najmniej dwóch kwadransów. Ale zaraz Zenek kazał mi dokładnie przyjrzeć się ostatniemu z odbić, a mój zawód został migiem przekuty w jeszcze większy zachwyt. Rys po prostu zawrócił, wstawiając łapy idealnie w miejsca po swoich ostatnich krokach, a potem niezauważenie odbił gdzieś na zachód. Po drodze na pewno nam się przyjrzał.

– Być może nigdy w życiu nie znajdziesz się bliżej rysia niż dziś – powiedział Zenek kilka minut później, gdy tarabaniiliśmy się z lasu wzdłuż jeszcze jednego strumienia, by ostatecznie dojść do wsi.

To nie była do końca prawda. Widziałem już wcześniej rysia. Stał wewnątrz niedużej woliery na terenie rezerwatu pokazowego żubrów Białowieskiego Parku Narodowego, zupełnie nieruchomo, przypominając bardziej zwierzę wypchane niż doskonale nieuchwytnie. Ale i tak robił wrażenie: rozmiar, masowność, ukrytą w grubych łapach siłę. Żadne inne zwierzę, które stanęło w polu mojego widzenia, nie wprowało mnie w takie osłupienie jak tamten na wpół oswojony rys. Ale teraz byłem jeszcze bardziej skołowany lub

– niech żyje język polski! – zbity z tropu. Rozpływałem się bowiem nad zwierzęciem, którego wcale nie zobaczyłem, w myślach raz po raz przeżywając to nie-spotkanie.

Ostrowidz

A więc kot w butach ducha. Od początku kultury pisanej rys kroczy przez dzieje jako zwierzę tajemnicze, niejasne, niewidoczne. XIII-wieczny florentczyk Brunetto Latini twierdził, że to nic innego niż dziwna odmiana wilka. O wzroku tak bystry, że przenika ściany i góry. Takich głupot było zresztą więcej, na czele z tą, wedle której uryna rysia w zetknięciu z glebą stawała się *lyncurium*, bursztynem. Dowód? To widok rysia, który zakopuje swój moc w piasku, by człowiek nie mógł go spieniężyć. Zaiste, właściciele kotów domowych, nie wiecie, co tracicie, sypiąc do kuwet ekologiczny zwirek.

Ów ostry jak brzytwa wzrok, który każe rysowi przenikać skały, przeniknął do rysologii tak skutecznie, że odpryski tych wierzeń widać choćby w języku. I to po sąsiedzku, na Słowacji, gdzie na rysia mówi się *ostroid*. Dziś jednak możemy napisać, powołując się na monografię autorstwa Henryka Okarmy z Instytutu Ochrony Przyrody PAN i Krzysztofa Schmidta z Instytutu Biologii Ssaków w Białowieży, że rys wcale nie widzi ostro. Otaczająca jego siatkówkę odbłaskowa warstwa odbija światło, które już przez tę siatkówkę przeszło, by uczyniło to jeszcze raz. „Zatem komórki zmysłowe są



→ pobudzane dwukrotnie przez tę samą dawkę promieniowania, ale odbicie nie jest doskonałe i obraz rozmywa się” – zauważają naukowcy. A potem, być może żeby ostudzić trochę pewność siebie współczesnej biologii, dodają, że ciągle nie wiemy np. tego, czy dzikie koty widzą kolory. Wiemy natomiast, że w ciemności nic nie umknie ich spojrzeniu.

Na Ziemi żyją współcześnie cztery gatunki rysia, po dwa po obu stronach Atlantyku. Ryś rudy, niepozorny, lubiący różne siedliska kot z Ameryki Północnej. Ryś kanadyjski, leśny koneser zajęcy, którego długie futro czyni go znacznie większym, niż w rzeczywistości jest. Znajdujący się na skraju wymarcia ryś iberyjski oraz nasz, największy ze wszystkich, ryś euroazjatycki. Ostrowidz. Choć jego europejską populację uważa się za stabilną, to liczy raptem dwa tysiące osobników. Dwieście rysi żyje w Polsce. Około stu – w polskich Karpatach. Te ostatnie to ewenement w skali kontynentu. O ile rysie są ubarwione wyjątkowo różnorodnie – od jasnych, płowych po cętkowane niczym lamparty – o tyle te karpackie jak jeden mąż noszą cętki. Można się zastanawiać, czemu służyć ma w górskich realiach tak jaskrawe ubarwienie, ale tylko dopóty, dopóki nie zobaczy się fotografii rysia w krwistej jesiennej buczynie. Dowody na wyjątkowość karpackiego rysia kryją się również pod jego skórą – ich niska zmienność genetyczna w tej populacji oraz duża odmienność od pozostałych europejskich przedstawicieli gatunku świadczą o długotrwałej izolacji, być może trwającej od czasów ostatniego zlodowacenia. Karpacki ryś to ewenement w skali świata.

Pocałunek

Kilka godzin po tropieniu, w leśniczówce położonej wewnątrz Magurskiego Parku Narodowego, nad rwącym o tej porze roku potokiem, Zenek pokazuje na komputerze nagrania z fotopułapek. To dobry moment, żeby go przedstawić: Zenon Wojtas jest biologiem i ekspertem od dużych drapieżników, a więc niedźwiedzi, wilków i rysi, pracownikiem wspomnianego Parku oraz karpackim autochtonem, który wychował się w tutejszych lasach. Choć pracuje w Beskidzie Niskim, obszarem jego zainteresowań są całe Karpaty Wschodnie.

Wbrew lokalnym trendom, fascynacja przyrodą nie zrobiła z niego myśliwego. Zamiast strzelać do zwierząt, prowadzi monitoring ich populacji, ratuje osobniki wymagające pomocy, od czasu do czasu również fotografuje. Choć na jego podjeździe stoją dwie terenówki, magurskie drogi przemierza zdezelowanym granatowym seicento, które mniej rzuca się w oczy. Przewiercił w nim podłogę pod fotelami, żeby z auta wylewała się woda, której nabiera przy przekraczaniu brodów.

Na dysku komputera trzyma wiele pamiątek po spotkaniach z karpackimi drapieżnikami. Nagrał np. konfrontację rysicy z wilkiem, której przyglądały się dwa młode koty, jakby to była lekcja stanowczości udzielana im przez matkę. Albo niedźwiedzia nad padliną, którego obserwował przez noktowizor. Innym razem wczesną wiosną natknął się na wymęczonego marcowaniem rysia, który usnął w śniegu. Zenek bezszelестnie podjechał do niego na nartach i przypatrywał się mu z metrowej odległości. Zwierzę obudziło się dopiero po dłuższej chwili, po czym uciekło.

Patrzmy na dorosłego rysia, którego Zenek złapał w aparacie zeszłorocznej zimy. Najpierw natknął się na padlinę – zabitego w buczynie jelenia. To zwykle za duży kąsek, żeby zjeść go za jednym posiedzeniem. W takich sytuacjach kot chowa żer pod śniegiem lub gałęziami, by nie znalazły go wilki czy dziki. A potem regularnie wraca. Literatura zna nawet przypadki ukrywania rysich ofiar na drzewach.

Tamtej zimy Zenek rozstawił w okolicy nieduży namiot. Zaobserwował, że ryś pojawia się w tym miejscu z zadziwiającą regularnością – co siedem dni. Którejś niedzieli, w nocy, przy pełni, Zenek zapakował aparat z teleobiektywem, poszedł do lasu i schował się w namiocie, który stał już miesiąc i był całkowicie zasypany śniegiem. Leżał na plecach, z aparatem rozstawionym nad sobą na niskim statywie. Godzinami walczył z zimnem, snem i nudą, bo nic się nie działo. Nad ranem, gdy bateria aparatu była już niemal całkiem rozładowana, w obiektywie pojawił się duży ryś. To był jedyny raz, gdy przyszedł do ofiary o poranku. Wcześniej działo się to tylko nocą. Przybliżył obraz na ekranie do tego stopnia, że widać pojedyncze włosy na ceglastym futrze i sterczących pędzelkach na szczycie uszu. Brązowe oczy zdają się patrzeć w obiektyw, język wędruje po nosie.

Nieodżałowany Arkadiusz Szaraniec opisał kiedyś pocałunek z rysiem i dotyk takiego języka. Kot grał w przyrodniczym serialu, był prawie oswojony, więc Szaraniec wziął go na ręce, a ten chwilę później zaczął mruczeć, naprężyć łapy i wpijać pazury w jego ubranie: „Patrząc mu prosto w oczy, starając się nie mrugnąć, złapałem zębami jego przegub, zacisnąłem szczęki powoli i delikatnie, ale dość stanowczo, czując kość pod futrem... i puściłem, ale po dłuższej chwili. Zastygł w milczeniu. Po chwili ciszy zwolnił chwyt swoich obu łap i odwzajemnił się długim, czułym i równie delikatnym karesem – otworzył pysk, a następnie tak samo jak ja, czyli w zwolnionym tempie, ugryzł mnie w twarz, ale tak ledwie, ledwie wyczuwalnym dotykiem samych kłów. A potem jeszcze poprawił ostrym jak tarka i długim językiem, przejechał nim powoli po moim policzku z dołu do góry, tak raz a dobrze. Szybkie lizanie zdobyczy pozbawia je piór, sierści i pozwala lepiej wgrzyźć się w soczyste, żywe, pulsujące ciepłą krwią mięso”.

Niewidzialność

Ryś został w Polsce objęty ochroną w 1995 r. i dopiero od tamtej pory z uwagą zaczęliśmy przyglądać się dynamice jego populacji. Wcześniej, jak w przypadku każdego innego drapieżnika, traktowany był raczej jak szkodnik, który demoluje populacje kopytnych w polskich lasach. W niektórych podlaskich i mazurskich domach na ścianach wciąż znaleźć można wyprawione rysie skóry, zwykle mocno już zakurzone i wypłowiałe, jak wstydliva pamiątka po słusznym minionych czasach. Trochę zapomniany pisarz Bohdan Czeszko opisał kiedyś scenę, w której zasłużony dla rozmnożenia polskiej populacji bobra prof. Wirgiliusz Zurowski zabija rysia, bo ten nad żerem czyha na ofiarę. Życie bobra za rysia – rozstrzygnięcie z dzisiejszej perspektywy szokujące.

Jeśli nie liczyć Karpat, najwięcej rysi żyje w województwach północno-wschodnich, gdzie wciąż zachowało się sporo rozległych terenów leśnych. Puszczą Augustowską, Knyszyńską, Białowieską czy Piską przechodzą jedna w drugą, stanowiąc długie i bezpieczne korytarze migracyjne.

Wprowadzonym ćwierć wieku temu rygorom ochronnym towarzyszyły reintrodukcje, w tym najgłośniejsza, bo dotycząca lasu podwarszawskiego, gdzie rysie nie było już od kilkunastu lat. W latach 1994–2002 w Puszczy Kampinoskiej wypuszczono na wolność 32 koty pochodzące z europejskich ogrodów zoologicznych, głównie ze Szwecji, Niemiec i Finlandii (jeden zmarł w czasie transportu). Początkowo były śledzone za pomocą obroży telemetrycznych, które z czasem poodpadały lub wyczerpały się ich baterie. Zwierzęta zaczęły ginąć – m.in. na drogach czy z powodu chorób – i się rozchodzić. Notowano je m.in. w lasach regionu włocławskiego.

Dziś, jak przekonuje Karol Kram, biolog z Kampinoskiego Parku Narodowego, w puszczy żyją dwa, trzy, może cztery rysie, bo taka jest jej pojemność względem ich typowego arealu. Raz na jakiś czas – ostatnio w 2020 r. – zwierzę łapie się w fotopułapkę. I jest to właściwie jedyny dowód ich obecności. Podwarszawskich rysie na własne oczy nie ogląda właściwie nikt.

– Ale to już trzecie czy czwarte pokolenie. To, że ich nie widać, albo widać wyjątkowo rzadko, wcale nie znaczy, że ich nie ma – mówi Kram.

Ewenementem są obserwacje udokumentowane, jak ta z Żegiestowa z sierpnia 2012 r. Na całkiem wyraźnej fotografii widać rysia, który przechodzi przez jezdnię w sąsiedztwie przejazdu kolejowego, nic sobie nie robiąc z pomarańczowej betoniarki czekającej na otwarcie szlabanu. Albo ta z marca roku bieżącego, gdy leśniczy z Nadleśnictwa Maskulińskie w Puszczy Piskiej przyłapał dużego kota na składzie drewna. Ryś mruczał, w pełni świadom bycia filmowanym. Nieświadom za to tego, że za chwilę trafi na czołówki największych polskich portali internetowych.

Tylko niektórzy komentujący to nagranie internauci zauważyli, że z pozoru niewinny obrazek jest bardzo symboliczny – stos drewna to tak naprawdę zniszczone siedlisko tego drapieżnika.

Bariery

Według grupy biologów ze Stowarzyszenia dla Natury „Wilk”, Instytutu Badawczego Leśnictwa oraz Instytutu Biologii Ssaków PAN zabiegi ochronne i wsiedlenia nie sprawiły, że ryś rozprzestrzenił się na cały kraj. Puszcza Kampinowska nie stała się kluczowym punktem na mapie kocich wędrówek. Choć rysie widuje się choćby w Karkonoszach, Górach Izerskich, Górach Stołowych, w Borach Tucholskich czy na Pomorzu Słowińskim, to jednak są to wyłącznie pojedyncze migrujące samce.

Na zachód od Wisły samice z młodymi – które świadczą o trwałości populacji – notuje się tylko w puszczech Kampinoskiej i Bolimowskiej oraz na Pojezierzu Gostynińsko-Włocławskim. W podobnym czasie inny uratowany od wymarcia drapieżnik – wilk – rozprzestrzenił się na całą Polskę i żyje dziś praktycznie w każdym większym lesie. W przeciwieństwie do niego wędrujący ryś niemal nigdy nie opusz-

Do szczęścia potrzebują przede wszystkim przestrzeni.

Lasu nieograniczonego szosami czy zabudowaniami,

które stają na drodze poszukiwaniom nowych arealów i partnerek,

a tym samym mieszanii genów.

cza terenów leśnych. Choćby miał przemieszczać się samym ich skrajem. Nie zadowolili się też zwykłym lasem gospodarczym. Do polowań potrzebuje starodrzewi z martwymi kłódami, za którymi można by się schować lub zająć. Największym wrogiem rysia są więc gospodarka leśna i gęsta sieć dróg.

Jak zauważa Kram, rysiom do szczęścia potrzeba przede wszystkim przestrzeni. Lasu nieograniczonego szosami czy zabudowaniami, które stają na drodze migracji, poszukiwaniom nowych arealów i partnerek, a tym samym mieszanii genów. Przejścia dla zwierząt nad drogami są stan-

dardem tylko na autostradach i nowych ekspresówkach. Zwykła jednopasmowa szosa wojewódzka potrafi być dla skrytego zwierzęcia barierą nie do pokonania. Albo śmiertelną pułapką. W efekcie rysie kampinoskie czy choćby te karpackie kisa się we własnym sosie, nierzadko krzyżując się w ramach swojej rodziny. Stają się przez to bardziej podatne na chorobotwórcze pasożyty.

Napisz, że giną

Telefon dzwoni w kwietniu, kilka tygodni po mojej wizycie w Karpatach. Zenek jest wkurzony. Przeklina. Przed weekendem z rowu przy drodze wojewódzkiej nr 993 nieopodal Folusza wyciągnął dorosłego samca. Duży kot zginął potrącony przez samochód.

To szósty martwy ryś w ostatnich czterech latach w Magurskim Parku Narodowym lub jego bezpośrednim sąsiedztwie. Jednego przejechano we wrześniu 2019 r. na drodze z Nowego Żmigrodu do Krempnej. Jak na ironię, stało się to tuż obok znaku drogowego z ostrzeżeniem o rysiach na drodze, ustawionego tam przez WWF Polska. W styczniu 2020 r., kilka kilometrów dalej, ktoś potrącił jego matkę. Rysicę znaleziono w krytycznym stanie, trafiła do kliniki weterynaryjnej, ale nie przeżyła operacji składania kończyn. Wcześniej, w kwietniu 2017 r., nieopodal wsi Kryg pracownicy parku natrafili na skrajnie wycieńczoną samicę z dwójką dzieci. Zwierzęta były w tak złym stanie, że nie miały siły polować. Pośmiertne badanie wykazało, że były nosicielami świerbowca.

– Musisz o tym napisać. Niech ludzie wiedzą, że po prostu zabijamy ten gatunek – słyszę w słuchawce. – Mamy coraz szybsze samochody, coraz więcej dróg, którymi szatkujemy lasy, i w ogóle nie myślimy przy tym o zwierzętach. Przecież te sześć rysie to jest trzy procent całej polskiej populacji! A jeśli w całej Europie są ich dwa tysiące, to strata każdego staje się prawdziwym dramatem. Rysie umierają po cichu.

Chwilę później w mojej skrzynce mailowej pojawia się zdjęcie. Jezdnia jest zwężona, trwa jej remont. Zwłoki leżą na dnie rowu, przy przepuszczeniu, przez który bystro płynie woda. Futro dawno wyblakło i się zmierzwiło. Zamiast ulotnego ducha – trup z przetrąconym karkiem. Nie mam podstaw sądzić, że widzę to samo zwierzę, które kilka tygodni wcześniej przyglądało mi się w lesie, ale nie umiem przestać myśleć, że tak właśnie jest.

© ADAM ROBIŃSKI

STANISŁAW

Mancewicz: Zielone ludziki



WSZĘDZIE CZYTAMY BĄDŹ TO JEDNYM uchem od ponad roku słuchamy dramatycznie brzmiącego pytania: „kiedy powrócą wesela?”. Jest ono chyba sensowne, zważywszy, że wszędzie jest bardzo dużo pogrzebów.

Oczywiście nie znamy się na demografii, ale na tyle rozumiemy, czym jest równowaga w przyrodzie, że twardo nam się wydaje, iż wesel i pogrzebów powinno być mniej więcej tyle samo. Po tym znakomitym wstępie, obrazującym łącznie naszą legendarną przytomność umysłu, przejdziemy teraz do stawiania pytań bardzo podobnych temu na wstępie. Podobnych, bo pozostających bez wyraźnej odpowiedzi, pytań także w jakimś sensie podobnie tragicznych, jak choćby dla tych z Państwa, którzy chcą teraz, z niejasnych dla nas powodów, uroczystie i hucznie zalegalizować swój związek. Chcą, ale nie mogą. Chcą natychmiast wydać roczną pensję na orkiestrę, chcą zjeść zestaw polskich dań weselnych i konieczne pójść na poprawiny. Tak. To są dla nas obszary do mniekań, prócz wizji poprawin, zbyt skomplikowane i zbyt abstrakcyjne. I dlatego tak się tu dziwimy, kręcimy głową i sobie generalnie z tragedią braku wesel nie radzimy i jej nie tłumaczymy. Jeżeli jest zjawisko, które wydaje się nam co najmniej ciut skomplikowane od marzenia o urzędowej legalizacji związku, to jest to partia Jarosława Gowina. Dla przypomnienia: nosi ona nieco archaiczną, a może zbyt nonszalancką jak na dzisiejsze czasy nazwę Porozumienie.

Przyznajemy, że dużo o Porozumieniu czytamy. Z przyjemnością oglądamy filmiki z wypowiedziami byłych i obecnych działaczy tej partii, i zawsze sprawia nam przyjemność ich wokabularz. Chcą nas nim przekonać, że są jakby (ale tylko

jakby) z innej półki niż, weźmy, duet „Piotrowicz und Pawłowicz”. Widujemy od czasu do czasu, z daleka, szefa ugrupowania Porozumienie. Jak przechadza się po naszym mieście. Bywa on tu od czasu do czasu, a że miasto jest małe, a Gowin duży, to się ten człowiek w oczy bardzo rzuca. Te przechadzki – szczerze mówiąc – są imponujące. Tak. Dają przecież spacerowiczowi ogląd świata na pewno lepszy niżli owo lekkie zerkanie zza potarganej firanki okna jakieś krzywego domku na Żoliborzu. Jest więc to – popatrzmy – walor. Czas może teraz powiedzieć, że widok stąpającego po ulicy Jarosława Gowina wywołuje w nas marzenia. Rozumiemy – to dla nas jasne – że wielu Czytelników nabrało teraz głęboko powietrza, wielu zapewne pokraśniało, a kilku wręcz zzieleniało. Uspokajamy.

Widok kroczącego Jarosława Gowina uruchamia w nas marzenia o nauce. O studiach, powiedzmy, w jakimś renomowanym instytucie nauk politycznych. Że oto – śnimy – w brzemiennej dla każdego studenta chwili, gdy opiekun naukowy, mistrz, prosi o podanie mu tematu naszej pracy, powiedzmy, licencjackiej, odpowiadamy, że chcemy zrobić licencjat z Porozumienia. Że czujemy głód specyficznej wiedzy. Że to jest partia niezwykła w każdym z wymiarów, również w piątym i, zdaje się, szóstym, a i niech będzie – też w siódmym. Bo Polska jest miejscem, gdzie wymiarów jest dużo więcej niż – dajmy na to – w Czechach, a Porozumienie jest kapitalnym dowodem na istnienie poprzez nieistnienie i na odwrót. Po takim wyznaniu wszędzie: od uniwersytetu kamczackiego po uniwersytet Ziemi Barentsa, słowem w każdej innej, nietutejszej szkole uznano by nas za osobnika szalenie nierokującego. Za – by rzec to w miarę delikatnie i bez naruszania niczyjej godności – człowieka z innej planety. Ale na uczelniach stojących w zlewni Wisły jest inaczej. Zaczęlibyśmy więc naszą pracę pisać natychmiast, od nadania jej zgrabnego marsjańskiego motta. Byłoby to programowe oświadczenie Jarosława Gowina sprzed paru dni, że zjazdu partii o nazwie Porozumienie, to zdanie brzmi tak: „Nasz współczujący konserwatyzm jest zarazem konserwatyzmem zielonym”. Jest to motto sformułowane pod wpływem czterdziestosekundowej akcji drona o imieniu Ingenuity. Na sto procent. Można okoliczność, czas i sens jego powstania inaczej rozumieć? Nie. ©®

BARTOSZ MINKIEWICZ



ZJEDNOCZONA PRAWICA MÓWI JEDNYM GŁOSEM.

Ukos światła

nowy film

Fundacji Tygodnika Powszechnego

Dlaczego sportowy mistrz Europy zajął się przywracaniem pamięci po ofiarach II wojny światowej? „Mija rocznica, kiedy pół miasta zginęło, a tu nikt nawet nie pali świeczki” – wyjaśniał swoją motywację.

Fundacja Tygodnika Powszechnego jest producentem filmu dokumentalnego w reżyserii **Wojciecha Szumowskiego** o **Dariuszu Popieli**, olimpijczyku przywracającym pamięć po żydowskich sąsiadach. Polski Instytut Sztuki Filmowej odmówił dofinansowania tej produkcji, dlatego prosimy Państwa o wsparcie powstania ważnego filmu.



W zbiorce można wziąć udział pod adresem powszech.net/ukos

Santander Bank Polska S.A. nr: 31 1910 1048 2006 1845 1121 0001

przelew w USD: PL17 1090 0088 0000 0001 4140 2432

przelew w EUR: PL80 1090 0088 0000 0001 4140 2365

SWIFT: WBKPLPPP

Kryzys w Kościele – upadek czy odnowa?

*Nazwanie po imieniu swoich grzechów
jest już aktem pokuty. Bóg nie ma co
przebacać naszych słabości, jeśli nas
stworzył słabymi! Przepraszamy za winy.*

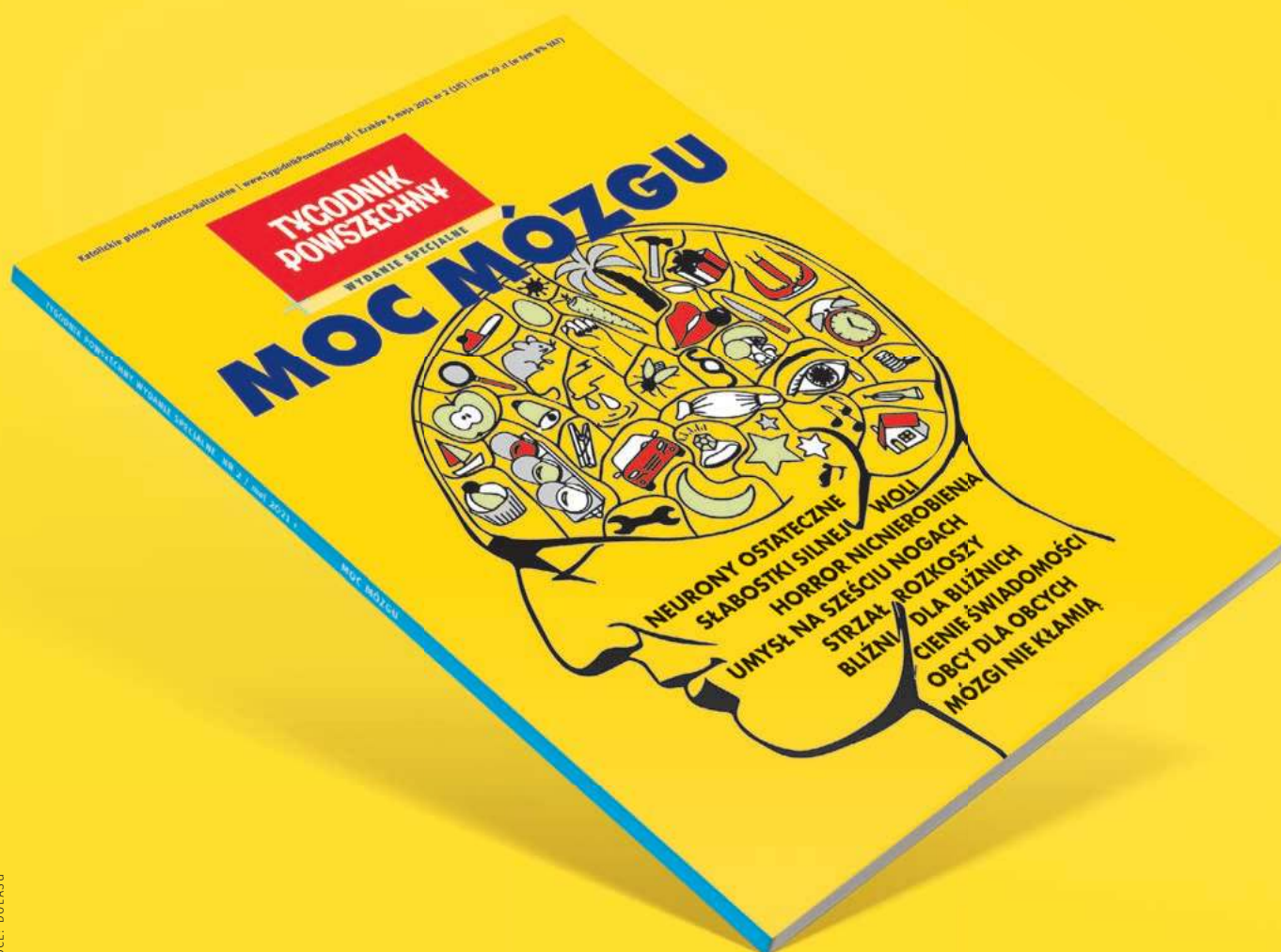
Ks. Adam Boniecki

Wydanie specjalne „Kryzys w Kościele”
dostępne w sklepach z dobrą prasą
i na powszech.net/kryzyswkościele,
także jako e-book.

weź, czytaj!



w głowie się nie mie- ści!



TYGODNIK
POWSZECHNY

Wydanie specjalne „Tygodnika Powszechnego” **MOC MÓZGU**
już **5 maja** w kioskach i salonach prasowych